

Weldon Fay

Rozszczepienie

Jak można być kilkoma kobietami w jednym ciele? A jednak to możliwe. Oczami bohaterki "Rozszczepienia" patrzą na świat co najmniej trzy osoby: Lady Rice, Angelika i Jelly. Pierwsze dwie walczą o panowanie, Jelly zaś jest drugim wcieleniem Angeliki.

Niezmiernie dowcipnie i sprawnie napisana historia młodej kobiety, która właśnie rozwodzi się z mężem. Oskarżana przez niego o niewierność oraz perwersyjne zachowanie, prowadzi podwójne życie. Co dzień opuszcza luksusowy hotel, w którym rezyduje jako lady Angelika Rice, i przebierając się za zaciemnionymi szybami limuzyny, udaje się do biura pewnego prawnika, gdzie - jako bystra i pewna siebie panna Jelly White - pracuje w charakterze sekretarki.

CZEŚĆ PIERWSZA
Rozbity dom

1

Edwin występuje o rozwód

Katastrofa była nieuchronna.

Sir Edwin Rice postanowił rozwieść się z Lady Rice. W oświadczeniu złożonym w sądzie pod przysięgą określił zachowanie Lady Rice jako naganne. Jego adwokat Brian Moss dyktował dokument sekretarce Jelly White. Sir Edwin zwracał się do sądu z prośbą o wszczęcie sprawy rozwodowej.

Ręka Jelly zadrżała.

Sir Edwin twierdził, że Lady Rice zdradzała go z Lambertem Plaidy i została przyłapana przez męża *in flagranti* w rodzimym łóżu Rice'ów. Biorąc pod uwagę całe dotychczasowe zachowanie Lady Rice, nie było w tym nic zaskakującego, ale Sir Edwin nie zamierzał dłużej tolerować podobnych wybryków.

Nie wyobrażał sobie dalszego życia u boku Angeliki. Lękał się, że straci przy niej zdrowie i pograży w nieszczęściu.

Klient twierdził również, że jego małżonka i w innych sytuacjach zachowywała się karygodnie, była wyzywająca i agresywna, na przykład, gdy mył zęby, szczypała go

3

w pośladki, napastowała i biła. Sposób, w jaki całowała swoje psy, określił jako szczyt perwersji, a czule obejmowanie zapraszanych do domu kobiet demaskowało jej lesbijskie skłonności. Dlatego Sir Edwin zwracał się do Wysokiego Sądu z prośbą o uwolnienie go od tej strasznej kobiety.

Brian Moss spojrział surowo na sekretarkę, której wyrwał się okrzyk oburzenia. Po chwili jednak opanowała się, a jej ręka szybko i pewnie zapisywała dyktowane słowa. Brian powrócił do dokumentu.

Klient twierdził, że Lady Rice wykorzystywała go seksualnie, nie chciała zająć w ciąży, miała okropne nawyki, piła i narkotyzowała się, odmawiała urzędowania przyjąć, co było szczególnie upokarzające. Ogólnie rzecz biorąc, jej zachowanie stało się nie do zniesienia i Sir Edwin żądał rozwodu. Natychmiast.

- Coś takiego! - przerwała Jelly White, podnosząc oczy znad notatek. - Czy to pan za niego pisał? To chyba lekka przesada.

- Masz rację - odparł Brian Moss. - Ale nie zapominaj, że przesada jest podstawą naszego postępowania. Znak firmowy Catterwall & Moss. Uwielbiamy najróżniejsze historie z życia małżeńskiego. Jeśli przedstawia się sprawę w banalny sposób, co zwykle robią inne kancelarie adwokackie, wniosek może zostać odrzucony. Jakie ty masz piękne białe palce!

Brian ujął nagle jej szczupłą dłoń. Nie stawiała oporu, ponieważ była to jej lewa ręka, nie przynosząca firmie żadnych korzyści. Natomiast prawą należało chronić.

- Wygląda na to, że Lady Rice to postrach rodu męskiego - zauważyła Jelly.
- Przynajmniej dla sądu - stwierdził Brian. - Prawdę mówiąc, miałem kłopoty ze znalezieniem dowodów molestowania Sir Edwina przez Lady Rice. Szczypanie w pośladki to stanowczo za mało.
- Czy Sir Edwin przyznał się do tego bez żadnych oporów? - spytała Jelly, udając obojętność.
- Owszem, choć z niewielką pomocą swej nowej towarzyszkii życia - po czym opowiedział jej o spotkaniu, na które Sir Edwin przyprowadził Lady Antheę Box. Brian zwykle miał niechętny stosunek do tego typu wizyt, ale tym razem jej obecność okazała się przydatna. Lady Anthea często wypowiadała się w imieniu Sir Edwina, któremu brakowało zdecydowania i wiary w siebie. Dopóki nie pojawiła się Lady Anthea, trudno było doszukać się przemocy w jego stosunkach z Angeliką, choć to najcięższy zarzut w sprawach rozwodowych. Dopiero ona przypomniała Edwinowi, jak był wstrząśnięty, gdy patrzył na Lady Rice obcałowującą domowe psy.
- Może obawiał się, że Lady Rice czymś się zarazi - zastanawiała się głośno Jelly. - Pewnie miał na względzie sprawę higieny, a nie to, że psy mogą z nim konkurować o miejsce w łóżku żony.
- Ludzie na wsi rzadko przejmują się higieną - skwitował Brian. - Chciałbym, żebyś wysłała ten list jeszcze dzisiaj.
- Oczywiście - odparła Jelly, ale zwlekała z wysyłką dwa dni, aż w końcu wstawiła zły kod i dokument dotarł do Barneya Evansa, adwokata Lady Rice, z czterodniowym opóźnieniem. W tym czasie Lady Rice napisała własny pozew, który trafił do sądu przed wnioskiem Edwina, co dawało jej pewną przewagę. Brian Moss

śluszenie zauważył, że Sir Edwin i Lady Rice nigdy nie przystaną na polubowne załatwienie sprawy. Oskarżając się wzajemnie i obarczając winą, gotowi byli walczyć do końca.

Tu trzeba dodać, że Jelly White jest to Lady Angelika Rice w przebraniu, a właściwie jej drugie wcielenie. Ostatnio Lady Rice zauważyła niepokojącą różnicę pomiędzy tymi dwiema postaciami. Silniejszą osobowością okazała się Jelly White. Lady Rice mogła jedynie szeptać jej do ucha swoje rady. Ucho należało do obydwu, ale to Jelly potrząsała głową, co napawało Lady Rice przerażeniem.

Angelika szybko zrozumiała, że cierpi na rozdwojenie jaźni, co ważniejsze, jeśli przeżyje kolejny szok, stan jej ulegnie pogorszeniu. Zostanie wówczas uznana za przypadek kliniczny. Lady Rice próbowała zachować spokój i nie komplikować sytuacji, o ile w ogóle było to możliwe. Dlatego pozwalała Brianowi Mossowi na umizgi. Oszczędzała siły na cięższe chwile, a poza tym i tak nikt jej nie słuchał. Jelly, ze swoją ambicją i charakterem, wciąż miała przewagę.

Lady Rice zarzuciła mężowi zdradę, twierdząc, że jego romans z Antheą Box zaczął się na pół roku przed ich ostatecznym rozstaniem.

Lady Rice też oskarżała Sir Edwina o fizyczne znęcanie się nad nią, pijaństwo, narkotyzowanie się i rozrzutność. Nie miała wątpliwości, że mąż uprawia seks ze swymi psami i że wyrzucono ją z domu, by zwolnić miejsce dla kochanki Sir Edwina, Anthei Box, mimo iż Lady Rice była zawsze wierną i kochającą żoną.

Zachowanie Sir Edwina wołało o pomstę niebios i Angelika oczekiwała, że sąd weźmie to pod uwagę, sprawiedliwie dzieląc ich majątek.

- Co? Prowincjonalny sąd?! - krzyknął Brian Moss wyprowadzony z równowagi listem, do którego dołączony był plik dokumentów nadesłanych przez Barneya Evansa. - Co za koszmar! Poza Londynem nie mam żadnych znajomości. Tu wystarczy kiwnąć palcem, a tam mogę się skręcać, a i tak nic nie wskóram. Jak mamy wygrać sprawę? A do tego żona składa prawie identyczne zeznania i wymyśla niestworzone rzeczy. Dziwne.

- To pewnie dlatego, że tak długo przebywali razem - zauważyła Jelly. - Czytają w swoich myślach.

- Jedenaście lat to niezbyt długo jak na małżeństwo. Przyszła tu kiedyś para dziewięćdziesięciolatków, zgodnie prosząc o rozwód. Zapytałem, dlaczego tak długo zwlekali, a oni na to, że czekali na śmierć dzieci.

Brian wybuchnął tubalnym śmiechem, aż podskoczyły, wiszące na ścianie obrazy z wyścigów konnych. Wtórował mu wdzięczny, dziewczęcy śmiech Jelly, który co prawda nie wprowadził w ruch żadnych przedmiotów, za to wprowadził w drżenie czule serce Briana. Młody prawnik, ot tak po przyjacielsku, uszczypnął sekretarkę w falujący, obfity biust. Jelly zdjęła biały wełniany sweterek. Na dworze panował upał.

Z okien biura widać było sznur samochodów cierpliwie sunących zatłoczonymi ulicami Londynu. Jedynie wozy na sygnale, karetki pogotowia, straż pożarna i policja poruszały się nieco szybciej. Dźwięk syren przybliżał się i oddalał z godną pozazdroszczenia szybkością.

- Nieźle mi się powodzi - skonstatował z zadowoleniem Brian. - A wszystko to dzięki ludziom, którzy za wszelką cenę chcą postawić na swoim i uwielbiają robić z siebie ofiary. Nieważne które z Rice'ów ma rację. Najważniejszy jest majątek i dlatego zrobimy wszystko, by Lady Rice nie dostała ani grosza. Klientom wydaje się, że ich dobre zachowanie w czasie małżeństwa wpłynie korzystnie na wyrok sądu. A to przecież nie ma żadnego znaczenia. No, może w wyjątkowych przypadkach.

- Czyli rozwód Rice'ów nie jest wyjątkowym przypadkiem, lecz następstwem skoku w bok? - spytała Jelly.

- Owszem - zgodził się Brian - chociaż właściwie wszystko sprowadza się do ukrywania przed sądem własnych dochodów, niezależnie od tego, kto jest winny.

Okazało się, że Lady Rice była kiedyś piosenkarką i miała odłożoną na koncie pokaźną sumę. Natomiast księgowi Sir Edwina dzień i noc trudzili się, próbując ukryć źródła dochodów swego pracodawcy. Na szczęście rodzina Rice'ów posiadała bogate archiwum ksiąg, które dla osób postronnych stanowiły prawdziwą lamigłówkę.

- W to nie wątpię - przytaknęła Jelly.

- Pod innymi względami - zakończył Brian - jest to zwyczajna sprawa rozwodowa. Oboje chcą się przedstawić z jak najlepszej strony, nie zdając sobie sprawy, że już dawno grunt usunął się im spod nóg. A do tego płacą mi, żeby móc się kłócić.

- Jest pan niezwykle romantyczny - zauważyła Jelly White. Kosmyk włosów wysunął jej się spod opaski. Brian chwycił go i lekko pociągnął. Jelly uśmiechnęła się grzecznie. Lady Rice westchnęła.

Kiedyś Lady Angelika Rice często uśmiechała się do męża. Teraz potrafiła tylko zdobyć się na nieszczerzy grymas, w niczym nie przypominający promiennego uśmiechu niewinności. Ufność i wiara w ludzi jedynie jej zaszkodziły. Zrozumiała, że szczerością niczego nie osiągnie, i szybko wyciągnęła z tego wnioski.

O ile Lady Rice nie potrafiła umiejętnie kłamać i snuć intryg za plecami innych, Jelly White przychodziło to z łatwością. Stanowiło to jedną z najważniejszych cech jej charakteru. I tu zaczyna się opowieść Angeliki.

Małżeńskie spoivo

Wyszłam za Edwina jedenaście lat temu i to, co nas łączyło, szybko przestało istnieć. Jakaś siła zaczęła rozsadzać nasze małżeństwo od środka. Zwykle tak bywa, gdy nazbyt staramy się, by wszystko szło dobrze. Tracimy oddech. Mówi się, że w małżeństwie łatwo można przedobrzyć, zniszczyć spoivo łączące małżeństwo. Dziwna opinia. Czyżby znaczyło to, że lepiej powstrzymywać się od uczuć, niż je okazywać? W każdym razie na początku nasze małżeństwo wyglądało obiecująco. Kiedy wyszłam za Edwina i z Angeliki White stałam się Lady Rice, miałam siedemnaście lat i byłam dziewicą, chociaż nikt by w to nie uwierzył. Niewinności nie łączy się zwykle ze skórzanymi kurtkami, ćwiekami, oficerkami, fryzurą punka i biczem oraz innymi atrybutami gwiazd hard rocka, do których się wówczas zaliczałam. Jednak mimo takiego wyglądu odczuwałam głęboką potrzebę oddania się i służenia tylko temu wybranemu. Wierzyłam, że dwoje ludzi może na zawsze połączyć głębokie uczucie. Wierzyłam w spoivo. Czekałam na to. Niebywale!

Od kilku miesięcy jesteśmy z Edwinem w separacji. On został w rodzinnym domu, ja odeszłam zhańbiona, w atmosferze skandalu. Kiedy na domiar wszystkiego okazało się, że po jedenastu latach małżeństwa odchodzę z pus-

tymi rękami - bez miłości, dzieci, przyjaciół i pieniędzy - postanowiłam zastosować taktykę konia trojańskiego i odzyskać majątek oraz dobre imię. Niestety, droga do tego wiedzie przez biuro Briana Mossa, narowistego ogiera, ale to już inna sprawa. Natomiast mój własny adwokat Barney Evans przypomina raczej pokraccznego kuca, który szklistymi oczami z przerażeniem spogląda na groźnego przeciwnika. Możecie sobie wyobrazić Angelikę Rice w wysokich szpilkach, koronkowych pończochach i z talią osy jak niczym woltyżerka przesiada się z jednego siodła na drugie, podczas gdy dwa konie wymiaru sprawiedliwości pędzą wokół cyrkowej areny. Jelly White biegnie za nami uzbrojona w łopatę i wiadro, zbierając końskie łajno.

Wieczorem, gdy leżę otulona białą pościelą w wysokim i miękkim łóżku hotelu Claremont, parę kroków od Claridges, wydaje mi się, że jestem aniołem zemsty. Śmieję się ze swych niedorzecznych myśli, ale podziwiam własną inwencję. Dostać pracę u adwokata własnego męża! Natomiast kiedy mam zły dzień i płaczę w poduszkę, aż staje się nieprzyjemna w dotyku i tak mokra, iż prześwituje ciemny materiał wsypy, kiedy czuję, że tonę w Morzu Rozpaczy, chaosu i pustki - przepraszam - nie tonę, lecz unoszę się na jego powierzchni, gdyż moje łzy czynią wodę jeszcze bardziej słoną - zaczynam uświadamiać sobie, iż jestem kolejną opuszczoną i odrzuconą kobietą na skraju załamania nerwowego, która nikogo nie obchodzi. Potem dochodzę do wniosku, że podjęcie pracy w firmie Catterwall & Moss, w obozie przeciwnika, to szczyt głupoty, zaślepienia i szaleństwa, i nie ma w tym nic wspaniałego, zabawnego ani mądrego. Zastanawiam się, co zrobię, gdy zostanę zdemaskowana. Jak można być dwiema kobietami w jednym ciele?

A jednak to możliwe. Moimi oczami patrzą na świat przynajmniej trzy osoby: Lady Rice, Angelika i Jelly. Pierwsze dwie walczą o panowanie, Jelly zaś jest drugim wcieleniem Angeliki. Według mnie, Angeliki, Lady Rice jest godną pożałowania i pozbawioną własnej woli istotą. To rezultat małżeństwa, które w pewnym momencie zaczęło się psuć. Gdyby mogła, leżałaby całymi dniami w Claremont i zalewała się łzami. Pewnie nie odpowiadałaby nawet na listy Barneya Evansa. To ja, Angelika, muszę codziennie wypychać ją do pracy, przebierać za Jelly White, zabierać do siłowni, dbać, by przestrzegala diety, i czuwać nad tym, by nie paliła. Często mówię o sobie, że jestem jej przedmałżeńskim wcieleniem. Nie rozumiem, dlaczego upiera się, że to ona rządzi. Może dlatego, że ma tytuł albo nie chce pogodzić się z faktem, że ja, prosta dziewczyna z prowincjonalnego miasteczka, jestem i pozostanę jej częścią.

Lady Rice w Morzu Rozpaczy

Każdego wieczora, śniąc na jawie, Lady Rice unosi się na falach Morza Rozpaczy. Morze jest tak słone od jej łez, że nigdy nie utonie. Widzicie, jak pływa na powierzchni podtrzymywana przez własne cierpienie? Czasem morze burzy się i pieni miotane wichrami złości, nienawiści i nie ukojonego żalu. Patrzcie, jak targają nią fale. Boi się, że wir wciągnie ją w otchłań, że utonie za sprawą rozpętanej przez siebie burzy. Pozostaje jej zbawienna modlitwa. Ojcze nasz, dobry Boże, broń mnie przed nieprzyjaciółmi, pomóż mi. Będę dobra, obiecuję. Ucisz burzę. Połyka tabletkę nasenną.

We mgle płyną statki widma, błyszczą gniewnie pirackie sztylety, tną, rozpruwają, kastrują. Spokojnie i pewnie, by broń nie obróciła się przeciw sprawcy. Lady Rice jest piratem i ofiarą w jednej osobie. Dobrze o tym wie. Kołysze się na falach morza swej rozpacz. Nazwała je Morzem Rozwodników. Morze Spokoju wydaje się nieosiągalne, jakby znajdowało się na księżycu lub w łonie matki. Lady Rice wyobraża sobie, że znajduje się w zatopionym kościele i uderza w kamienne ściany, podczas gdy prądy rzucają ją w różne strony. Jest to świątynia jej zmarłego ojca. Jej ciało i dusza są okaleczone. Dobry Ojcze, Boże, odpuść mi moje winy. Cofnij swój miecz zemsty!

Czasem Morze Rozwodników cichnie, a kołysanie fal staje się delikatne, niemal słodkie. Wtedy wypływa na powierzchnię niczym syrena, a prąd morski rzuca ją na biały piasek pościeli łóżka, by za chwilę znów porwać w głębiny i wypchnąć ponad fale o świcie. Lady Rice budzi się, by wkroczyć w Świat Rozwodników, świat Briana Mossa, pracy i kilku osobowości walczących w niej o władzę. To również świat alimentów, pieniędzy, opatrywania ran. Cierpienie jest jak pokarm, jak narkotyk. Lady Rice uzależniła się od niego wraz z trzema, a może czterema wcieleniami. Śpi jako jedna, budzi się podzielona. Morze Rozpaczy pochłania ją, porywa i wyrzuca poćwiartowaną. A może to dźwięk telefonu sprawia, że głowa jej pęka? Słyszy męski głos w słuchawce.

- Dzień dobry. Jest siódma trzydzieści. Zamówiła pani budzenie.

Lady Rice spogląda w lustro na opuchniętą od niewyspania twarz. Wieczorem zapomniała zmyć makijaż. Nabiera w ręce zimnej wody, obficie lejącej się z kranu. Kran wygląda na bardzo stary albo na podróbkę staroświeckiej armatury, ale czy to ważne? Ze starych rur do wody przedostawał się ołów, z nowych nie. Ołów jest dobry na cerę, ale szkodzi szarym komórkom. Lady Rice myje twarz. Nie używa białych ręczników, których cała sterta leży w łazience. Nie lubi ich, są za małe. Czuje, że dziś będzie ze wszystkiego niezadowolona.

Wraca do łóżka, ale głosy w jej głowie stają się coraz wyraźniejsze, na tyle wyraźne, by co jakiś czas mogła rozróżnić jeden wybijający się ponad inne. Nie mówią nic przyjemnego. Ma ochotę leżeć w łóżku i płakać, ale głosy

przeszkadzają jej. Zасыpują ją wymówkami, namawiają do działania, choć próbuje ich nie słuchać. Chce nadal leżeć na plaży. Stara się zamknąć wszystkie kobiety w swoim ciele, ale nie może. Musi ich słuchać i odpowiadać na pytania.

- Źle z tobą - narzeka Jelly. - Nie chce ci się nawet zmyć wieczorem makijażu. To najlepszy sposób, by popsuć sobie cerę, ale tobie w ogóle na tym nie zależy.

- Byłam zmęczona - tłumaczy się nieśmiało Lady Rice. - Przeżywam swój rozwód i mam prawo czuć się zmęczona.

- Nie możesz sobie na to pozwolić - przerywa Angelika. - Musimy z tego jakoś wybrnąć. Jak mamy dalej żyć? Nie możemy ciągle mieszkać w hotelu. Prędzej czy później nas stąd wyrzucą.

- Tego nie zrobią - uspokaja Lady Rice. - Należę do rodziny Rice'ów. Edwin na to nie pozwoli.

- Mylisz się - przerywa zniecierpliwiona Angelika. - Znalazł już kogoś na twoje miejsce.

Należysz do przeszłości. Nic a nic go nie obchodzisz. Jesteś jego byłą, prawie byłą żoną, najbardziej znieawidzoną osobą pod słońcem.

Lady Rice wybucha płaczem. Ból nie trwa bez przerwy, ale przychodzi falami.

- Na miłość boską, wyciągnijcie ją z łóżka!

- krzyczy Jelly. - Macie na nią większy wpływ niż ja. Pozwólcie mi działać i idźcie już sobie. Nie musicie stać nad nią beczynn timer jak lekarz czekający po porodzie na łóżysko.

- Gdybym miała łóżysko, czułabym się lepiej

- przyznaje Lady Rice ku własnemu zdziwieniu.

- Mogłabym mieć dziecko z Brianem. Jedynym lekarstwem na faceta jest inny facet.

- Przestań! - karci ją zgorzozona Jelly. - Nie możesz wytrzymać nawet miesiąca w samotności? Mężczyźni są źródłem kłopotów, a nie wybawieniem.

- Nie wiem, co się ze mną dzieje - przyznaje ze skrucą Lady Rice. - Ale jeśli to już powiedziałam, może tak się stanie.

- Może Brian jest twoim przeznaczeniem? - uśmiecha się złośliwie Angelika. - Wyjdźmy mu więc na spotkanie.

Lady Rice wstaje wreszcie z łóżka, choćby po to tylko, żeby uciszyć głosy, które nie chcą zostawić jej w spokoju. Kto wie, może nawet spodoba jej się ich towarzystwo. Nigdy nie powinna być sama, bo samotność - inni, używając tego słowa, mają na myśli dobrowolną izolację - to najgorsze, co może ją spotkać.

Pierwsze zmiany

Angelika wstaje i ubiera się. Wychodzi do pracy w czarnej skórzanej kurtce, czarnej peruce i ciemnych okularach. Ma nadzieję, że nie przypomina Lady Rice, tej przegranej, płacziwej, cnotliwej i łaknącej ciepła kobiety. Chce wyglądać jak pełna temperamentu kochanka jakiegoś ważnego gościa z hotelu. W teczce ma starannie złożone ubranie robocze Jelly (Jelly jest mistrzynią w składaniu ubrań, w odróżnieniu od Angeliki).

Jednak to Angelika dokładnie o godzinie siódmej czterdzieści osiem wsiada codziennie zawsze w tym samym miejscu na Davies Street do dużego volvo, w którym czeka na nią szofer. Znika w wozie jako Angelika, a wysiada jako Jelly. W środku już zdejmuje czarną perukę, pod którą ukrywa jasne włosy do ramion. Skórzaną kurtkę zamienia na tani błękitny sweter z metalowymi guzikami. Włosy ściąga różową opaską i zakłada długi sznur sztucznych pereł, który opada na obcisłą białą bluzkę. Opięta bluzka podkreśla duży biust. Nosi obcisłe stroje nie dlatego, że lubi podkreślać swoje kształty, lecz dlatego, że jest to modne. Zmywa ostry makijaż i zakłada okulary w rogowej oprawie. Za przyzwoleniem i wiedzą Angeliki przeistacza w się Jelly White.

Czasem jednak samochód spóźnia się albo nie pojawia się wcale, co w agencji tłumaczy porannymi korkami lub epidemią grypy wśród kierowców. Nie mogąc długo czekać, musi korzystać z innych środków komunikacji. Wtedy przebiera się w damskiej ubikacji w siedzibie sądu lub bez wahania otwiera drzwi z napisem „Obcym wstęp wzbroniony” i ukrywa się w jednym z cichych, pachnących pleśnią pomieszczeń biurowych. Zmienia ubranie i osobowość z taką wprawą i opanowaniem, że nigdy jej na tym nie przyłapano.

Woli jednak tylne siedzenie samochodu, przyciemnione szyby, wyprostowane plecy szofera i skórzane obicia, które stają się lepkie w chwili, gdy dotknęło ich nagie ciało.

Wysiada z samochodu jako pewna siebie, bystra Jelly White, widząca wszystko w czarno-białych barwach, sa-mokrytyczna i, co zawsze idzie w parze, pedantyczna, sekretarka. Schludna, czysta, pachnąca wodą toaletową, pozbawiona wygórowanych ambicji kobieta, mająca o sobie niezbyt wysokie, ale też i nie za niskie mniemanie, realistka świadoma swych wad i zalet. Ukochana córeczka tatusia, która by go nie zawieść, nie narazi na szwank swego imienia, trzyma się z dala od podejrzanych spraw, wyjdzie za uczciwego człowieka w odpowiednim miejscu i czasie. Osoba potrafiąca stłumić żądze, dla której pogarda jest naturalną obroną, a kłamstwa codzienną praktyką i koniecznością. Jelly to kobieta szanująca władzę, toteż dostaje niską pensję i wysiada po godzinach, by odprawić całą korespondencję. Nie pozwala sobie na flirt z szefem, by jak koleżanki oskarżyć go potem o molestowanie seksualne. Jej główna zasada brzmi: słodki

uśmiech, ciepłe, ale uważne spojrzenie, by nie przegapić szansy. Tatuś zawsze ją tego uczył. „Nie marnuj okazji i chwytaj co się da! Nie warto być szefem, warto nim kierować”.

W pracy nie należy rzucać się w oczy, dlatego lepiej być w skórze Jelly. W biurze Angelika wszystko by popsuła. Rozlany tusz na biurku, kwaśna mina, gdy trzeba wypełniać polecenia, tęsknota za wolnością, otwieranie okien, by przewietrzyć pokój, gdy pada deszcz, skwaszone miny współpracowników.

Poza tym Angelika zakłóciłaby spokój domowego ogniska i małżeństwa Briana Mossa, rzecz nie do pomyślenia w przypadku Jelly, która sama pozbawiona głębszych uczuć niezdolna jest wzbudzać je u innych. Pożądanie - owszem, ale nie tęsknota. Czasem obie siedzą przy biurku i zamieniają się rolami, choć Angelika zwykle buja w obłokach. Ponieważ obie cierpią, zadają cierpienie innym.

Angelika twierdzi, że Jelly doskonale nadaje się do roli sekretarki, a do tego łatwo będzie można się jej pozbyć. Nie sprawi kłopotu. Bardzo praktyczna, świetna w sytuacjach podbramkowych, opanowana nigdy nie zachowa się jak opuszczone dziecko.

Sir Edwin miał spotkać się z Lady Rice i jej adwokatem w biurze Briana Mossa. Jelly bez trudu przekonała szefa, iż ma atak migreny, udała, że biegnie po taksówkę i niepostrzeżenie zniknęła w damskiej toalecie, by po chwili wynurzyć się jako Lady Rice. Zdjęła okulary w ciemnej oprawie, nałożyła mały czarny kapelusz, wysokie szpilki

zamieniła na bardziej skromne sportowe obuwie. Jeszcze tylko niebieskie cienie do powiek, jaskrawoczerwona szminka podkreślająca usta i znów pojawia się umęczona twarz szczęśliwej niegdyś Lady Rice. A wszystko to za sprawą Sir Edwina.

Toaleta, w której dokonała się ta magiczna przemiana, znajdowała się na tyłach dawnych apartamentów pięknej starej kamienicy, z której spółka Catterwall & Moss szczęśliwym zbiegiem okoliczności uczyniła swoją siedzibę. Pokój był przestronny, z sufitu odpadały kawałki tynku. Ściany pokrywała gruba warstwa farby. Mimo zamkniętych drzwi panował tu przeciąg. Jelly weszła do ubikacji jako sekretarka, zrzuciła skórę podwładnej i wcieliła się w kobietę z wyższych, rządzących, a nie rządzonych sfer. Wyszła jako bogata klientka firmy. Okazało się jednak, że Sir Edwin nie pojawił się.

- Może to i lepiej - zauważyła Jelly - przynajmniej obędzie się bez scen.

- Przestraszył się - stwierdziła rozczarowana Angelika chwilowo pokonana i zmuszona do bezczynności.

- Ale ja go kocham - szlochała Lady Rice. - Gdybym mogła go chociaż zobaczyć, porozmawiać z nim. Zrozumiałby, że on także mnie kocha. Nie wierzę, że woli Antheę.

I tak bez końca. Lady Rice wróciła wreszcie do łazienki i przebrała się za Jelly, ignorując Angelikę. Jelly zaś jest na tyle niezależna, że nie musi za każdym razem przechodzić w swych przeobrażeniach stadium Angeliki.

W biurze

Obaj adwokaci próbują nakłonić Lady Rice, by zgodziła się na ciche, polubowne i ostateczne rozwiązanie sprawy. Na to jednak Lady Rice za nic nie chce przystać. Za namową i radą Angeliki postanowiła walczyć do końca.

- Takie rozwiązanie być może odpowiada sędziemu - stwierdziła zdecydowanym tonem Lady Rice - ale ja się na to nie zgodzę. Dlaczego miałabym pozwolić Edwinowi wywinąć się od kary za wyrządzone mi krzywdy? Chcę, żeby do końca życia czuł się za nie odpowiedzialny i płacił alimenty. Teraz usiłuje dowieść, że nie ma pieniędzy, ale w końcu wyjdzie sztydło z worka. Czyż nie mam racji?

Barney Evans, który właśnie przybrał minę umęczonej szkapy pociągowej, zaczął wzdychać i chrząkać. Powstrzymał się jednak od uwagi, że Lady Rice nie ma racji. Z doświadczenia wie, iż prawda rzadko wychodzi na jaw. Mimo to należy przecież bronić klientów przed światem i pozwolić im zachować złudzenia. Owszem, prawo istnieje, tak jak niebo. Potakiwanie to jeden z obowiązków adwokata, podobnie jak księdza. „Nie ma korupcji, a dusza jest wieczna!” - powtarzają zgodnie.

- Domagam się sprawiedliwości - upierała się z płaczem Lady Rice, dublując lamenty setek innych klientek

firmy. - I nie spocznę, dopóki nie zapadnie wyrok. Wy także!

Jest nieznośna. Barney Evans i Brian Moss z westchnieniem wymieniają porozumiewawcze spojrzenia.

- Dałbym głowę, że ona kogoś mi przypomina - zwierzył się Brian Jelly, gdy po kieliszku sherry Barney Evans opuścił jego biuro, a akta państwa Rice'ow powędrowały na półkę.

- Kiedyś była sławna - zauważyła Jelly White, wbijając wzrok w ekran komputera i masując zeszywniałe palce. Był to jedyny sposób, by uchronić się przed Syndromem Wtórnego Zmęczenia (informują o tym naukowcy, jak również reklamy w książkach telefonicznych), głównym wrogiem urzędnika. - Zanim wyszła za Sir Edwina, była piosenkarką. Jej przebój „Szalona dziewczina” przez osiem tygodni znajdował się na pierwszym miejscu listy przebojów. Występowała w telewizji. Potem założyła zespół o tej samej nazwie i nawet pojechała z nim w trasę koncertową. Ale po ślubie musiała zapomnieć o swoich ambicjach artystycznych.

- Nie oglądam telewizji - przyznał Brian. - Nie mam czasu. Kiedy wracam do domu, muszę kąpać dzieciaki. Jestem postępowym mężczyzną. Jak sądzisz, dlaczego Edwin ożenił się z piosenkarką? Przydałaby mu się raczej jakaś dobrze ułożona panienska. Zawsze lepiej ożenić się z kobietą, na którą inni mężczyźni nie zwracają uwagi. Dlatego ożeniłem się z Oriolą. Wiedziałem, że dzięki temu nic mi nie zagraża i że ona nigdy mnie nie zdradzi. No i bardzo staram się być taki jak dawniej. Myślę, że Anthea Box bardziej pasuje do Sir Edwina niż jego pierwsza żona, pod warunkiem, że będzie się trzymać z dala od kieliszka. W tym środowisku dużo się pije. Oboje są z tej

samej sfery, a to w małżeństwie najważniejsze. Czy oni nie są przypadkiem kuzynami? Żeby tylko nie wzięły się z tego chore dzieci. Barney Evans to miły facet. Chodziłem do szkoły z jego bratem. Złote serce.

- Czy nie powinien pan być bardziej zasadniczy i bronić interesów swego klienta - spytała Jelly.
- Dziwi mnie, że zachowuje się pan w stosunku do niego tak uprzejmie.
- Każdy ma chwile słabości - odparł Brian - bo tak naprawdę nam, profesjonalistom, chodzi głównie o możliwie szybki i łatwy zarobek. Stoimy zawsze po tej samej stronie barykady przeciw tym, którzy nam płacą.

Sprawa rozwodowa i podział majątku ciągnęły się w nieskończoność. Lady Rice wycofała się z części oskarżeń, ponieważ Brian Moss delikatnie zasugerował Barneyowi Evansowi, że skłoni to Sir Edwina do hojności. Jednak Sir Edwin nadal nie chciał spotkać się z żoną osobiście. Lady Rice twierdziła, że to skutek niepożądanego wpływu An-thei Box. Rzeczywiście, kiedy Brian Moss wysłał do swego klienta list z prośbą, by ten zgodził się wreszcie spotkać z Lady Rice w celu omówienia spraw w przyjaznej i miłej atmosferze, Lady Anthea zadzwoniła do biura i kategorycznie odmówiła. Telefon odebrała Jelly i zapewniła, że przekaże wiadomość Brianowi. Oczywiście skłamała, gdyż to ona była autorką listu, który podpisała i wysłała w imieniu szefa.

Lady Rice otrzymała list od swego adwokata, w którym Evans namawiał ją, by przeniosła sprawę rozwodową do sądu londyńskiego, ponieważ jest tam miły i sprzyjający im sędzia. Lady Rice odmówiła, upierając się przy swej pierwszej decyzji. Wolą sprawiedliwego sędziego z prowincjonalnego miasteczka niż miłego i współczującego

światowca. Takie uczucia są chwiejne jak trzcina na wietrze. Lady Rice sama dziwiła się, skąd u niej ta mądrość życiowa. Nagle poczuła się, jakby przybyło jej lat.

Nie miała pewności, gdzie zamieszka, więc podała Bar-neyowi adres matki. Niech Edwin czuje się jak biblijny mąż, który skazał niewierną żonę na poniewierkę, tę grzeszną kobietę, która od niepamiętnych czasów błądzi nieprzerwanie po obrzeżach wszechświata, pogardzana i zboląła, sprowadzając na ludzi nieszczęścia, niepokojąc ich sumienia.

Wiedziała, że najlepszą kryjówką dla ofiary jest dom oprawcy. Jelly White była pewna, że nikt z firmy Catter-wall & Moss nie sprawdzi, skąd pochodzą rachunki wystawiane na nazwisko Edwina, mimo że był ich klientem. Natomiast właściciel hotelu nie okaże się na tyle nieostrożny, by obwieścić całemu światu, iż Lady A, która - jak głoszą gazety - leczy się z bulimii i anoreksji gdzieś w środkowej Anglii, mieszka w jego hotelu, w apartamencie dla nowożeńców. Mimo wszystko dobrze jest mieć tak utytułowanego gościa, choćby incognito.

Narodziny Angel

We wtorek rano Lady Rice wynurzyła się z Morza Rozpaczy i jak zwykle udała do biura. Wsiadłszy do samochodu zaczęła zmieniać ubranie na strój Jelly. Nagle wybuchnęła płaczem. Łkała i zawodziła niczym bohater horroru przeobrażający się w wilkołaka, w którego ciele zachodzi straszliwa przemiana. Szloch przerodził się w spazm. Były to narodziny nowej istoty imieniem Angel, która okazała się prawdziwym demonem.

Kierowca zatrzymał samochód, odwrócił się i ze zdumieniem spojrział na Angelikę i Jelly w jednej osobie. Jego brązowe oczy w ciemnej oprawie po chwili złagodniały i spoglądały na nią przyjaźnie. Miał w sobie łagodność rzadko spotykaną u mężczyzn. Podciągnięta sukienka Angeliki odsłaniała jej kolana. Zmieniała właśnie czarne pończochy na beżowe rajstopy. Miała długie, smukłe nogi.

- Czy to tak ryczy samochód czy pani? - spytał Ram, bo tak brzmiało imię kierowcy.

Lady Rice, Angelika, Jelly i Angel zaszłochały zgodnym chórem. Płakały, bo był wtorek, a w poniedziałki Anthea zostawała na noc w pałacu. Tak przynajmniej twierdził Lizzie, prywatny detektyw wynajęty przez Lady Rice (był to okres, kiedy Lady Rice korzystała z usług detektywa,

jakby to był fryzjer, astrolog, wróżbita albo panienska od aerobiku). Zwykle w poniedziałek wieczorem zapadała w tak głęboki sen, że dopiero około trzeciej po południu następnego dnia wszystkie trzy kobiety w jednym ciele budziły się do życia. Należało jednak jechać do pracy i oto nagle, gdzieś pomiędzy Angeliką a Jelly, o ósmej trzydzieści rano Lady Rice zdała sobie sprawę, że o tej porze jej mąż bywa na ogół podniecony i na pewno kocha się z Antheą. Przypomniała sobie ze zgrozą, jak często wymykała się z łóżka, by nie znaleźć się wtedy obok Edwina. Istniało więc prawdopodobieństwo, że jej mąż właśnie kocha się ze swą przyjaciółką w ich małżeńskim łóżu. Trzy głosy zapłakały, a drżące kolana rozchyliły się.

- Co ty wyprawiasz? - Angelika jako pierwsza odzyskała równowagę. - To niczego nie rozwiąże.

- Nie znasz go - ostrzegła Jelly. - Pamiętaj o AIDS.

- Robię to, na co mam ochotę - odparła Angel, gdyż to ona ponosiła odpowiedzialność za rozchylenie kolan. - Zawsze robię to, na co mam ochotę, a najczęściej mam ochotę na seks.

- Co się tutaj dzieje? - spytała zaniepokojona Lady Rice. Choć wyrwana z drzemki, to ona nadal czuła się najbardziej odpowiedzialna za wszystkie.

- Owszem, miałam ochotę na seks, ale pomyślałam o tym czysto teoretycznie.

- Nieprawda - zaprzeczyła Angel.

- Nie wtrącaj się - poparły ją Angelika i Jelly.

- Miałaś swoją szansę i nie wykorzystałaś jej.

Urażona Lady Rice wycofała się z pola bitwy, choć z ulgą przyjęła zezwolenie na powrót do Morza Rozpaczy,

by czerpać z niego siłę do dalszego trwania. Zdecydowanie wolą być jedynaczką.
- Proszę nie hałasować - poprosił Ram. - W takich warunkach trudno prowadzić.
Angel przyjrzała mu się uważnie, w sposób całkowicie obcy naturze Angeliki i niedostępny dla Jelly. Miał około dwudziestu pięciu lat, jasną twarz i wypielegnowane dłonie, które pewnie obejmowały kierownicę powleczoną skórą. Natura obdarzyła go mocną szczęką i przenikliwym spojrzeniem godnym wysoko postawionego urzędnika. Jedynie czapka wskazywała, że samochód nie jest symbolem jego sukcesu, tylko narzędziem pracy. Jednak nowo narodzony anioł nie zwracał uwagi na to, kim jest i co mówi. Jedną pończochę miała naciągniętą do połowy, druga zsunęła się jej z kolana. Widać było rąbek luźnej podwiązki. Zmiana rajstop, nie mówiąc już o pończochach, wymaga odpowiednich warunków. Młoda kobieta, tkwiąca gdzieś pomiędzy jednym a drugim ja, znów zaląła się łzami.
Ram, nie czekając na zezwolenie swego bezosobowego zwierzchnika, wjechał do podziemnego parkingu. Przy wjeździe na tablicy informacyjnej pojawiły się numery wolnych miejsc. Szlaban uniósł się i samochód wtoczył się do środka. Wszystko za sprawą zautomatyzowanego świata elektroniki, którego obecność jest tak dyskretna, że aż onieśmiela. Czujemy się zaprogramowani, niezdolni do protestu, skazani na rutynę codzienności. Samochód podjechał, sezam otworzył się, ukazując przerażającą czelusć betonowych ust, kałuże, przygniecione, umęczone ściany. Pachniało moczem. Wszystko to było konsekwencją naszego przyzwolenia. Zapomnij, nie stawiaj się, niczego nie

zmieniaj. Jeśli nie robi tego współczesna technologia, nie rób i ty. Jesteś mniej istotny niż maszyna, która ci służy, a przez to rządzi tobą. Częściej popełniasz błędy, jesteś bogatszym, ale pozbawionym władzy, znikającym punktem. Twoja dusza rozpada się na drobne kawałki, w akcie samoobrony pochłania cuda techniki, jak małż oblekający perłę. Cztery wcielenia Lady Rice wkrótce wtopią się w szarą codzienność niczym bezkształtne ciało ameby.

Samochód sunął coraz dalej krętą drogą prowadzącą do podziemi, kołysząc Angel raz w jedną, raz w drugą stronę. Jej nagie uda przyklejały się do rozgrzanego obicia drzwi. W końcu znaleźli się na najniższym poziomie, w najciemniejszym i najbardziej oddalonym miejscu, gdzie widniały już tylko napisy prowadzące do wyjścia. Ram McDonald, mimo ograniczonych możliwości, zaparkował samochód z godną podziwu wprawą. Przyciemnione szyby auta pozwalały spokojnie przyglądać się otoczeniu, nie zwracając uwagi przechodniów. Bogaci ludzie lubią podróże, a do tego wszystkie koszty pokrywał Sir Edwin. Ram przesiadł się do tyłu. Angel nie protestowała. Anthea ścisnęła Edwina, Edwin ścisnął Antheę, wszystko odbywało się w ukryciu, więc nikt nikomu nie prawił kazań. Cóż więc za różnica, kto kogo ścisną z pożądania czy z miłości, jeśli nie istniały już uczciwość ani sprawiedliwość?

Ciało ameby składa się głównie z płynu. Jej zewnętrzna powłoka jest śliska i galaretowata. Kiedy ameba się porusza, płyn w przedniej części ciała zmienia się w galaretowatą masę, z tyłu zaś galareta staje się płynem. W ten sposób ciało może się posuwać. Choć ta jednokomórkowa istota nie jest zdolna do uczuć i nie potrafi myśleć, ma w sobie coś na kształt woli, a ruch jest sposobem jej

wyrażania. Sama decyduje o tym, kiedy i jak będzie się poruszać. Podobnie rzecz się miała z ciałem Lady Rice, w którym następowały nie kończące się transformacje płynu w galaretę i odwrotnie. W objęciach Rama jej ciało przybierało coraz to nowe kształty, a wola przeżycia jednego pełnego orgazmu okazała się w nim najsilniejsza.

- Tak lepiej - półprzytomna Angel zwróciła się do pozostałych kobiet, kiedy Ram objął ją mocniej.

- Trzeba wam było dobrego pieprzenia, panienki

- stwierdziła.

- Mów za siebie - odburknęła Angelika. - Nie miałam na to najmniejszej ochoty - odwróciła głowę. - Jakoś dawaliśmy sobie radę z Edwinem i bez tego. Lubię pieszczoty i pocałunki, ale nie znoszę sytuacji, gdy tracę nad sobą kontrolę.

Angel znów pocałowała Rama w usta. Jelly poczuła lekki zarost na jego brodzie. Drażnił jej delikatną skórę, ale postanowiła poruszyć zupełnie inną sprawę.

- On nie ma nawet prezerwatywy - szepnęła złowieszczco do ucha Lady Rice w nadziei, że może to wywrze na niej wrażenie. - Trzeba z tym wreszcie skończyć.

- To niemożliwe - odparła cicho Lady Rice.

- Mama zawsze powtarzała, że jeśli już mężczyzna zacznie, nie ma siły, która by go powstrzymała. Inaczej kończy się to gwałtem. Chcę to już mieć za sobą. Nie spóźnisz się do pracy?

Jelly i Angelika płakały, Lady Rice była przygnębiona, Angel odpowiadała na czułości Rama, choć sama dawno zaspokoila swoje żądze.

- Zróbmy to jeszcze raz - nalegał Ram.

Cała czwórka zamarła.

- Romans z szoferem? - odezwała się Angelika. - Wolne żarty!

- Niemożliwe, muszę iść do pracy - powiedziała Jelly. - Nie mogę się rozpraszać.

- Nigdy! - krzyknęła Lady Rice. - Edwin mógłby się dowiedzieć.

Nie spotkała się ze zrozumieniem. Ona jedna nadal kochała Edwina, reszta miała to już za sobą. Miłość to luksus, na który nie mogły sobie pozwolić. To upokorzenie odtrąconej miłości sprawia, że kobiety zagrożone rozwodem tak łatwo ulegają mężczyznom.

„Weź mnie!” - krzyczą zrozpaczone.

Dopiero gdy jest już po wszystkim, dostrzegają pomyłkę. On nie ma żadnych wyrzutów sumienia. Kto wygrywa, ten bierze.

- Może jutro - zaproponowała Angel. I to jej głos usłyszał Ram, ponieważ jedynie ona nie czuła się skrepowana sytuacją. - Chyba że masz czas dziś wieczorem. Ale teraz przejdźmy do rzeczy - dodała.

- Dziwka, zdzira, suka! Nie wytrzymam! Zabiję ją! - usłyszała głos rozwścieczonej Angeliki.

Angel przygryzła wargę i cicho jęknęła. Ram polizal skaleczone miejsce.

- Jaki mamy miesiąc? - spytała Jelly. - Już nie chodzi o AIDS, ale możesz przecież zajść w ciążę.

Jesteś nieodpowiedzialna.

Lady Rice milczała zrezygnowana, oddając się rozmyślaniom na zupełnie inny temat. Niech Angelika, Jelly i Angel klóć się same. Mogła wreszcie spokojnie pomyśleć. Miała to, czego chciała, choć niczego to nie roz-

wiązywało. Jej przypadek znów potwierdził statystyki. Należała do trzydziestu czterech procent kobiet, które odtracone przez męża oddają się pierwszemu lepszymu mężczyźnie. Przyczyną tego jest cierpienie i poczucie niższości. To zachowanie nie miało jednak z nią nic wspólnego i nie czuła się za nie odpowiedzialna.

Angel uwolniła Rama z uścisku, gdy tylko osiągnęła orgazm. Na jej miejscu Jelly przytuliłaby się do niego czule, oszołomiona i zdziwiona. Natomiast na twarzy Angel malował się wyraz zadowolenia i nasycenia. Jej ciało powoli rozluźniało się i wiotczało. W takiej chwili Angelika stęzałaby w nagłym napięciu, a potem wysunęła z objęć kochanka. Chęć doświadczenia czegoś nowego walczyła w niej ze strachem, powodując, że jej ciało zmieniało się w płynną substancję, to znów w galaretowatą masę. Niepewna siebie, nastroszona jak kotka, skoncentrowana na sobie, ulegająca wpływom Jelly White. Obie zasłużyły na to, by ich pragnieniami pokierowała pozbawiona wyrzutów sumienia Angel.

Cóż za radość i przyjemność widzieć, jak z grobowej otchłani pogrzebanego małżeństwa wylania się świetlisty anioł o wielkich skrzydłach, zmiatając z powierzchni ziemi wstyd, upokorzenie, strach. To nowe źródło żądź emanowało mrocznym blaskiem, niczym piorun w środku nocy. Otoczony iskrzącą się ciemnością Ram MacDonald odzyskał siły. Jego silne, męskie ręce i muskularne nogi przyłgnęły do jej jasnego, gładkiego ciała. Przypominał kraba, który wypełzł spod skały na znajomy sobie teren podwodnego parkingu, najwspanialszy okaz morskiego samca; król skalnej oazy, władca nad władcami, dopóki nie porówna się go / .

Angel przedłużała ostatnie chwile rozkoszy, nie ze strachu, lecz by poczuć smak zwycięstwa. Diabelski Anioł, myślała Lady Rice, przyglądając się nowo narodzonej siostrze, której przyjemność sprawiało przyklejanie się nagiego ciała do skórzanych obić samochodu, która oddawała się nie znanemu człowiekowi, napawała rozkoszą rozchylonych, smukłych nóg, pulsującego w niej obcego i twardego ciała. Zatracała się w przyspieszonym oddechu i gonila za chwilowym połączeniem wtopionych w roz-pulchnione ciało dusz. Taka była Angel. Wydała okrzyk rozkoszy, niczym rodzące się dziecko.

- Cicho - błagała Jelly. - Przestań!

- Nie przesadzaj - pouczyła Angelika. - Pomyśli, że udajesz.

Diabelski Anioł, nasza najmłodsza siostra! Lady Rice nie miała zamiaru opiekować się nią. Nie będzie jej starszą siostrą. Na wiele może jej pozwolić, ale nie będzie niczyją niańką.

Naniańczyła się aż nadto, gdy była mężatką. Pałac Rice'ów, szczęście Edwina, czuwanie nad innymi, jak prawdziwa dobra żona. Niepostrzeżenie, tylko dlatego że wszystko wiedziała najlepiej, stała się matką kwoką. A każdy rozsądny mężczyzna szybko dochodzi do wniosku, że nie może mieć za żonę własnej matki.

- A przy okazji - odezwała się Angel, wyciszona po chwilach szalonej rozkoszy - nazywam się Angel Lamb.

(Lamb to panięskie nazwisko matki Angeliki.)

- Jestem Angel i jestem tu najważniejsza, siostra was wszystkich: Lady Rice, Angeliki Barley (chwilowy pseudonim) i Jelly White. Jestem córką waszego ojca. A teraz zamknijcie się wreszcie i dajcie mi skończyć. Już za późno, żeby mi przerywać. Zmar-

nowałyście mnóstwo czasu, zadając się z ochłapami rodzaju męskiego, i nic nie wskórałyście!
Wasza strata!

Angelika syknęła z niesmakiem, Jelly ubolewała nad tym, co zaszło, a Lady Rice unosiła się na falach Morza Rozpaczy. Kiedy jednak Ram wrócił za kierownicę i ruszył w stronę biura, wszystkie zgodnie doprowadziły się do porządku.

37

Historia

Dawno temu, w latach sześćdziesiątych, siedemnastoletnia Prue Lamb wyszła za pięćdziesięciodwuletniego Stephena Lamba, i wkrótce urodziła dziewczynkę, której nadano imię Angelika. Dziecko było grzeczne, ambitne i pojętne, a do tego bardzo ładne. Czasem, zarówno w chwilach wzruszenia, jak i złości, nazywano ją Jelly. „Jelly! Jesteś nieznośna. Żaden mężczyzna z tobą nie wytrzyma”. Rzadziej mówiono na nią Angel. „Angel, kochanie, przynieś mi to lub tamto” albo „Angel, maleńka, podaj mi to”. „Kochanie, zamknij oczy swemu kochanemu tatusiowi, który leży w trumnie. Teraz on też jest aniołem, tak jak ty. Gdybyś nie zaczęła śpiewać tych okropnych piosenek i została przy „Mesjaszu” Handla, zostałabyś słynną sopranistką i nie wpędziłabyś ojca do grobu. O nic cię nie winię, broń Boże, ale mój aniołku - nasz aniołku - dobrze wiesz, że byłaś oczkiem w głowie ojca, miałaś głos jak skowronek. Mogłaś wybrać coś znacznie lepszego niż śpiewanie „Szalonej dziewicy”. Dobrze, że twój ojciec tego nie słyszał. Przynajmniej przez szacunek dla tatusia zachowałaś dziewictwo do jego śmierci. Szybko się uwinął, biedaczek, zapiał jak kogut na grzędzie i wyzionął ducha. No cóż, tego można się było spodziewać, w końcu był starszy ode mnie o trzydzieści pięć lat.

Ale to, że byłam przygotowana na taką ewentualność, nie znaczy, że miło jest zostać wdową". Mięso skowronka (lark), jagnięcina (lamb) i biały ryż (white rice) z dodatkiem odrobiny pęczaku (barley); same dobre rzeczy, a nie pasują do siebie. Dlaczego? Bo imię wpływa na całe życie. Gdyby na przykład nazwali ją Jane, po prostu Jane? Takie imię nie pozwala na pęknięcie osobowości, rozdwojenie, człowiek nie rozpada się na części. Nazwanie kogoś Angelika było prowokowaniem losu.

Anthea w Lnianym Pokoju

Angel oparta o skórzane obicie służbowego volvo ma podciągniętą spódniczkę, a pochylony nad nią Ram zdejmuje swoje lśniące, niebieskie spodnie. W powietrzu unosi się woń dezodorantu podkreślającego zapach skórzanej tapicerki. Oboje ciężko oddychają z podniecenia. Lady Rice miała rację - w tym czasie Edwin rzeczywiście kocha się z Antheą, chociaż odbywa się to nie w małżeńskim łóżu, ale w Lnianym Pokoju rezydencji Rice'ów. Pościel uszyta z delikatnego popielatego lnu z domieszką bawełny jest częścią wyprawy rodowej. Starannie złożone poszewki, prześcieradła i wełniane koce zapełniają półki bieliźniarki. Nie ma tu niczego, co by przypominało popularną obecnie pościel ze sztucznych tkanin, żadnych syntetyków.

Edwin jest dobrze zbudowanym mężczyzną o szerokich ramionach, a choć w jego żyłach płynie błękitna krew, ciało ma różowe, miękkie i gładkie. Jego mocno osadzona, kształtna szczęka wskazuje, że jest człowiekiem sukcesu, szczodrze obdarowanym przez los pieniędzmi, a przez naturę siłą fizyczną. Wygląda na mężczyznę praktycznego, pewnego siebie, dobrze ułożonego, towarzyskiego i obdarzonego inteligencją. Edwin ma udziały w akcjach wielu tajemniczych przedsiębiorstw zagranicznych.

Oparty o półki bieliźniarki rozchylił nogi Anthei i bez wahania w nią wchodzi. Anthea nie zdążyła zaprotestować. Na głowie nosi wzorzystą chustę z jedwabiu w łańcuchy i małe figurki koni. Edwin nalegał, by wkładała ją jak najczęściej, a Anthea, wiedząc, że szybko przetłuszczają się jej włosy, ochoczo na to przystała. Poza chustą nie ma na sobie nic. Jest szczupła, prawie chuda. Jej ciało ginie pod masą i ciężarem kragłości Edwina. Tu są bezpieczni, podczas gdy do sypialni pani McArthur przynosząc śniadanie często wchodziła bez pukania. Mają dla siebie przynajmniej godzinę.

Wszyscy uważali, że Anthea jest stworzona do roli Lady Rice, gospodyni wspaniałej rezydencji. Lubiała konie, była otwarta, niezbyt ładna, pewna siebie, do znudzenia praktyczna, a przede wszystkim pochodziła z rodziny od pokoleń żyjącej w dobrobycie. Należała do kobiet umiejących z łatwością narzucić swoją wolę, zachowując pozory uległości.

Utrzymywano, że Edwin uległ chwilowemu zauroczeniu Angeliką, choć rzadko mówiono o tym głośno. Ożenił się z osobą zupełnie nieodpowiednią, młodą dziewczyną spoza własnej sfery, która nie tylko odmawiała udziału w polowaniach, ale otwarcie popierała przeciwników tej rozrywki. Mówiono też, że odmawia spełniania powinności małżeńskich, wynajdując wciąż nowe wymówki, choć nadal korzystała z tytułu. Natomiast Anthea wiedziała, że najskuteczniejszym sposobem zatrzymania przy sobie mężczyzny jest oddawać mu się jak najczęściej i nie wyzywać go na intelektualne pojedynki. Gdy mężczyzna się wyszumi, zaczyna cenić spokój. Dlatego teraz Anthea opierała się całym ciężarem ciała o lniane prześcieradła

poukładane na półkach, z ramionami rozłożonymi jak do ukrzyżowania. Zaciskała i otwierała dłonie, przewracając oczami i szepcząc: „Jeszcze, jeszcze!” Unikali pocałunków, bo były zbyt intymne. Zdecydowanie woleli taki sposób uprawiania miłości. Dużo bezosobowego seksu. Okazało się, że dawna Lady Rice i Angelika (zwana Szaloną Dziewicą) były zbyt wymagające. Oczekiwały pieśczot, uwielbiały nastrojowe chwile, lubiły pocałunki, czułe słowa, szybko się męczyły i nie dawały nic w zamian. Każdy mężczyzna może stracić cierpliwość. Uwodzenie, gorące słówka, prowokujące pieśczoty, to dobre przez rok lub dwa, ale dziesięć lat dziecinnych igraszek to za wiele.

Kiedy Lady Rice wpadła w depresję, odkryła w sobie zdolności telepatyczne. W chwili gdy jej prawowity mąż ukrył się z jej rywalką w starej bieliźniarce na drugim piętrze rodowej rezydencji, Angel krzyknęła rozpaczliwie, niczym nowo narodzone dziecko. Pępowina łącząca Lady Rice z Angel została zerwana. W odróżnieniu od Angeliki i Jelly, Angel szybko zrozumiała, że samodzielne życie może być całkiem przyjemne.

Jelly w pracy

- Przepraszam za spóźnienie - zwróciła się Jelly do Briana Mossa, właściciela pięknie skrojonego garnituru, aksamitnego głosu i bystrego spojrzenia. - Musiałam iść do lekarza. Mam nadzieję, że nie przeglądał pan poczty. Potem jest bałagan.

- Te sprawy pozostawiam tobie, kochanie - odparł Brian. - Zajmuję się ważniejszymi problemami, na szerszą skalę, jak przystało mężczyźnie. Napijesz się ze mną kawy?

- Chciał pan powiedzieć, że mam zrobić kawę? - spytała grzecznie Jelly.

Rzadko trafia się taka sekretarka. Zwykle przychodzą starsze kobiety, ponieważ młode nie są zainteresowane tą odpowiedzialną, lecz niskopłatną pracą. Sekretarki zatrudnione w kancelariach adwokackich są zwykle zręczliwe - cecha typowa dla osób pedantycznych - i niecierpliwie. Nie tolerują ludzkich słabości. Z czasem niezauważalnie wtapiają się w tło. Niełatwo jest dzień po dniu korygować cudze błędy i pilnować drobiazgów, o które ludzie walczą w obliczu wymiaru sprawiedliwości, wcale nieskorego do sprawiedliwego rozstrzygnięcia sporów. Sekretarka szybko zaczyna rozumieć, że ludzie dzielą się na winnych i nudnych. Jeśli klient jest winny, okazuje się kryminalistą lub

wrogiem rodziny, a wtedy praca staje się nerwowa i przykra. Jeśli zaś jest nudziarzem, można zaziewać się na śmierć. Jednak ta przykra nuda stanowi zaledwie czubek góry lodowej ludzkiej nienawiści i łajdactw, począwszy od kradzieży pieniędzy z funduszu emerytalnego, skończywszy na sprzedaży zdezelowanej broni terrorystom różnego autoramentu. Trudno się w tym wszystkim połapać. Z czasem szczegóły wszelkich przestępstw przestają być interesujące, stają się niezrozumiałe dla uczciwego człowieka. W tekstach pisanych przez sekretarkę pojawiają się błędy ortograficzne, a w pracy sprzeciw tam, gdzie powinna być dyscyplina. Obsługująca komputer sekretarka, która często już od samego początku widzi bezczelność i tupet przychodzących klientów, musi milczeć. Powtarza sobie, że ten zły sen zrodziła nuda, bo to nie może być prawda. Przestań, siedź cicho, nie podskakuj, bo oberwiesz, dbaj o siebie, pilnuj pracy! Świat nie może być przecież aż tak zły, a ludzie aż tak podli i pewni siebie, ukrywający zło pod szarymi garniturami. Historie rozgrywające się na jej oczach to czysta fantazja. Po pewnym czasie sekretarka siedząca przy komputerze w biurze adwokackim nabiera rutyny i doświadczenia, nie pozwala sobie na nieprzemyślane gesty, rzadko dopomina się o awans lub podwyżkę pensji. Ponieważ nie potrafi działać bez skrupułów jak inni, mimo iż stara się im dorównać, otoczenie przestaje ją zauważać. Jest to dobra cecha, ale może okazać się zwodnicza. „Nie mogłam w to uwierzyć, nie chciałam pogarszać sytuacji” - usprawiedliwia się sekretarka, gdy coś się nie powiedzie. „Myślałam, że oni o wszystkim wiedzą. Robiłam, co mi kazano” - brzmią ostatnie zeznania w śledztwie. Dobre sekretarki w kancelariach adwokackich są zbyt cennym nabytkiem,

by traciły czas na parzenie kawy. Jednak Brian Moss, Nowoczesny Mężczyzna we własnym domu, w pracy był Mężczyzną Konserwatywnym i lubił, gdy Jelly parzyła mu kawę. Ona też nie miała nic przeciwko temu. Zresztą Brian był nazbyt niecierpliwy i zalewał kawę, gdy woda jeszcze się nie zagotowała, robiąc obrzydliwą lurę.

- Chwileczkę - Jelly przerwała Brianowi Mossowi dyktowanie listu.

- O co chodzi? Zła składnia? Popraw, co chcesz. Mamy dzisiaj mnóstwo pracy - Brian nie ukrywał zniecierpliwienia. Jelly lubiła patrzeć, jak nerwowo stuka palcami o blat stołu.

Uważała to za gest typowo męski. Pisali właśnie list do niedoszłego ojca, który oskarżał ministerstwo zdrowia o spowodowanie niepłodności żony. Pozdrawiam i łączę wyrazy szacunku dla Małżonki. Mam nadzieję, że pudelki mają się dobrze i dbają o swoje puszyste ogonki.

- Pudlom obcina się ogony po urodzeniu - zauważyła Jelly. - „Puszyste ogonki” brzmi niezręcznie.

- Zmień to na jakąś inną bzdurę - powiedział Brian. - Zresztą zrób, co chcesz.

Stał tuż za nią. Nagle wsunął jej ręce za dekolt i dotknął piersi, jakby chciał oszacować ich rozmiar i ciężar. Jelly poczuła, że rozpada się jak sznur pereł, który rozsypał się w luksusowym volvo. Pożądanie było obce jej nieskomplikowanej naturze.

- Gdzie są twoje perły? - spytał. - Lubię je.

- Zerwały mi się dziś rano - odezwała się Angel ustami Jelly.

- Proszę - błagała Angelika - zostaw go. Rozbiłaś moje małżeństwo, a teraz chcesz pozbawić mnie pracy.

- Kto? Ja? - spytała niewinnie Angel. - Kiedy wychodziłaś za mąż, nie było mnie na świecie. Angelika z trudem zdołała doprowadzić oszołomioną Jelly do biurka. Brian patrzył na nią przekonany, że ma przed sobą jedną kobietę.

Pomieszczenia biurowe firmy Catterwall & Moss mieściły się w małych klitkach o niskich stropach. Okna wychodziły na pokryte sadzą ściany sąsiedniego budynku. Nie można było się obyć bez sztucznego światła. Pokój Jelly powstał z wydzielonej części starej biblioteki, w której teraz mieściło się biuro Briana Mossa. Sama biblioteka była ciemnym pomieszczeniem w starym stylu, z dębową boazerią, zniekształconym na skutek sztucznego podziału. Brian rzadko zaglądał do pokoju Jelly. Nic dziwnego, ponieważ sprawiał on przygnębiające wrażenie. Usłyszała jak wzywa kogoś przez telefon, kolejnego pracownika spośród rzeszy przewijających się przez biuro osób. Potem poszedł do Jelly.

- Nie udało nam się napisać nawet połowy listów - poskarżył się. - Trzeba je dziś koniecznie wysłać. Jeśli zachowałem się nieodpowiednio, panno White, proszę mi wybaczyć. Wróćmy do mojego gabinetu i skończmy wreszcie tę korespondencję.

Brian patrzył na swoją sekretarkę jak mały chłopiec, którego przyłapano na gorącym uczynku. Miał niebieskie oczy i typowo angielską miłą twarz - regularne rysy, opanowanie i spokój zabarwione nutką melancholii. Jelly milczała. Wyjmowała swoje rzeczy z biurka i wkładała do torebki, zostawiając swej następczyni jedynie niezbędne przedmioty leżące wokół komputera.

- Proszę tego nie robić - przeląkł się Brian - to się więcej nie powtórzy. Nie dotknę pani, obiecuję.

- To w jego stylu - powiedziała Jelly do Angeliki - bez cienia zażenowania rozmawiać o swoich umizgach. Inny mężczyzna wycofałby się niezdarnie i po prostu milczał. W razie odtrącenia wolalby udawać, że nic się nie stało i że to w ogóle nie miało miejsca.

- Inny mężczyzna - zauważyła Angel - spędziłby z tobą noc i nigdy więcej o tym nie wspomniał, a ty, odrzucona i upokorzona, wolalabyś milczeć niż dochodzić swych praw. Jakby cała przeszłość znajdowała się we władzy męskich umysłów, a kobiety nie posiadały pamięci.

- Nie patrz tak na mnie - prosił Brian. - Odezwij się. Jeśli nie masz nic do powiedzenia, to wróćmy do pracy.

- Obawiam się, że to niemożliwe - odparła Jelly. - Zgodnie z umową podpisaną z moją agencją pracy mogę opuścić miejsce zatrudnienia, nie ponosząc żadnych konsekwencji, jeżeli będę molestowana seksualnie.

- Trzeba tego dowieść - zauważył Brian - a to bardzo trudne, właściwie niemożliwe. Każdy coś przyrzeka. Jak myślisz, dlaczego zgodziliśmy się na podpisanie tej klauzuli przed zawarciem umowy? Bo jest bez znaczenia, a kobiety po prostu lubią widzieć to na piśmie. Mają wrażenie, że traktuje się je poważnie. Ale to wszystko mrzonki. Miałaś bluzkę rozpiętą do pasa, tak że widziałem twoje piersi. I byłaś bez stanika. Więc sądziłem, że się nie pogniewasz. Przepraszam, to się już nie powtórzy.

Jelly szybko zapięła bluzkę. Rzeczywiście była rozpięta, choć Brian mocno przesadził. To na pewno Angel zdołała rozpiąć jeden lub dwa guziki, kiedy Jelly była zajęta swoimi sprawami. Ale gdzie się podział stanik? Jelly jak przez mgłę przypomniała sobie poranny wyczyn Angel.

Lady Rice i Angelika też niewiele pamiętały. Jednak bolesne ślady od ugryzień na piersiach i szyi nie pozostawiały wątpliwości.

Jelly przyznała, że nieświadomie mogła sprowokować Briana, i zgodziła się powrócić do pracy.

Brian Moss opowiedział jej o swojej żonie Orioli, którą bardzo kochał, chociaż była tak roztargniona, że nie czesała się rano, a gdy odbierała dzieci ze szkoły, zapomniała nabrać benzyny. Czasem było to wręcz niebezpieczne. Kiedyś zostawiła włączone żelazko i spaliła sufit, a pozostawianie ciekącego kranu w łazience stało się u niej nagminne.

- Czy to dostateczny powód, żeby się rozwieść? - spytała Jelly.

Brian spojrział na nią zaskoczony i wyjaśnił, że oboje z żoną są katolikami, więc nie ma mowy o takim rozwiązaniu. Jelly zrozumiała, dlaczego czasem patrzył na nią tak łakomie, gdy zwinnie i szybko przemykała między biurkami. Tłumił w sobie tęsknotę za tym, co wydajne, pewne, skuteczne. Odkrycie to sprawiło jej przyjemność. Były to cechy jej charakteru, których dotąd nikt należycie nie docenił.

Oboje pracowali do późnego wieczora, każde w swoim pokoju. Panował półmrok, świeciły ekrany komputerów. Kwiaty na oknach zdawały się na przemian pęcznieć, to znów więdnąć, wchłaniając ciężkie biurowe powietrze.

Jelly słyszała niestrudzony szept Angel.

- To twoja szansa. Zrób coś! Rozbierz się, ale zostaw pas, podwiązki i pończochy. Wyglądają efektownie. Idź do niego.

- Ale po co? - spytała Jelly. - Nie rozumiem, o co ci chodzi.
 - Dostaniesz podwyżkę - odparła Angel. - Poza tym będziesz go miała w ręku.
 - Jak na osobę tak sprytną jesteś zadziwiająco głupia - Angelika zwróciła się do Angel. - Równie dobrze mogą cię jutro rano wyrzucić.
 - Nie jesteś tutaj, żeby zarabiać, ale żeby pilnować moich alimentów - syknęła Lady Rice.
 - A zemsta? - nie dawała za wygraną Angel. - Edwin zabawia się z Antheą, która mieszka w twoim domu i śpi w twoim łóżku.
 - Nie przypominaj mi o tym - przerwała Jelly, czując nagłą złość.
 - Brian Moss pozwoli ci o tym zapomnieć - przekonywała dalej Angel. - Przynajmniej na dwie godziny. Pamiętasz, jak dobrze było dziś rano z Ra-mem? Jeśli podobasz się "jednemu facetowi, podobasz się wszystkim. Wykorzystaj to.
 - Na Briana czeka w domu żona - broniła się Jelly. - Ja nie robię takich rzeczy. Nie romansuję z żonatymi mężczyznami. Dlatego że Lady Rice jest nieszczęśliwa, mam unieszczęśliwić Oriole?
 - Właśnie dlatego! - rzuciła ze złością Angel, anioł zemsty sączący jad w ucho Jelly. - Im więcej nieszczęść dookoła, tym mniej zostanie dla ciebie.
- Angel wbiła zęby tak mocno w kciuk Jelly, że przez tydzień widać było bliznę, równie bolesną jak ślady pieszczotliwych ukąszeń Rama na piersiach.
- Nic z tego - powiedziała Jelly. - Angelika ma rację. Wyrzucono by mnie następnego dnia. Tak się kończy każdy biurowy romans.

- To nie jest „każdy biurowy romans” - odparła ze złością Angel. - Masz pieprzyć się z szefem dla własnego dobra.

- Nie ma mowy.

- Ale ja tego chcę i koniec! - wrzasnęła Angel, zagłuszając głos rozsądku. - Chcę Briana Mossa *teraz*, ty złośliwa dziwko!

- Cicho bądź! - skarciła ją Jelly, przygryzając drugi kciuk. Lady Rice, nieobecna, nucila pod nosem jakąś smutną, sentymentalną melodię. - Przestań mnie zadreć. Jestem wyczerpana, rozumiesz? Potrafię dać sobie radę z Lady Rice i z Angeliką, ale ty jesteś nieznośna. Precz z mojego życia!

- Ty niewdzięcznico! - krzyknęła Angel. - Po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiłam. Brakuje ci odwagi, chociaż wiesz, że by ci się to spodobało!

- Idę do domu - odezwał się z drugiego pokoju Brian Moss. - Muszę wykąpać dziewczynki.

- Dobrze - odparła jego sekretarka. - Zgaszę światło i włączę alarm.

Brian pojechał do domu pociągiem, Jelly metrem, wciśnięta w tłum ludzi zajmujących powierzchnię zaprojektowaną dla kilkuset ludzi. Oddychała ciężkim powietrzem, w którym poczucie beznadziejności mieszało się z wilgocią. „Jak mam od tego uciec, jak z tym walczyć, by nie wtopić się w tłum? Co robić, by nie dać się zmiążdżyć, zniszczyć, upokorzyć? W drzwiach został skrawek mojego płaszcza. Zamiatam nim teraz stare osmolone tunele. Kobieta stojąca obok wbija mi się wysokim obcasem w stopę, zdzierając skórę. Jakiś mężczyzna ociera się o mnie rozporkiem, a kobieta z tyłu przywiera do mnie pośladkami.

Wszyscy tak samo się męczymy, wdychamy

zużyte przez innych powietrze, próbujemy za wszelką cenę uciec pamięcią od udręki podróży, jak niewolnicy zaganiani biczami pod piramidy, by zaspokoić zachcianki władców lubiących chłostać i wznosić piramidy, choć wiedzących, że bity niewolnik gorzej pracuje. Ale ludzi trzeba bić. Królowie od niepamiętnych czasów pilnowali, by praca kojarzyła się z upokorzeniem. Dziś faraonowie dzięki korporacjom i spółkom połączyli siły nad kieliszkiem szampana i bicząc swych niewolników, dając im transport publiczny. Każdy wie, że trudno o pracę, utrzymanie rodziny jest kosztowne, a zarobki niepewne. Dlatego wszyscy milczą. „Czy nie widać, że cierpimy?” - chór pasażerów metra wznosi oczy ku niebu i wzywa pomocy. „Kto nas zbawi?” Nie ma odpowiedzi. Cierpienie nie przynosi obietnicy ulgi. Początek nie znaczy, że musi nastąpić koniec. Tyrania nie musi tworzyć bohaterów, a grzech zbawcy. Poza tym, ludzie nie lubią się do tego stopnia, że nikt nie ruszy palcem, by cokolwiek zmienić. Białe nie lubi czarnego, czarne nie lubi białego, a pomiędzy biegunami wszystkie odcienie nie lubią się nawzajem. Ojciec nie cierpi swego dziecka, dziecko nienawidzi rodziców, policja nie lubi obywateli, obywatele nie znoszą policji, mężczyźni nie lubią kobiet, kobiety nie lubią mężczyzn, starzy nie lubią młodych, młodzi starych, a wszyscy nienawidzą człowieka, który woła: „Proszę uważać na drzwi”. Czasem na plecy jakiegoś nieszczęśnika - a dobrze mu tak! - zwali się następna skłębiona masa, wciskając się w dyszący, przemoczony, trzęsący się tłum. W Londynie, Tokio, w Moskwie, Nowym Jorku, Sydney, wszędzie to samo. Jelly wysiadła przy Bond Street. Zanim dotarła do hotelu Claremont, wyobraziła sobie, że znów jest Lady

Rice incognito, chociaż z pogryzionymi piersiami i zaczerwienionym podbródkiem. To był naprawdę długi dzień, zaczęło się od Rama, a skończyło na ranach. Angel zaśmiała się w duchu. Wpadła zdyszana do hotelu, zwracając na siebie uwagę portiera, który nie rozpoznał w niej Lady Rice. Zastanawiał się, kim jest i czy można wpuścić ją do hotelu.

- Nie możesz tu mieszkać całe życie, wystawiając rachunki bez pokrycia - zwróciła się Jelly do Lady Rice. - Kobieta powinna mieć własny dom, domowe ognisko, choćby tylko po to, by zapalić na ganku światło, nawet jeśli to zwykła dekoracja. Chyba nie zdajesz sobie sprawy ze swojego położenia.

Ale Lady Rice nie słuchała. Zalewała się jak zwykle łzami

Czas po spótkowaniu

Lady Rice znów rozmyśla o alimentach. Nie zwraca uwagi na wybryki Angel, choć docenia wagę seksu. Nadal zastanawia się głównie nad tym, jak zdobyć połowę majątku, ale jest wdzięczna Angel, że próbowała ją rozerwać.

Lady Rice tłumaczy młodszym siostróm, że bez swej rozpaczycy czułaby się jak istota pozbawiona życiodajnych pokarmów. Teraz jej chlebem jest nienawiść przyprawiona gorzką żółcią, która podchodzi do gardła. Chleb posmarowany grubą warstwą wrogich uczuć do Anthei. Chore, złe myśli, które nigdy nie nasycą głodu nienawiści. Nóż w zębach gotowego do walki wojownika, pewna broń, metal i kość słoniowa, ostrze obnażone w kierunku nieprzyjaciela. Trzeba jednak pamiętać, że najmniejsze potknięcie spowoduje śmierć od własnej broni, zamiast od ciosu wroga. Nienawiść i seks to nałogi, tłumaczy Lady Rice. Wydaje ci się, że dzięki nim możesz żyć wiecznie, że ty i nałogi jesteście sobie równi, ale cały czas to one drażną, zniewalają i zabijają. Śmierć może przyjść niespodziewanie, jeśli przedawkujesz ją jak heroinę. Udusisz się własną żółcią. Przeciwnieństwo łagodnej śmierci. Zabija cię własna nienawiść, pogarda, usprawiedliwiona złość, fala obrzydzenia. Czasem zabija powoli, gdy jak Jelly, łkająca na tylnym siedzeniu volvo stojącego na

podziemnym parkingu, wycofujesz się z pola bitwy, liżąc śmiertelne rany, niczym krwawiąca bestia uciekająca do jamy, gotowa znów zaatakować. Kiedy ktoś okazuje sympatię Lady Rice, ona uśmiecha się szyderczo, choć kiedyś wydawała wspaniałe przyjęcia. Gdy ktoś zbliży się do pieczary smoka, ten gotów jest rozerwać ofiarę na strzępy, odrzucając gest pojednania. Nie ufajcie łzom pokrzywdzonych. Angel, nie bądź pewna swej władzy nad ciałem, które jakoby opanowałaś. Możesz stracić grunt pod nogami. Jelly nikogo nie drażni, Angelika to osoba przyjaźnie nastawiona do świata, za to Angel zostawiła Lady Rice z porwanymi majtkami, a to ją może zdenerwować. Nie warto ufać czekającej na rozwód pani Rice.

Alimenty jako zadośćuczynienie

Panie Evans, niech pan reprezentuje nas wszystkie! Proszę nas zrozumieć, pana klientka jest kobietą o wielu twarzach.

Domagamy się alimentów! Chcemy jeść. Rozpadamy się. Z braku miłości chudniemy i więdniemy. W ciągu sześciu miesięcy schudłyśmy dwanaście kilo. Jeśli mąż nie chce nam pomóc, musi to zrobić społeczeństwo. Sąd i prawnicy muszą wspólnie stawić czoło zepsutej jednostce.

Nie kieruje nami chęć zemsty ani pazerność. Przeciwnie. Chcemy, by dzięki wymiarowi sprawiedliwości odradzał się zawsze ten sam porządek rzeczy. Sprawiedliwość powinna być wiernym, uczciwym i namacalnym odbiciem „wewnętrznego dobra” (albo, jak kto woli, „nieprzemijającej wartości dobra”). Stracone wiano - miłość, złudzenia, nadzieje (bezczelnie skradzione, a nie utracone!) - wszystko to można odzyskać poprzez pieniądze, które co miesiąc zaczną wpływać do naszej kiesy aż do końca świata. To znaczy „naszego świata”, bo z punktu widzenia jednostki śmierć jest kresem wszystkiego.

Wspaniała konstrukcja, jaką jest małżeństwo, powstaje z drobnych, czułych gestów, niezliczonych złościwości

oraz aktów dobrej woli, które, koniec końców, są próbą zachowania twarzy, ucieczką spłoszonej mrówki, wyrwaniem włosa, śmiechem ze złego dowcipu, przebaczeniem win i przymknięciem oczu na krzywdy. Konstrukcja ta jako instytucja nie musi, nie powinna ulec zniszczeniu. Jeśli jednak nie można zapobiec katastrofie, niech zostaną przynajmniej korzyści materialne.

Jeżeli nie wyciągniemy od Edwina pieniędzy, wszystko się zawali, czujemy to. Wiele od tego zależy. Równowaga między rzeczywistością a zmyśleniem zostanie zachwiana i wszystko runie w posadach, niszcząc nasze życie, czyli wszechświat. Znikniemy jak obłok dymu. Zwiędniemy jak usychająca roślina. To pieniądze utrzymują nas przy życiu, to jedyna pewna wartość, która nam pozostała.

Może nam się oczywiście nie udać. Barney Evans wciąż powtarza, że sąd może zdecydować inaczej. Liczy na to Edwin. Mogą dojść do wniosku, że same potrafimy sobie poradzić. Na salach sądowych zwycięża zwykle strona wypierająca się wszystkich win, więc jeśli nie uda się ustalić, po czyjej stronie leży wina, sędzia może orzec, że kimkolwiek jest ta skrzywdzona żona, gwiazda rocka, która odmawiała uczestnictwa w polowaniu na lisa u boku męża i którą nakryto w łóżku z mężem jej najlepszej przyjaciółki - któż zechce wysłuchać wyjaśnień, jak się tam znalazła i dlaczego? - nie powinna dostać ani grosza. Tak, to całkiem możliwe, że zostaniemy bez pieniędzy, ponieważ nasz dom rodzinny należy do Edwina, a on sam jest bezrobotny i nie ma żadnych dochodów, tak przynajmniej twierdzi jego księgowy. Czy nasza wiara w sprawiedliwość jest głupotą? Z czego będziemy żyć? Czy mamy

jak ptaki dziobać powietrze? Cóż, zawsze pozostaje szantaż. Może się okazać, że to jedyna szansa.

- Szantaż wyszedł z mody - stwierdził mój przełożony Brian Moss - nikt się już niczego nie wstydzi.

Pokiwałam głową i uśmiechnęłam się uprzejmie, ale jestem innego zdania. Zebrałam mnóstwo taśm, które wykradłam z biura, tak jak inni kradną marzenia. W torbie na zakupy przynoszę do domu sterty dokumentów, listów, stenopisów podsłuchanych rozmów, oświadczenia i dowody z licznych źródeł, nie tylko dotyczące sprawy rozwodowej Rice'ów. Ludzie często rozmawiają ze swymi prawnikami w korytarzach, na schodach.

Lady Rice nie wie, co powiedzieć. Jest zbyt zaszokowana, by czemukolwiek się dziwić, nawet nie zaskoczyły jej czyny, jakich dopuszcza się Jelly. Nie reaguje na humory Angeliki ani na chucie Angel. Przestała być wielką damą.

Pęknięta osobowość

Muszę coś wyjaśnić. Angelika, Jelly i Angel to trzy oblicza Lady Rice. Każda z osobna może być pociągnięta do odpowiedzialności przed sądem, urzędem podatkowym i Panem Bogiem. Niemożliwe, by prawa ręka robiła coś bez wiedzy lewej, choć jedno wcielenie może dominować, rządzić słabszymi i zaskakiwać decyzjami. W klasycznym przypadku rozdwojenia jaźni osoba A budzi się rano i ze zdziwieniem odkrywa, że jest cała posmarowana miodem i potłuczona, nie zdając sobie zupełnie sprawy z nocnych ekscesów osoby B. Nie wie, co B robiła, gdzie była, nie wie nawet o jej istnieniu. Ale B istnieje, a co więcej, równolegle mogą istnieć osoby C oraz D, które są całkiem rzeczywiste. Może być też E i F, a nawet G, która wie o pozostałych wszystko albo nic lub zna tylko część prawdy, w zależności od tego, czy zalicza się do grupy zwolenników A czy B i w jakim stopniu cieszy się zaufaniem swych przełożonych. Podstawowy podział na A i B polega na oddzieleniu wcielenia dobrego, zrównoważonego i miłego od wybuchowego, podstępnego i złego.

W przypadku Lady Rice mamy do czynienia ze swego rodzaju pęknięciem, rozpadem, z kilkoma głosami w jednej głowie. Całkowity rozpad nastąpi jedynie wtedy, gdy

siłą rozerwiemy połączone ze sobą kawałki, jak wrywa się z licznika na parkingu mandat za przedłużony postój. Tak więc, jeśli Angelika kogoś zamorduje, Jelly i Angel również będą musiały ponieść karę. Mają obowiązek i siły, by ją powstrzymać. Jeśli Jelly nadwyręży sobie ścięgna od nadmiernego stukania w klawiaturę komputera w kancelarii Catterwall & Moss, Angelika i Angel nie mają prawa narzekać. To są również ich palce. Jeśli Angel zarazi się opryszczką albo AIDS, nie powinno to dziwić Angeliki ani Jelly. Nie należało dać się uwieść. Prawda jest taka, że i one dały upust swym żądom. Wszystkie powinny zgodnie współpracować i stanowić jedną postać w oczach świata, jeśli nie w swoich własnych myślach. Choć całość jest splekana, jeszcze się nie rozpadła i trzyma się dzięki nie kończącym się rozmowom czterech wcieleń. Nie jest to jeszcze kliniczna postać choroby. Każde wcielenie wie o istnieniu pozostałych, a chociaż są odrębnymi indywidualnościami, razem składają się na jedną postać. Jak dotąd kwadrat nadal wpisany jest w koło.

Osobą skrywającą w sobie trzy postacie: Angelikę, Jelly i Angel, dzięki mężowi noszącą tytuł Lady Rice, w dzieciństwie otaczała miłość i troska - jeśli przyjmiemy, że rodzice w ogóle zdolni są do szlachetnych i wzniosłych uczuć - Prue i Stephena White'ów. Zło, psychoza, tragiczne przeżycia nie są konieczne, by nastąpił rozpad osobowości. Całkowite rozdwojenie jest ciężką i dramatycznie przebiegającą chorobą, pęknięcie zaś zdarza się często. Wielu z nas cierpi na łagodną postać tej choroby, odczuwając niejasno wewnętrzne rozdarcie, słysząc szepty kilku głosów. Co ja teraz zrobię, co ja ze sobą pocznę! Nie wiem, co mnie napadło! Spotyka to ludzi nadwrażliwych, niekoniecznie przygniecionych nieszczęściem.

Wiele kobiet przyznaje, że słyszy w sobie trzy głosy. Kiedy stroją miny przed lustrem, są Angeliką. Kiedy idą do pracy, bezosobowe, umundurowane, zmieniają się w Jelly, a gdy idą do łóżka po kieliszku wina lub wypaleniu trawki, zostawiając dziecko bez opieki, i rzucają się na męskie genitalia, przybierają postać Angel. Podpisywanie listów jako Lady Rice staje się czystą formalnością.

Jeśli kobieta wzdycha: „Chciałabym się odnaleźć!”, odzywają się w niej jednocześnie wszystkie trzy wcielenia. Czują się zdominowane przez Jelly, Angelikę lub przez Angel. Nie podoba im się to i pragną wewnętrznej harmonii.

Kiedy kobieta mówi: „Muszę się w czymś spełnić”, przemawia przez nią Jelly, która z niepokojem spogląda znad sterty papierów, a nagle przygnębienie tłumaczy brakiem dziecka. Próbuje prześcignąć Angelikę i wyrzucić ze swoich myśli Angel.

Kiedy kobieta traktuje męża jak domowe zwierzę, każąc mu przynosić torebki i odmawiając zbliżeń, a wszystko to czyni z poczuciem wyższości, króluje w niej Angelika. To ona twierdzi, że mężczyźni to zboczeńcy, brudasy i pełne agresji gbury. Prawdziwe zwierzęta!

Kiedy zaś kobieta ucieka z przyjacielem męża, mówiąc, że to silniejsze od niej, kiedy tylko mrugnie okiem i już odbija przyjaciółce chłopaka, staje się Angel. Ma dobre serce, ale zbyt wielki temperament i za grosz poczucia przyzwoitości.

Lady Rice ma „kłopoty z odnalezieniem się w nowej sytuacji”, jak to ładnie ujął terapeuta ogłaszający się w ga-

zecie codziennej. Inaczej mówiąc, w jej psychice eksplodują gwiazdy, a czarne dziury zioną pustką. Rozdarta i umęczona, ucieka pod skrzydła Angeliki, Jelly i Angel.

Jest coraz gorzej. Zbliża się całkowite załamanie. Skąd nadejdzie pomoc i kto jej udzieli? Na polu bitwy, jakim stała się biedna Lady Rice, zjednoczone siły duszy - unicy - bronią się przed atakiem słabnących konfederatów. Sztandar zostaje zniszczony, trudno odróżnić dobro od zła, wszystko wydaje się nierealne, nikomu nie można zaufać, przeszłość przestaje się liczyć, przyszłość jest niepewna, dawni przyjaciele odeszli. Zastawa stołowa, do której przyzwyczała się Lady Rice, nie należy już do niej, lecz do przyszłych dziedziców fortuny Rice'ów- jak pisze Sir Edwin w liście do Briana Mossa. Lady Rice nie może już korzystać ze swych starannie wyprasowanych atlasowych prześcieradeł, a co gorsza, jej rywalka leży w czystej, ekologicznej lnianej pościeli, w sypialni na drugim piętrze, i baraszkuje z jej mężem. Lady Rice widzi to wyraźnie. Rozpacz rozwinęła w niej zdolności telepatyczne.

Biedna Lady Rice. Idzie przez życie jak we śnie, zmieniając wcielenia jak wielu ludzi, którzy rozstają się z marzeniami o miłości, rodzinnym domu, spokojnej egzystencji, którzy stoją na ruchomej wydmie zamiast na litej skale. Kiedy rozpada się małżeństwo, gdy uszkodzonym pękają spodnie w szwach i opadają majtki, a dookoła wszyscy się śmieją, nawet hotelowi uciekinierzy zasługują na współczucie.

Nic dziwnego, że zaczynają ufać Jezusowi. On nigdy nie zawiedzie. Na tej opoce zbudowano Kościół, powtarzamy, pomijając co bardziej zawile historie z przeszłości,

starożytne pergaminy Izraelitów, finansowy skandal wśród londyńskich bankierów żydowskich. Zwoje z Morza Martwego - symbol utraconych nadziei.

W oczach Lady Rice uzyskanie alimentów to zapewnienie sobie miejsca na litej skale, na której można budować przyszłość na miarę własnych możliwości. Angelika zajmie się planowaniem, Jelly pracą, a Angel seksem.

13 Wybuch

Lady Rice, pęknięty dzban, zlepek kilku istnień zamkniętych w jednym ciele, siedzi w łóżku owinięta jedwabnym prześcieradłem, kupionym w butik na parterze, oczywiście na rachunek Sir Edwina. Patrzy w lustro, i nagle ogarnia ją uczucie straszliwej samotności, zaczyna płakać z bezsilności.

- Dłużej tego nie zniosę! - szlocha.

Jednak większość ludzi, mimo takich deklaracji, jest w stanie znieść o wiele więcej[^] ponieważ nie mają wyboru. Rozpacz jej okazuje się tak ogromna, że zamiast wybuchnąć, Lady Rice zatracą się całkowicie w swych wcieleniach.

Zaczyna się rozpadać.

- Na miłość boską, weź się w garść! - rozkazuje Jelly, spoglądając na nią z lustra, a po chwili dodaje łagodniej: - Miałaś ciężki dzień.

- Następnym razem pojedziemy autobusem, a nie metrem - odzywa się Angelika. - To mniej stresujące. Proszę, przestań płakać, bo inaczej będziemy miały spuchnięte oczy! Boże, spójrz tylko na siebie!

- Chodźmy na dół do baru - proponuje Angel. - Można tam poderwać jakiegoś biznesmena, zabawić się, popieprzyć, lepiej lub gorzej, ale w tych

sprawach zawsze jest ryzyko. Warto wydać parę groszy i rozerwać się.

- Na co mamy wydać? - pyta Lady Rice.

- Na narkotyki.

Lady Rice wydaje okrzyk przerażenia.

Po chwili jednak zaczyna szukać w szafie swojej najlepszej bielizny. Jelly protestuje.

- Nie wolno ci tego robić. Musisz się wyspać. Rano idziesz do pracy - ale Angel szczypie ją w lewe ramię, zostawiając czerwony ślad. Jelly milknie.

Angelika przygląda im się przerażona. Lady Rice znów krzyczy, po czym mdleje, rozpadając się na kawałki. Nic z niej nie zostaje.

Zasypia w łóżku, dając swym trzem wcieleniom całkowicie wolną rękę.

Randka Angel

Barman uśmiecha się do Angel. Jest to młody Grek o brązowych oczach i miłym spojrzeniu. Ma na sobie śnieżnobiałą koszulę i obcisłe spodnie. Chodzi wzdłuż kontuaru, zbierając zamówienia od ospałych klientów. Na widok jego umięśnionych, kragłych pośladków Angel z zachwytem oblizuje pomalowane karminową szminką wargi, ukazując koniuszek różowego języka.

Angelika rzadko się maluje, Jelly lubi spokojny, stonowany makijaż, natomiast Angel używa wszystkiego w nadmiarze. Ma na sobie krótką spódniczkę odsłaniającą uda i pępek, srebrne szpilki oraz czarną skórzaną kurtkę zapiętą na wielką agrafkę w kształcie emaliowanej róży, podobną do błyskotek, które szejkowie kupują u jubilera dla swoich wybranek.

Ruchem głowy barman wskazuje dyskretnie oświetlony wolny stolik w rogu. Wnętrze jest utrzymane w różach

i szarościach. Angelika nie może na nie patrzeć, Jelly wydaje się zachwycona, Angel zaś tak podekscytowana Iaktem, że czuje własny język na wargach, iż nie zwraca uwagi na otoczenie. Edwin, małżeństwo, niesprawiedliwość, alimenty, prawo, wszystko to należy do innego świata, przestaje się liczyć.

- Powinienem odstraszać samotne damy, ale pani może tylko pomóc naszemu lokalowi - mówi barman.

Jelly już, już chce odpowiedzieć, że to oburzające, że uwłacza to jej godności, bo skoro nie wpuszcza się samotnych kobiet, to dlaczego pozwala się przychodzić samotnym mężczyznom? Jednak Angelika i Angel uciszają ją. Angel siada przy stoliku z kieliszkiem w rękę i podciąga spódniczkę jeszcze wyżej. Wysuwa przed siebie nogi, by ukazać je w całej okazałości. Tego wieczora bar pełen jest eleganckich, podstarzałych par. Wszyscy starają się omijać wzrokiem stolik, przy którym siedzi Angel. Panie spoglądają błagalnie na odwróconego plecami barmana, a mężczyźni ukradkiem rzucają na Angel pożądliwe spojrzenia.

- Boże, to obrzydliwe i wulgarne - odzywa się Jelly.

- A czego się spodziewałaś - mówi z goryczą Angelika. - Angel jest wulgarna.

- Jestem pewna, że rano będzie tego żałować. Wszystkie będziemy miały się z pyszna.

- Cicho, kwoki! - przerywa im Angel, odpinając kurtkę, by odsłonić swój obfity biust. - Ja na pewno niczego nie będę żałować.

- Nie mogę w to uwierzyć. Angeliko, chodźmy do domu - prosi Jelly.

Angelika próbuje wstać, ale pod wpływem alkoholu nogi odmawiają jej posłuszeństwa. Lady Rice rzadko pijała coś mocniejszego niż tonik. Szybko siada z powrotem.

Po chwili do baru wchodzi dwaj mężczyźni o zaróżowionych twarzach. Wyglądają na Amerykanów. Obaj mają około czterdziestki, są dobrze zbudowani; przeciwieństwo bogatych, zniewieściałych i nudnych angielskich ty-

pów odwiedzających nocne lokale. Nie przypominają też energicznych, gadatliwych i agresywnych Arabów, którzy przychodzą w zwartych grupach i szukają dziewcząt o dużych piersiach, dzięki którym chcą na chwilę zapomnieć o surowych zakazach. Dwaj Amerykanie wyglądają na inżynierów, którzy rozpoczęli karierę jako zręczni fachowcy od wszystkiego i szybko awansowali na kierownicze stanowiska, a może nawet stali się udziałowcami swoich firm. Faceci zajadający steki z frytkami zamiast kawioru, wylewni, skorzy bardziej do wzruszeń niż bijatyk, zakochani w swych szarych, zwyczajnych żonach, mężczyźni, którzy lepiej czują się w barze niż w nocnym klubie. Angel wzdycha z rezygnacją.

- Dwie zbląkane owieczki na obcym pastwisku

- rzuca z przekąsem Angelika. - Ciekawe, kiedy ostatnio zmieniali slipy. Angel, jak możesz?

- Przymknij się! - ucisza ją Angel stanowczym tonem. - Stanę się dla nich nagrodą w kawalerski wieczór. To przywilej, nie hańba.

Parę słów do ucha barmana, który ruchem głowy wskazuje stolik Angel. Obaj mężczyźni odwracają się i patrzą na nią niezdecydowani.

- Angel, zastanów się! Znam ten typ barmanów.

- szepcze Jelly. - On po prostu chce się ciebie pozbyć. Obniżasz poziom jego lokalu. Podsunie ci pierwszego lepszego faceta, który tu wejdzie. To okropne i poniżające. Spróbuj przynajmniej poderwać jakiegoś milionera. Błagam cię, nie oddawaj nas za bezcen!

- Zamknij się, do jasnej cholery! - syczy Angel i znów szczypie Jelly w ramię, próbując przy tym ukryć grymas bólu i uśmiechnąć się z wysiłkiem,

gdyż dwaj mężczyźni zbliżają się do jej stolika, niosąc dwie szklanki whisky dla siebie i podwójny uśmiech dla niej. - Przynajmniej jestem warta tyle, ile za mnie płacą.

W końcu obaj dostaną trzy kobiety naraz zamiast jednej, choć Angelika zacznie się stawiać, a Jelly zmrozi ich wzrokiem. Ale seks to seks. Kiedy ciało poddaje się instynktom, inne głosy nie mają znaczenia, a nawet mogą stanowić dodatkową podniecie.

Lady Rice śpi. Skąd u niej ten instynkt przetrwania? Wiodąc życie z dala od codziennych spraw może wierzyć w swą całkowitą niewinność. Przy bliższej analizie zaskakuje jej mądrość życiowa, wiedza zdobyta nie przez jedną lub trzy, ale całe pokolenia kobiet. Niestety, Lady Rice jest również obarczona masą fałszywych przekonań i wyuczonych odpowiedzi, a do tego ma kłopoty z samą sobą i nie jest niewiniątkiem. Brakuje jej jeszcze wprawy w opanowaniu sztuki przetrwania wzorem ameby, ale wszystko to jest jeszcze przed nią.

Po lewej stronie obok Angel usiadł Michael ze złotym zębem i falą siwych włosów nad czołem, a rudy David o niebieskich małych oczkach usadowił się po prawej.

- Miło panią poznać - odzywają się równocześnie. Znaleźli się tu przejazdem. Uśmiechnęła się i odpowiedziała coś bez znaczenia. Mieszkają w hotelu na przedmieściach, co zresztą widać.

Ich garnitury nie wytrzymują porównania z wyprasowanymi ubraniami przynoszonymi z pralni hotelu Claremont. Ciągłe pakowanie i niezbyt troskliwe ręce personelu zostawiły na nich ślady.

Michael i David proponują Angel kolejny kieliszek dżinu, uważnie przyglądając się, jak pije. Mówi, że ma na imię Angel i jest z zawodu prywatną pielęgniarzką. Obecnie opiekuje się starszą panią po zawale, która mieszka w hotelu Claremont. Nie należało przedstawiać się w zbyt dobrym świetle ani też sugerować profesji, na jaką wygląda. Taka gra bardziej sprzyja amatorom niż profesjonalistom.

- Nomen omen - zauważają, dodając, że wydaje się przygnębiona i trzeba ją pocieszyć. Kiwa głową potakując. Michael kładzie swą wypielegnowaną dłoń na jej lewym ramieniu, David na prawym.

- Spytaj, czy są żonaci - syczy Jelly.

- Daj mi wreszcie spokój - mówi na głos Angel.

- Czy to do mnie? - pyta zaskoczony Michael.

- Przepraszam - tłumaczy się Angel. - Czasem mówię do siebie.

David pochyla się nad nią i lekko ściska palcami jej usta.

- Nie mów tyle - prosi. - Kobiety nie powinny za dużo mówić, bo mogą narobić sobie kłopotu.

Zauważyła obrączkę na jego palcu. Nie ma wątpliwości, że jest żonaty.

- Czy ty niczego nie potrafisz uszanować? - pyta Angelika.

Jelly odpowiada:

- Daj spokój, nie powstrzymasz jej. Co będzie, to będzie.

I tak też się dzieje.

Michael zauważył troskliwie, że zasłaniając Angel usta David uniemożliwia jej picie. David cofnął rękę, a Angel

obdarzyła swych towarzyszy promiennym uśmiechem. Barman otworzył im drzwi. Wyszli na ulicę, podtrzymując Angel z obu stron.

- Jestem tak pijana, że nie mogę utrzymać się na nogach - powiedziała Angel do barmana i pocałowała go czule na pożegnanie.

- Nie tak szybko - upomniał David, przyciągając ją do siebie.

- Czy to nie Lady Angelika Rice? - zdziwił się portier, widząc jak cała trójka stąpając niepewnie po marmurowej posadzce kieruje się do wyjścia.

- Oczywiście, że nie - odparł barman. - To jakaś puszczalska, która chciała narobić nam ambarasu. Upiłem ich i wyrzuciłem najszybciej jak mogłem.

- Lady Rice incognito - zauważył szatniarz. - Nie nasza sprawa. Sama powinna troszczyć się o siebie.

Idąc wzdłuż Oxford Street, Jelly wciąż oglądała się przez ramię.

- O co ci chodzi? - pyta rozdrażniona Angelika.

- Rozpraszasz mnie. Staram się utrzymać ją na nogach.

- To wszystko jest podejrzenie proste - mówi Jelly.

- Coś mi się tu nie podoba. Może to pułapka. A jeśli ktoś nas rozpozna i powie Edwinowi? Możliwe, że nas śledzą i w ten sposób zyskają dowód na rozprawie.

- To jakaś paranoja - przerywa im Angelika. - Co do mnie jestem nawet zadowolona, że będę mogła zdobyć nowe doświadczenia w tej dziedzinie.

- Bo tak naprawdę jesteś zwykłą dziwką - zauważa gorzko Jelly. - Nie jesteś wcale lepsza od Angel. Angel potknęła się. Michael i David podtrzymali ją z obu stron. Michael wsunął jej rękę pod kurtkę i obmacuje piersi. Jest to nawet miłe.

- Tego już za wiele - szepcze Angelika i zamyka oczy. - Idę do Lady Rice.

- Ja też - odpowiada Jelly. - Angel, radź sobie sama.

Nim jednak dołączyła do Angeliki, zdołała wyrwać obcas z dziury w chodniku, zamiast zostawić but za sobą, co niewątpliwie zrobiłaby rozbawiona Angel, która nigdy nie grzeszyła zapobiegliwością ani ostrożnością. Lubiała gubić i rozdawać. Szpilki zrobione ze srebrnej siatki były bardzo drogie. Lady Rice wkładała je jedynie na specjalne okazje. W rodzinie Rice'ow używano raczej prostego, sportowego obuwia. Jelly zastała Lady Rice rozebraną do połowy, w obcym łóżku; im mniej widać, tym lepiej. Myślała tylko, jak przetrwać. Przypadkowe stosunki były szaleństwem. Zboczeńcy, mordercy, gwałciciele zarażeni wirusem HIV, wszystko to było częścią ryzykownych przygód z obcymi ludźmi. Wszędzie, nawet koło domu, krążyli sadyści, rozpasane samce żądne rozrywki, wygłodniali mężczyźni szukający ofiary, którą mogliby upokorzyć. Jeśli wiedziała o tym Jelly, dlaczego Angel udało się wplątać w całą tę historię biedną Lady Rice? A może Lady Rice uważała, że wszystkie historie miłości mają tragiczne zakończenie? Co mogli zrobić dwaj mężczyźni z jedną kobietą? A może Angel ratowała życie pozostałym?

Gdy jednak przyszło co do czego, Michael i David wykazali więcej zainteresowania sobą niż Angel. Angel, jak złośliwie zauważyła Angelika następnego ranka, była jedynie świadkiem niekontrolowanego wybuchu pożądania, a może nawet miłości, niczym słodki dżem na suchej, twardej kromce chleba, rozsmarowany w nadziei, że uczyni ją bardziej mięką. Jelly czuła się zde gustowana.

- Czasem przesadzasz z tymi metaforami. To byio obrzydliwe. Mężczyźni to zwierzęta. Potrzebowali kogoś na wypadek, gdyby się sobą znudzili. Nie było w tym nic z miłości. Angel zauważyła nieśmiało, że wyglądali na zakochanych, a poza tym nikt nie przywiązuje teraz wagi do uczuć. W każdym razie ona dobrze się bawiła i zarobiła sto funtów w gotówce. Kiedy Angelika przygotowywała pachnącą kąpiel, a Jelly posłała łóżko i próbowała naprawić złamany obcas, zmęczona i wyczerpana Angel zamilkła i uciekła do swej jaskini. Jelly spytała:

- Co z nią zrobimy? Sprowadzi na nas nieszczęście.

- Nie wiem - odparła Angelika, która opatrywała swoje rany najróżniejszymi maściami.

Przy śniadaniu Angelika powiedziała:

- Mam wrażenie, że widziałam dziś rano tego barmana i że wczoraj wieczorem na nas czekał. Nasłali go, by nas śledził. Zobaczył nas o czwartej nad ranem, pijane, w podartej spódnicy i bez eskorty. Może zrobił zdjęcia?

- Niemożliwe, zauważyłabym lampę błyskową

- przerwała zniecierpliwionym głosem Jelly.

- Znajdowałyśmy się w takim stanie, że niczego nie mogłyśmy zauważyć.

- No cóż, przynajmniej znów jesteśmy w komplecie. Noc poza domem czyni cuda - odezwała się Jelly, odzyskując humor.

- Mów za siebie! Dla mnie było to upokarzające i bezwstydne. Ale widocznie sobie na to zasłużyłam

- powiedziała Angelika.

Ze smakiem wypily czarny, mocną kawę. Rogaliki były świeże, szarlotka wyborna. Świeciło słońce.

- Spałyśmy tylko cztery godziny - odezwała się Lady Rice - a przed nami cały dzień pracy! Nie wiem, co mi czasem przychodzi do głowy.

Dzień był stracony. Lady Rice próbowała dojść do siebie, podczas gdy Jelly walczyła z kacem i sennością. Ból i rozpacz, że Edwin woli inną kobietę, która z taką łatwością nim zawładnęła, a do tego odebrała jej dom, majątek i po prostu sprzątnęła jej sprzed nosa całe życie, zelżał.

Lady Rice wcielała się w coraz to inne postacie, by przetrwać najgorsze chwile. Cóż innego jej pozostało?

Jelly zapomniała wpisać do pamięci komputera dokument i cały dzień pracy poszedł na marne.

Straciła list od Barneya Evansa, o którym zapomniała powiedzieć Briano-wi. Jeśli przyjdzie kolejne pismo z prośbą o szybką odpowiedź, nic nie stoi na przeszkodzie, by je także zgubić.

Nagle Jelly przestała się spieszyć. Pomyślała, że ma mnóstwo czasu. Dopóki była wolna, mogła cieszyć się życiem. To wystarczyło. Odwołała spotkanie z Ramem, tłumacząc się bólami menstruacyjnymi. Angel wyczerpana poprzednią nocą musiała się wyspać.

Czesc Druga

Chwila Rozrywki

Rodzinna bitwa

Teraz ja, Lady Rice, opowiem wam o paru wydarzeniach z mojego życia, bo wierzę, że przyniesie mi to ulgę. Jak dotąd każda wędrówka myśli, którą podejmowałam, kończyła się na wyobrażaniu sobie Edwina z Antheą w łóżku. Było to nie do zniesienia. Jednak teraz jest inaczej. Moją ostatnią wędrówkę sprowokował poseł Tully Toffener, jeden z klientów Briana Mossa. Podróż ta zakończyła się w miarę bezboleśnie, z uczuciem całkowitego oderwania od rzeczywistości. Może wreszcie dojdę do siebie?

Tully zadzwonił do szefa. Przysłuchiwałam się ich rozmowie, po raz pierwszy za wiedzą i przyzwoleniem Briana. Jelly zwykle podgląda, podsłuchuje i przemyca taśmy do domu. Robiła to często jako dziecko. Podglądała przez dziurkę od klucza, podsłuchiwała rozmowy telefoniczne, kradła drobiazgi w sklepie. Wraz z depresją powróciły stare przyzwyczajenia. - Biedny człowiek - wyraził się Tully o nowym dziadku swojej żony. Babka Sary, Wendy, nieoczekiwanie wyszła znów za mąż. Prysł nadzieje Sary na odziedziczenie majątku. Wszystko wskazywało na to, że Wendy i stary Congo postanowili przed śmiercią przepuścić

pieniądze. W głosie Tully'ego brzmiała fałszywa nuta współczucia.

- Biedny człowiek - powtórzył. - Zaczyna mieć omamy. Dla jego własnego dobra powinno się go zamknąć w zakładzie. Cierpi na uwiąd starczy. Choroba Alzheimer'a czy coś takiego.

Podczas ostatniego weekendu, zamiast płakać i oglądać kanał telewizyjny Sky, opisałam wyobrażoną przez siebie scenę. Dotąd nie było mi to potrzebne, ale sprawa rozwodowa wymaga poświęceń. W hotelu obiecano dostarczyć mi komputer za drobną opłatą. Oto ta scena:

Zza drzew oazy Beduini rzucają się hordą na bezbronnego starego człowieka. Rewolucjoniści z czerwonymi opaskami, w szarych łachmanach wbiegają na barykady z zapalonymi lontami.

Pirat w podartej atlasowej kurtce, w czapce z trupią główką i w skórzanych butach z ostrogami śpi w kucki na szczycie drewnianej komody.

Od czasu do czasu Dzwoneczek - dobry duszek Piotrusia Pana - zaświeci w ciemnościach, rozsypując w przestrzeni garść brylantów. Szczupły mężczyzna w czarnej obcisłej kurtce skórzanej czai się za firanką jak papierowa postać z dziecięcego teatrzyku. Jego mocne ręce ściskają sznur z pętlą. Co pewien czas porusza nim złowieszczo, zaglądając staruszkowi głęboko w oczy.

Goście przychodzą o zmierzchu i znikają o świcie. Congo walczy z nimi przez całą noc, wymachując w powietrzu laską. Rano pada ze zmęczenia, ale przynajmniej wie, że broni Wendy, przynajmniej ona może spać spokojnie. Kiedy Wendy budzi się, spogląda na niego pełnymi

uwielbienia oczami i mówi „Mój ty bohaterze” lub coś równie banalnego. Żali się cicho, że ma pusty kieliszek, a wtedy on udaje się w niebezpieczną podróż do łazienki, gdzie stoi lodówka, a w niej butelka wódki. Zamrażarka obrasta lodowymi jęzorami, które wypelzają coraz dalej i dalej, aż w końcu nie będzie można zamknąć lodówki. I co wtedy?

Nie warto zaprzętać sobie głowy przyszłością, gdy teraźniejszość dostarcza tylu rozrywek. Większość rzeczy, które znajdowały się w mieszkaniu, zdołali już sprzedać. Nie spoczną, póki nie pozbędą się wszystkiego. Co tydzień Congo otwiera przed Wendy pusty portfel, a ona wskazuje palcem kolejny mebel. Zwykle milczy. Mając dziewięćdziesiąt dwa lata, nie jest w stanie wszystkiego nazwać. Perski dywan, zasłony z czasów regencji, lampa od Tiffany'ego, sekretarzył Congo wola Arthura, Boba lub Alice, którzy wpisują się do zeszytu, dodając kolejną pozycję do listy sprzedanych rzeczy. Ktoś przychodzi z pieniędzmi i zabiera mebel. Czasem pozbywają się drobiazgów. Ostatnio sprzedali sześć srebrnych łyżeczek w miękkim granatowym etui, które leżały w kredensie. Osiem miniatur ze ściany i co jeszcze? Kupcy są zadowoleni. Uśmiechają się, wesoło gawędzą i nie przeszkadza im nawet przykry zapach w pokoju ani bałagan. Nic ich nie dziwi.

Czyż posiadanie nie jest formą wyzysku? Pisał o tym przecież Marks. Ani Wendy, ani Congo nie zdobyli niczego własną pracą. Pieniądze same wpadły im w ręce. Nie zarobili ich. Nie można zabrać nawet najwspanialszego dobytku do grobu. Niech inni mają z niego pożytek, uczciwie lub nieuczciwie zarabiając na życie. Inaczej

wszystko wpadnie w ręce Sary i Tully'ego. Krewni są bardziej niebezpieczni i okrutni od obcych. Rodzina handluje miłością i nienawiścią, używając dóbr doczesnych jako broni oraz symbolu. Kupcy prawie nigdy się nie targują.

Co sprowadza tu nocnych gości? Dlaczego wciąż go napastują i straszą? Congo nie zna odpowiedzi na to pytanie. Używają języka, jakim nigdy nie posługiwał się Congo, narzucają swój punkt widzenia.

- Musisz odmrozić lodówkę, ty zakuta pało - warknął złowrogo kat w czarnej skórze, podczas gdy Congo próbował go odpędzić laską.

- Mam w kieszeni twoją sztuczną szczękę - pochwalił się któregoś dnia rewolucjonista. - Gotujemy na niej zupę, bo nie mamy co jeść. To wy, tłuste burżuje, zabieracie nam żarcie.

I niczym żmija zaczyna się zwijać i kręcić w swoich szarych łachmanach z czerwonymi wstążkami. Wykonuje piruety na dębowym parkiecie. W końcu rozdziera ubranie o wystający gwóźdź, który Congo już dawno chciał wbić, i kaleczy sobie chudą stopę o skórze wyschniętej i pomarszczonej jak u mumii. Szczegóły są w życiu najważniejsze. Po chwili Congo słyszy głos Dzwoneczka, który wylatuje nagle z kryjówki, wołając:

- Kiedy Wendy spała, zabawiałem się z nią moją różdżką. Była zachwycona. Stara zbereźnica! Congo próbuje zachować twarz, ale czasem traci cierpliwość.

- Wynoście się stąd! - krzyczy do zjaw. - Kim jesteście? Czego chcecie? To jest mój dom - ale nikt go nie słucha, jakby on sam był zjawą.

Pewnej nocy kat odłożył sznur, by naostrzyć gilotynę. Przenikliwy zgrzyt rani uszy Conga. Ostrze zaplątuje się w cienką firankę i rozcina ją, odsłaniając spokojne ulice dzielnicy Chelsea. Stare, porządne kamienice na Lodestar Avenue, uwielbiane przez turystów kamienne lwy, światła z rzadka przejeżdżających samochodów. I cichy odgłos rozrywanej firanki'. Congo nie zauważył różnicy pomiędzy rzeczywistością pokoju a ulicą. Co robić? Kiedy wyjrzał przez okno, zobaczył grupkę Arabów tłoczących się przy ogrodowym murze. Wszyscy wpatrywali się wyglodniałym, nieufnym wzrokiem w jego okno. Co robić? Choć oboje byli bogaci, w domu nie mieli już jedzenia, tylko lód i wódkę. A przecież starzy ludzie też muszą jeść. No cóż, tak to sobie wyobraziłam, kiedy wysłuchiwałam pretensji Tully'ego Toffenera. Nie zdawałam sobie jednak sprawy, w jakim stopniu ta historia zaważy na moim życiu. Dziwne, jak to się wszystko plecie. Sceny, które kiedyś sobie wyobraziłam, zostają w pamięci przez lata i nie wiadomo dlaczego nagle stają się bardzo ważne. Krótka rozmowa z nieznajomym na brzegu jeziora. Nieznajomy i jezioro zapadają w pamięć, choć nie ma ku temu żadnych powodów. Potem okazuje się, że nieznajomy to brat twego przyszłego męża, a nad jeziorem znajduje się dom odziedziczony przez przyjaciółkę. Jedno i drugie staje się częścią twojego życia. Takie przypadki zdarzają się niezwykle często i są banalne. Przypomina to cienie idei platońskich. Ale wróćmy do mojej historii. Wieczorem Congo czuł się zmęczony i nie miał siły walczyć ze zjawami. Jednak właśnie w nocy pojawiała się ich najwięcej.

Jeśli dobrze sobie przypominam, według aborygenów człowiek jest tylko senną marą śpiącego psa dingo, a świat przybiera kształt dzięki mocy jego snów. Wszystko się zgadza. Congo jest zjawą, którą wyśnił sobie pies dingo. Myślę, że z takim scenariuszem dam sobie radę. Przynajmniej na jakiś czas zapomnę o własnych kłopotach. Zacznę nienawidzić Tully'ego i Antheę, nauczę się nimi gardzić. Nienawiść jest jak masło, dzięki któremu można przelknąć suchą kromkę życia.

Dobrzy i źli

- Congo ma halucynacje - zauważył z udawanym współczuciem Tully Toffener. - Trzeba go wreszcie gdzieś zamknąć razem z tą starą kobietą, zanim się pozabijają. Inaczej to się źle skończy. Mam już tego dosyć. Nie chodzi mi o ratowanie staruszki, bo w moim interesie leży, by prędzej umarła, ale dlaczego Warbyemu ma to ujść na sucho?

- Jak to „na sucho”? - zdziwił się Brian. Miał łagodny głos doświadczonego prawnika. 'Zawsze, gdy zwracał się do swego klienta, jak i do kolegi po fachu, mówił powoli. Jednak jego umysł pracował szybko. Na jedno słowo przypadały trzy myśli.

- Okrada swoją żonę - wyjaśnił Tully Toffener - chce sobie przywłaszczyć jej majątek.

- W jaki sposób? - spytał Brian, jakby naprawdę go to interesowało. Był w tym świetny!

- Gdyby ta stara dziwka nie wyszła powtórnie za mąż, dzierżawa kamienicy Lodestar przeszłaby na Sarę. Wendy jest jej babką ze strony matki. Sara jest jej jedyną żyjącą krewną. Musimy walczyć do końca.

Brian milczał przez chwilę, udając zamyślnego.

- Ale Congo Warby jest jej mężem - zauważył po chwili - a ty i twoja żona mieszkacie w luksusowych

warunkach, w nader luksusowych warunkach, jeśli mam być szczery. Wątpię, byś miał prawo o cokolwiek się upominać.

- Warby ożenił się z Wendy, żeby przejąć dom przy Lodestar Avenue - nie dawał za wygraną Tully. - Wszyscy wiedzą, że Wendy od dwudziestu ośmiu lat ma zaniki pamięci. Nie widzę powodu, dla którego mamy z Sarą mieszkać w skromnym domu, jeśli kamienica Lodestar prawnie nam się należy. Słuchaj, dzwonię z parlamentu. Muszę wracać na głosowanie.

Tully Toffener mieszkał w luksusowej dzielnicy przy Livermore Gate, W8. Jego pulchna postać i łysina stanowiły wdzięczny temat dla karykaturzystów, a mimo to jego cichy głos budził zaufanie, a mocno zarysowana szczeka respekt. Miał wydatne różowe usta.

- Chodzi o to, że kiedy Sara chce odwiedzić Wendy, Congo nie wpuszcza jej do mieszkania - mówił dalej Tully. - Zabarykadował wejście. Nie otwiera drzwi nawet pielęgniarce, którym należy się parę groszy. Sara jest przerażona i martwi się o swoją babkę. Jedyni ludzie, których wpuszcza Congo, to te szumowiny handlarze. Biegają po domu jak szczury i wynoszą wszystko, co się da. Musisz mi pomóc.

- Prawo nie może zmusić ludzi, by otwierali każdemu drzwi - odparł chłodno Brian. - Nie mamy też dowodów, że małżonkowie źle siebie traktują, że postradali zmysły albo są niebezpieczni dla otoczenia.

- Są niebezpieczni dla mnie, do cholery! - wrzasnął Tully Toffener. - Robią, co chcą, z majątkiem mojej żony. Tylko nie przekonuj mnie, że starzy ludzie to nie przesyłki pocztowe, że mają własną wolę i potrafią myśleć.

Gdybym ja rządził tym krajem, wszystkich powyżej osiemdziesiątki związałbym jak paczki i wysłał na tamten świat, uwalniając od koszmaru życia. Znajdź coś na tych starych. Zamknij ich w jakimś bezpiecznym miejscu. Załatw mi opiekę prawną. Muszę kończyć! - i odłożył słuchawkę.

- Ludzka natura jest skomplikowana - rzekł Brian, odwracając się do Jelly. Jakby nie doświadczyła tego na własnej skórze!

Brian powtórzył jej to, co już wiedziała z lektury dodatku prawniczego w *The Times*. Szef jej lubił jednak rozwodzić się na temat negatywnych zmian w przepisach prawnych, pozwalających lokatorom wykupywać mieszkania dzięki korzystnym kredytom i za kwotę, na jaką wyceniano nieruchomość w momencie wprowadzenia się do niej tegoż lokatora. ~^

- Ta staruszka jest z przekonania socjalistką i nie wierzy we własność prywatną. Doprowadza Tully'ego do obłądu.

- Co będzie, jeśli nic się nie zmieni? - zainteresowała się Jelly.

- Dom przejdzie w ręce prawowitego właściciela. Tully straci parę milionów - odparł Brian. - Dziś prawo karze tych, którzy nie wykorzystują możliwości zarobienia paru groszy.

- Co pan zamierza zrobić? - spytała.

- Tully jest moim klientem - odparł pewnie Brian. - Etyka zawodowa każe mi dbać o jego interesy, zrobię więc wszystko, by wyrzucić staruszków z domu. Postaram się ich ubezwłasnowolnić i przekazać majątek Sarze. Ona przejmie dom, sprzeda go i zbije na tym fortunę,

dziedzicząc po drodze jeszcze parę groszy. Ten dom i tak się rozpada. Wygląda ponuro i okropnie. Wymaga remontu. Prędzej czy później stare musi ustąpić nowemu.

Jelly pomyślała, że Brian wie o moralności tyle co hodowlany królik. Prawdopodobnie wkrótce prześpi się z nią jako mężczyzna, a potem wycisnie z niej ostatnie soki jako pracodawca. W jego oczach jedno nie przeszkadzało drugiemu. Właściwie już się z tym pogodziła. Miała ciekawą, niezłe płatną pracę i musiała zarobić na życie, choć Barney Evans radził Lady Rice, by nie okazywała zbyt wielkiej przedsiębiorczości. Uważał, że kobiety czekające na rozwód powinny jawić się światu jako osoby bezradne, a jednocześnie przyzwyczajone do luksusu. Sąd widząc kobietę silną, niezależną i rozsądną, od razu ją karze. Im gorzej sobie radzi, tym lżejsza kara. Wbrew głoszonym wszem wobec zasadom równości płci prawo skłania się ku tradycji. Woli widzieć w kobietach nimfy, które co miesiąc muszą sobie kupić nowy kapelusz i krzyczą na widok myszy. Im lepiej kobieta wczuje się w tę rolę, tym bardziej zadba o nią sędzia.

Procesy majątkowe są niczym w porównaniu z zagmatwanymi sprawami rozwodowymi. Tak jak dla Briana Mossa, dla Jelly również porównywanie „odmiennych perspektyw” walczących ze sobą stron stało się niewyczerpanym źródłem rozrywki. Toffener i Warby kłócą się o majątek dlatego, że w naszym społeczeństwie nie dopuszcza się rękoczynów, żadnej fizycznej konfrontacji. Istnieje prawo, by to zrobić za nas, w przenośni oczywiście. Jednak sprawa rozwodowa państwa Rice'ow była czymś więcej, była walką o własne „ja”, a wtedy trudno o wygraną po którejkolwiek ze stron.

- Tutaj wygrać może tylko Anthea - powiedziała Lady Rice do Jelly. - Ta dziwka z końską szczęką, która obmacuje mojego męża i odbiera mi moją własność. Dlaczego tak się przejmujesz Tullym Toffenerem?

- Nie lubię go - burknęła Jelly, ucinając rozmowę. Wzorem wielu osób, które nie lubią siebie, spędzała mnóstwo czasu nie lubiąc innych.

Lady Rice lubiła ludzi, ale jak powtarzała do znudzenia kilku znajomym, którzy jej jeszcze pozostali, niewiele z tego miała.

- Zostaw ją - wtrąciła się Angelika. - Obsesja Jelly pozwala nam trzymać się z dala od Angel. Nie masz chyba ochoty na kolejne wyskoki w stylu Rama czy noce spędzone na ulicy z nieznajomymi facetami? Mogłyśmy przez nią wpaść w niezłe tarapaty. Na twoim miejscu zachęcałabym Jelly, żeby zaangażowała się w proce- Toffenera i Warby'ego o kamienicę Lodestar.

- Brakuje mi zdecydowania - przyznała Lady Rice, która rzadko mówiła o sobie tak krytycznie.

- Zwykle nie mam na innych wpływu. Nie mam wpływu nawet na samą siebie. Ale nie podoba mi się, że Jelly zaczyna się tak panoszyć. Dobrze wykonuje swoją pracę, ale nie ma za grosz wyobraźni. Nie mogłabyś mi pomóc, Angeliko? Ty też nie lubisz Toffenera, prawda? Zresztą, kto go lubi?

Co może Tully Toffener?

Tully Toffe ner zasiada w ławie rządowej w Izbie Gmin tylko wtedy, gdy jego przełożeni nie chcą pokazywać się publicznie ani odpowiadać na kłopotliwe pytania. Pełni wówczas rolę rzecznika prasowego. To na niego spadają oskarżenia, on ponosi winę i na nim skupia się niechęć. To on w zastępstwie i z upoważnienia zwierzchników oznajmia, że staruszki powinny płacić więcej za centralne ogrzewanie, że inwalidzi muszą osobiście doczłgać się na pocztę, by odebrać rentę, a biedni mają pić wodę deszczową, zamiast wody z kranu. Jednocześnie Tully musi głosić obowiązek kochania starych, kalekich i biednych. Jest ambitnym politykiem i nie pozwoli, by jego obluda wyszła na jaw. Za nic nie zdradzi, że najchętniej uśmierciłby wszystkich pokrzywdzonych przez los. Można go więc szantażować.

Tully jest całkiem przystojny. Ma okrągłą gładką twarz, bystre jasne oczy. Jest w pełni świadomy swej władzy, podobnie jak kobiety, które poznają go na przyjęciach i liczą na romans oraz dodatkowe korzyści. Sądzę jednak, że Tully zwykle spędza czas ze swoją żoną, którą kocha, aczkolwiek z przerwami. Nie mają dzieci.

Kiedyś podchodziłam do takich ludzi bez uprzedzeń. Po części nadal w niego wierzę i zgadzam się z jego

poglądami, że ludzie bogaci zasługują na szczęście, a biedni nie. Zaczynam się jednak zmieniać i dostrzegać prawdziwe oblicze Tully'ego. Znalazłam się po stronie pokrzywdzonych i prześladowanych. Stałam się łagodniejsza, a jednocześnie bardziej okrutna. Jak mówi Lady Rice, nie ma nic gorszego niż odrzucona kobieta. Stracona do piekieł musi się stamtąd wydobyć, ucząc się od nowa co dobre, a co złe, gdzie kryje się obluda i kto zasługuje na prawdziwą sympatię. Musi być czujna i ostrożna, gdyż wszystko może się obrócić przeciwko niej. Tak mówi Lady Rice.

Angelika dochodzi do wniosku, że strażnicy moralności zaczynają błędzić. Sądy nie wydają wyroków, a politycy za wszelką cenę chcą, by ich lubiano.

Wodzowie wybrani przez lud za jego zgoda Mądrzy i przekonujący w swych radach - Tak, tak. Tully Toffener przywódca ludu. Brian Moss przekonujący w swych radach. Kanalie, łotry! - krzyczy Angelika.

Ciągle ktoś mnie prowadzi, poucza i nic dobrego z tego nie wynika, myśli Lady Rice. Edwin kocha Antheę, ja jestem mu już obojętna. Te przykre myśli sprawiają, że znów rozpadam się na kawałki. Anthea ukradła mi męża, choć jestem od niej lepsza. Jak to możliwe, że Edwin woli ją ode mnie? Głowa mi pęka, wszystkie moje wcielenia zaczynają kopać i wiercić się w środku.

Witamy w naszym wspaniałym świecie

„Mądrzy i prze-ko-nu-ją-cy w swych ra-da-ch”

Ojciec kazał mi śpiewać sopranem Handla, zanim zdradziłam go dla rock'n'rolla. Jakże łatwo było uwielbiać i kochać, gdy nie wiedziało się jeszcze, że ludzie są tylko ludźmi, a nie bohaterami z książek, sławne zaś twarze znało się tylko z telewizji.

- Witaj w klubie - mówią doświadczone rozwódki do nowych koleżanek. - Witamy w naszym wspaniałym świecie!

Jaki wspaniały jest ten świat, mówił Disney. Myszka Miki ślizga się po tafli wód między czarodziejskimi szufladami wysuwającymi się z bajecznie tłustych królewskich brzuchów oraz ślicznych złotowłosych księżniczek o różowych policzkach. By przywrócić twarzy widza godny wyraz na chwilę może pojawić się Otello wsparty o nienaturalnie pokręcone drzewo albo czarny charakter w szatach czarownicy. A to wszystko w otoczeniu angielskich żywopłotów, szwajcarskich Alp, gdzieś w nadreńskim zamku, a może w tropikalnej dżungli. Jako tła nie wykorzystano jedynie śniegów Antarktydy.

Ludzie bowiem mieszkający w mroźnym klimacie muszą zachować siły, by walczyć o przetrwanie. Potrzebują innych ludzi, choćby jako dodatkowego źródła ciepła. Po co się klócić i tracić czas, kiedy o wiele przyjemniej jest ogrzać się, przytulić do drugiej osoby, wiedząc, że jest ona częścią świata żywych, a nie umarłych? Problem w tym, że ludzie zamieszkujący lodowe pustynie nie mają tyle sił co reszta ludzkości, nie mówiąc już o tym, że po trudach walki o przetrwanie szkoda im czasu na knucie intryg i wymyślanie tańców wojennych. W świecie prawdziwym - specjalnie nie używam tu słowa „prawdziwym”, bo oba określenia są względne - wśród arktycznych lodowców wylawianie z przerębli zabitych fok zastępuje taniec, a oznaką uprzejmości jest ofiarowanie sąsiadowi własnej żony.

Ciekawe, czy w takiej chwili eskimoska żona szturcha męża łyżką, którą mieszała właśnie zupę z foki, i kiwa głową na znak, że akceptuje wybór? Jak wobec tego przebiegają tam rozwody? Czy cudzołóstwo jest grzechem? Na czym polega płacenie alimentów? Czy znajduje się tam odpowiednik firmy Catterwall & Moss? Czy podobny do Briana przystojny, spokojny Eskimos podaje chusteczki zziębniętym, samotnym, nieszczęśliwym, wyrwanym z małżeńskich objęć kobietom i mężczyznom (oni też czasem płaczą) śnieżnej pustyni?

- Witajcie w naszym klubie! - odzywa się chór do ofiar wyrzuconych poza nawias społeczeństwa. - Witajcie w naszym wspaniałym świecie. Rozwodnicy wszystkich krajów, łączcie się! Nie zostaje wam nic innego, jak podzielić się doświadczeniami.

Nie żyję w upokorzeniu i biedzie jak wielu członków klubu tylko dzięki własnemu sprytowi, a nie dobroci Edwina.

- Nie dostanie ode mnie ani grosza - zapewniał mój mąż, rozmawiając przez telefon z Brianem Mossem. Miał dosyć wiecznego czekania na listy od mojego prawnika. - Dziwka! Nie dostanie ani grosza. Niech się procesuje, jeśli chce coś ze mnie wydusić.

Ten sam głos kiedyś był kochający i czuły.

Wierzcie mi, że o wiele lepiej jest mieszkać w hotelu Claremont niż w papierowym pudle na dworcu. Nie ma co liczyć na współczucie, lecz zadowolić się jakimkolwiek dachem nad głową, by uchronić swój świat od zagłady. Czy chcę, czy nie, życie koncentruje się na firmie Catter-wall & Moss oraz na pilnej sekretarce pewnego prawnika, Jelly White. Trzeba postawić wszystko na jedną kartę, trzeba domagać się sprawiedliwości, drażyć kamień jak woda. Musi się udać.

5

To nie moja wnuczka

- Jest tam kto? - Sara Toffener podeszła do podziurawionych przez korniki drzwi. - Jest tam kto? - powtórzyła, przypominając sobie wiersz Waltera de la Mare:

*Do drzwi pukanie w świetle księżyca
Koń w ciszy trawę gryzie
Wśród leśnych paproci poszycia*
Wymówiła te słowa jak zaklęcie. Kiedy była mała, babka dawała jej dwa szylingi za każdy wiersz, którego nauczyła się na pamięć. Sara najbardziej lubiła Waltera de la Mare, ponieważ jego wiersze były łatwe. Drzwi pozostały zamknięte. Chwyła stojącą pod drzwiami miotłę i uderzyła w spróchniałe deski, wznecając tumany kurzu i odłupując warstwę starej farby. Usłyszała za sobą trzepot skrzydeł. Coś wplątało jej się we włosy, pewnie nietoperz. Nie zdziwiłaby się, gdyby okazał się to nietoperz wampir.

- Nietoperze w dzwonnicy! - krzyknęła przez szparę w skrzynce na listy. - Nietoperze w dzwonnicy!

Mogła mówić wszystko, na co miała ochotę - mieszkańcy tego domu są głusi jak pień. Dlatego nie odpowiadają na jej pukanie.

87

Zarówno ludzie z domu opieki, jak i obrońcy zwierząt od dawna próbowali dostać się do kamienicy przy Lodestar Avenue. Zgodnie z ustawą parlamentu o ochronie rzadkich gatunków zwierząt na terenie Londynu nietoperze były chronione. Z niewiadomych przyczyn upodobały sobie ogród przylegający do tej właśnie kamienicy. Wśród gęstych zarośli, które niegdyś były pięknie przystrzyżonym żywopłotem oddzielającym ogród od wybiegu dla koni, odkryto również rzadki okaz sowy płomykówki. Sara i Tully uważali, że to absurdalne, wręcz niesmaczne, by w centrum miasta natura uwiliła sobie gniazdko bez niczyjej zgody, a co gorsza, bez jakichkolwiek korzyści materialnych płynących stąd dla właścicieli.

Na tej samej ulicy znajdował się tak zwany Ogród Fizyków, gdzie w celach naukowych założono kiedyś herbarium i teraz za niewielką opłatą oprowadzano po nim zwiedzających. Miejsce to przyciągało rzesze turystów. Natomiast ogród Lodestar był całkowicie zapuszczony, a wiadomo, że miasto nie toleruje zapuszczonych miejsc. Z każdym rokiem organizacje ekologiczne stawały się coraz silniejsze, prowadziły dochodzenia i wtykały nos w nie swoje sprawy. Jeśli Lady Wendy nie podejmie decyzji, to znaczy, jeśli wkrótce nie umrze, by Sara i Tully mogli przejąć kamienicę, ktoś wymyśli nową ustawę zabraniającą niszczenia zielonych terenów albo uzna nietoperze za istoty ważniejsze od ludzi. Szlag trafił plany Tully'ego, by zbudować tam mieszkania z przestronnymi pracowniami dla artystów i z widokiem na rzekę. Sara znów nachyliła się nad szparą w skrzynce na listy:

Z kościelnej wieży ptak wyfrunął Wprost nad jeźdźca czoło

A on do drzwi znów puka pytając: Dlaczego cicho tak wokół?

Sara zdjęła z nogi but i zaczęła walić obcasem w drzwi kamienicy, tego pałacu z rozpadającymi się wieżyczkami otoczonego wyschniętą fosą.

- Hej, wy tam! - Sara krzyczała i przyłgnęła do drzwi. Nikt nie słyszał. Na tej rozpadającej się klatce schodowej można stanąć twarzą w twarz z gwałtcielem albo zostać porwanym przez nagłą powódź, a i tak nikt by tego nie zauważył. Gdyby dom należał do niej, kazałaby odnowić drzwi wejściowe, a wnękę obok zabić deskami. Czula się jak w cuchnącej norze, gdzieś w slumsach Kalkuty.

- W domu nadal panuje głucha cisza.

Dlaczego jej babka, ten nietoperz krwiopijca, nie chce dać jej paru groszy, tylko zmusza ją, by odstawiała szopkę przed drzwiami, i każe recytować wiersze? To upokarzające, całe jej dzieciństwo było pasmem upokorzeń. Nigdy nie chciała należeć do rodziny będącej częścią artystycznej cyganerii.

- Otwórzcie drzwi, sklerotyczne szczury! - wrzasnęła przez zakratowany otwór w drzwiach. Cofnęła się, gdyż sprężyna w skrzynce mogła przyciąć jej wargi. Należało raczej wrócić do metod łagodnej perswazji. - Jestem waszą krewną. Nie chcę nikogo skrzywdzić.

Znów zastukała do wrót zamku. Dlaczego ludzie wpadają w obłąd? Sara urodziła się w tym domu. Odeszła, kiedy miała trzy lata wraz z matką Uną, która wkrótce zerwała wszelkie kontakty z rodziną z powodów prostych jak barszcz - jeśli przyrządzenie tej zupy jest rzeczywiście

proste. Sara jednak nie mogła się nigdy z tym pogodzić. Z jakiej racji? To nie jej wina, że była dzieckiem ojczyma Uny, która go zresztą sama uwiodła. Sara nie rozumiała, dlaczego z powodu matki ma być wyklęta przez rodzinę. Uważała, że ma prawo przychodzić tu, kiedy zechce, a jeśli najdzie ją ochota, może ten dom nawet spalić.

Od ulicy nic nie można było zobaczyć, ponieważ okna poczerniały od brudu.

„Mam ochotę zrównać ten dom z ziemią” - pomyślała. Wielką przyjemność sprawiłoby jej zmiżdżenie spychaczem stalowej kraty drzwi. Ach, wdrzeć się do środka z roztrzaskanym drewnem i framugą na metalowej szuflę, władczy ruchem przywołać zastępy policjantów, pielęgniarek, psychiatrów, śmieciarzy, szcziurołapów i sprzątaczek! Zakasać rękawy, wyrzucić obecnych lokatorów z ich przeszłością i duchami, wypędzić strach, brud, robactwo i zarazki. Pozbyć się wszystkiego co wrogie, połamane, zniszczone, pokryte kurzem. Wyczyścić, a jeśli to konieczne, wyszorować i wymyć cały dom, wyrzucić starych żołnierzy przyczajonych w okopach na polu bitwy. Zgodnie z wolą Tully'ego zostawiłaby jedynie antyki, zapraszając konserwatorów i znawców sztuki. Nie lubił marnotrawstwa, a tym bardziej skandali. Gdyby Wendy i Congo przeżyli ten najazd, oddano by ich w dobre ręce i zapewniono opiekę psychiatryczną, chociaż trzeba by za to płacić.

Tully przebywał w Izbie Gmin, gdzie jak zwykle miał wieczorne posiedzenie. Podczas jego nieobecności Sara wypijała butelkę wina, a jeśli nie miała nic lepszego do roboty, szła do swojej babki. Tak przynajmniej opowiada-

ła znajomym. Podkreślała, że jest przywiązana do rodziny. Często spędzała w ten sposób wolny wieczór. Dobijała się do drzwi mieszkania babki, żeby przypomnieć jej o swoim istnieniu, a potem wracała do domu. Ponieważ jednak dziś wieczorem była pełnia księżyca i przyływ, recytowała wiersze.

Nienawiści, żalu i emocji, jakie wzbudzało w niej zachowanie Wendy, Sara nie ukrywała jedynie przed mężem, który, rzecz dziwna, okazywał jej zrozumienie. Jedynie Tully ze swą różową twarzą, nabitym i napęczniałym do granic możliwości brzuchem zdawał się rozumieć gwałtowność jej uczuć i ich powód. Chodziło o zasady. Po prostu nie można było pozwolić, by Wendy Warby, mimo iż dźwigała na karku dziewiąty krzyżyk, dobrowolnie zrezygnowała z możliwości powiększenia majątku, kiedy jedynym warunkiem wzbogacenia się było podpisanie świstka papieru. Chodziło o pieniądze dla Sary i Tully'ego. Rodzinie coś się należy, jeśli nie miłość, to pieniądze.

Na pierwszym piętrze otworzyło się okno. Congo wysunął głowę i zawołał:

- Odejdź, bo wezwę policję. To własność prywatna!

- Ale czyja? - spytała Sara. - Może wejść na górę i porozmawiamy o tym?

Starła się mówić jak najłagodniej, zgodnie z radą Tully'ego. Postępując jak kochająca wnuczka, zwiększa się szansę na odziedziczenie majątku, niezależnie od woli zmarłego. Sąd często wydaje wyrok niezgodny z testamentem nieboszczyka, na korzyść żyjących. Podobnie jak w przypadku alimentów tym, którzy mają najwięcej, przyznaje się najwięcej. Dlatego należy mówić dobrze

o ludziach stojących nad grobem, ich pieniądze wkrótce mogą stać się naszymi pieniędzmi. Starzec mamrotał coś niezrozumiale i wskazywał na mur znajdujący się za jej plecami. Sara odwróciła się. Zobaczyła jedynie stertę cegieł, chodnik i chwasty, żadnego potopu ani pożaru. Congo przywołał ją ruchem ręki. Spojrzała wystraszona. Nie chciała zostać opluta przez bezzębnego lokatora.

- Przeprowadziłaś ich ze sobą - wymamrotał złowrogo- Kogo?

- Arabów - odparł spokojnie. - Stoi ich tam ze dwudziestu. Nie odwracaj się, są tuż za tobą! Mężczyźni, kobiety, dzieci. Kobiety są ubrane na czarno, a mężczyźni na biało. O co im chodzi, czego chcą?

- Nie wiem - odparła Sara - nie powiedzieli mi. Umacniaj go w przekonaniu, że to wszystko prawda, mówił Tully. Prędeż go zamkną.

- Czekają, aż umrę - ciągnął Congo. - Ale dlaczego to są Arabowie? I po co te stroje? Co się stanie z Wendy, kiedy odejdę?

Otworzył jej drzwi. Sara prześliznęła się obok niego i weszła po schodach do mieszkania, by zobaczyć babkę. Pajęczyny muskały jej twarz. Czuli się jak w beczce śmiechu, kiedy dzień przed zniknięciem Una zabrała ją do wesołego miasteczka. Tak jak wtedy, śmierdziało tu moczem, wymiocinami, zepsutym jedzeniem, alkoholem i zatechłym powietrzem. Wendy siedziała dumnie w swoim łóżku, wsparta o żółte wiktoriańskie poduszki. Nie sprawiała wrażenia osoby wybierającej się na tamten świat. Na powitanie pomachała radośnie okularami.

- Kto to? - zapytała.

- Twoja wnuczka Sara.

- Jakie ty masz duże zęby - zauważyła Wendy. Sara rzeczywiście miała wystające i krzywe zęby. Una wcześniej doszła do wniosku, że Sarze nic już nie pomoże i że nie ma w sobie nawet zadatków na ładną kobietę, nad którą warto by popracować. Powiedziała to zresztą Mogensowi w obecności córki.

- Ale ja nie mam wnuczki, to znaczy, miałam wnuczkę, która nazywała się Sara, ale nie lubiłam jej. Poza tym ona umarła.

Sara próbowała zachować spokój, ale była zła. Zauważyła, że lodówka w łazience tak obrosła lodem, że nie można jej zamknąć. Policzyła puste butelki po wódce leżące na podłodze, by zdać dokładne sprawozdanie pracownikom z opieki społecznej, którzy w białych kombinezonach i z nakazem eksmisji pojawią się tu niebawem.

Nie myślcie, że młoda kobieta o dźwięcznie brzmiącym imieniu Sara godzinami dobija się do domu swej babki i recytuje wiersze dlatego, że jest taka słodka i dobra. Na miejscu Conga nigdy nie wpuściłabym jej do domu. Zdrada mojego męża nauczyła mnie, że nikomu nie można ufać. Dokumenty w kancelarii Briana Mossa potwierdzają moją opinię.

Nadciągająca burza

- Ja też nie lubię Sary Toffener - przyznała Jelly, nagrywając swój głos na taśmę magnetofonową - ale postaram się to zmienić. W końcu jest kobietą i powinnam jej pomóc. Ona też jest ofiarą małżeństwa.

- W archiwum firmy Catterwall & Moss panuje straszliwy bałagan. Lubię tam przesiadywać i zastanawiać się nad moją sytuacją. Czasem, dla rozrywki, robię jeszcze większy bałagan w kartotekach. I tak nikt tego nie zauważy.

Oto zapieczętowana teczka pp. Toffenerów (Tully'ego i Sary). Pięć lat temu Tully wniósł sprawę o rozwód, ale wycofał wniosek. Oskarżał Sarę o zdradę, ale ona do niczego się nie przyznała. W teczce znajdują się dokumenty dotyczące rodziny Musgrave i zeznania jej członków. Wnoszą wprawdzie wiele nowego do sprawy, ale tworzą smutny obraz. Jednak na ich podstawie można domyślić się, dlaczego Tully przebaczył Sarze, której panięskie nazwisko brzmiało właśnie Musgrave.

Zakurzone archiwa znajdujące się w biurach prawników są świadectwem powikłanych i tragicznych losów ludzkich. Nawet najdłuższe tyrady prawnicze nie są w stanie

zagłuszyć dramatycznej nuty w zeznaniach świadków, chociaż wszelkie namiętności, dobre i złe uczynki, szczegóły pożycia małżeńskiego, niepowodzenia, dobre chęci i ludzkie słabostki służą prawnikom jako narzędzie do manipulowania prawdą.

Rok 1899. Wendy poczęła się w łonie Violet Musgrave na przełomie wieków, a urodziła Unę w okresie Wielkiego Kryzysu. Dlatego może Una była zawsze źródłem kłopotów i wydała na świat Sarę, córkę swojego ojczyma (w metryce urodzenia Sary ojciec został określony jako „nieznany”). Kiedy Sara miała pięć lat, matka zażądała od przedszkola z internatem odszkodowania, ponieważ podano jej córce mięso, mimo iż była jaroszem. Opiekunka z przedszkola broniła się, twierdząc, że dziecko wróciło do nich po świętach Bożego Narodzenia tak wyglądzone i blade, że chciała je dokarmić. Sara przebywała w przedszkolu dwa lata" i do domu przyjeżdżała jedynie na trzy tygodnie ferii świątecznych. Una przegrała sprawę w sądzie.

W teczce znajduje się też akt darowizny z 1904 roku, na mocy którego Sir Oskar Rice Musgrave przekazał kamienicę przy Lodestar Avenue kuzynce Violet Musgrave - miłości swego życia. Wendy była owocem związku Oskara i Violet, choć prawowita żona Sir Rice'a nazywała się Alice.

Wendy dorastała w czasach szerzenia się marksizmu, uznającego wszelką własność prywatną za zbrodnię. Być może jej wiara w socjalizm sprawiła, iż została wydziedziczona przez matkę, a może po prostu głosiła swoje poglądy, by poniżyć Violet, umniejszyć dorobek jej życia,

nie zaś z pobudek politycznych wynikających z krytycznej i chłodnej oceny sytuacji społecznej. Jest to postawa nader często spotykana u mężczyzn. Dziś dowiadujemy się z gazet, że syn maklera giełdowego wyrzuca milion dolarów z dachu Empire State Building, żeby zademonstrować światu swą pogardę dla dóbr doczesnych, a syn dawnego hipisa zbija fortunę. Dlaczego kobiety nie miałyby pozwolić sobie na podobną niekonsekwencję?

W teczce znajduje się również akt notarialny z maja 1903 roku, według którego Violet zmieniła nazwisko z Bonham na Musgrave, oraz dokument z 1915 roku, w którym Alice Musgrave wnosi sprzeciw w związku z aktem darowizny jej zmarłego męża. Tu jednak również poniosła klęskę.

Przełączyłam żółte strony i znajduję akt zgonu Oskara. Zginął w 1915 roku. Alice nigdy nie otrzymała dokumentu. Dalej akt urodzenia Uny - matka: Wendy Musgrave, ojciec: Philip Grace, praktykujący lekarz. To jedyna wzmianka o nim, ale widać, że przynajmniej pojawił się osobiście, by poświadczyć swoje ojcostwo i zatuszować fakt, że dziecko pochodziło z nieprawego łoża. W 1935 roku Wendy wyszła za niejakiego Mogensa Larsena, inżyniera duńskiego. W 1949 roku rozwiodła się, powróciła do nazwiska Musgrave i opuściła dom przy Lodestar Avenue, w którym pozostał Mogens ze swoją pasierbicą Uną. Potem urodziła się Sara. Po trzech latach odeszła Una, a po dwóch miesiącach wróciła Wendy. Z końca lat pięćdziesiątych pochodzą związane wstążką listy miłosne Geralda Catterwalla do Uny. Jak widać, miała powodzenie.

W poczekalni wisi portret Geralda Catterwalla. Malarz nawet nie usiłował ukryć jego świńskich oczek i obwisłego

podbródka. Może za mało mu zapłacono? To bardzo prawdopodobne. Gerald - jeden z założycieli firmy Cat-terwall & Moss - słynął ze skąpstwa wobec swych pracowników. Przypuszczam, że stało się to jedną z przyczyn upadku jego firmy. Jeśli za mało płaci się urzędnikowi, trudno się dziwić, że kartoteki znajdują się w tak oplakany stan. Jednak, jak przystało na Jelly, nie przepuszcze okazji, by znów namieszać w archiwach. Księgowy rodziny Rice, który teraz głowi się pewnie nad moim czekiem z hotelu, powiedział mi kiedyś, że dwanaście lat temu Gerald popełnił samobójstwo, ponieważ wpadł w tarapaty z powodu zadłużeń wobec klienta. Okoliczności jego śmierci nie zostały naturalnie wyjaśnione. Miał wówczas siedemdziesiąt osiem lat i nadal pracował. Emeryturę potraktowałby jako porażkę.

Potem natknęłam się na dokument, który z trudem udało mi się odczytać. Wątpię, by ktokolwiek trzymał go w rękach od początku tego stulecia. Pochodził z 1899 roku. Oskar Rice Musgrave wydzierżawił na sto lat od rodziny Rice'ow kamienicę przy Lodestar Avenue. Akt darowizny, na którego mocy Oskar wspaniałomyślnie przekazał ją Violet - prawdopodobnie po narodzinach Wendy - nie wyjaśnia, na jakich warunkach ma być przekazana ta własność, tyle tylko, że jest to wieczysta dzierżawa. Cóż, o wiele lepiej brzmi: „Moja droga, oddaję Ci tę kamienicę. Należy do ciebie i twego dziecka” niż „Moja droga, oddaję ci tę kamienicę na dziewięćdziesiąt pięć lat. Poczekać aż ureguluję sprawy z prawnikami”.

W 1954 roku Violet, w swej naiwności, przekazała dom Unie, z nieznanymi powodów pomijając swą córkę

Wendy. Pogorszyło to stosunki rodzinne, tym bardziej że Una uwiodła matce męża. W 1965 roku w geście pojednania Una wynajęła matce kamienicę na trzydzieści pięć lat, by dotrzeć do drugiego tysiąclecia. Nie sądziła, że matka będzie wówczas jeszcze żyła. Pojawia się pytanie, co dalej? Jak dotąd, Una nie oszczędzała matki.

Gerald Catterwall, odpowiedzialny za tę i wiele innych transakcji, musiał umrzeć, bo był złym prawnikiem. W księgach majątkowych Rice'ów, które znam na pamięć, ponieważ zawsze fascynowały mnie tajemnicze interesy Sir Edwina oraz jego stosunki z różnymi przedsiębiorstwami w kraju i za granicą, nie ma wzmianki o kamienicy Lodestar. Po prostu zniknęła z akt, jak wiele innych rozpadających się budynków zamieszkałych przez starców, którymi opiekują się źli prawnicy.

Kiedy wieczorem siedziałam w pustym pokoju i przeglądałam kolejne dokumenty, patrząc jednocześnie na nieme obrazy wojen, głodu, nieszczęść i chorób przewijające się w dzienniku telewizyjnym, ogarnęło mnie poczucie winy, że tak ciągle użalam się nad sobą. Zdałam sobie sprawę, jak niewiele czasu pozostało Tully'emu, by zająć kamienicę Lodestar. Przez najbliższe cztery lata nie wróci ona do właścicieli, czyli do rodziny Rice'ów. Zgodnie z prawem powinna przejść w ręce potomków dzierżawcy Sir Oskara Musgrave'a. Może będzie to jakiś taksówkarz lub artysta mieszkający na poddaszu, który nie ma zielonego pojęcia, że kamienica jest jego własnością. Dalej trwałby w tej niewiedzy, gdybym nie wzięła sprawy w swoje ręce. Na razie jednak powstrzymam się od działania, rozkoszując się świadomością władzy.

Blżej Conga

- Trzymaj palce na klawiszach, wzrok na monitorze, a język za zębami - powtarzała sobie śpiewnym tonem Jelly Lamb w takt znanej piosenki o przydługim tytule „Siedem panienek całujących Freda na tylnym siedzeniu samochodu”. Jednocześnie przykładała zwilżoną chusteczkę do policzka podrażnionego zarostem Rama. W porannej poczcie znalazła nagryzmolony naprędce list od Conga Warby'ego, zgrzybiałego, choć dzielnego męża zniedołężniałej, ale równie dzielnej babki Toffenerów, pani Wendy Warby, niegdyś Lady Musgrave. Jelly otworzyła list, choć na kopercie drżącą ręką napisano „Poufne”.

Szanowny Panie Moss,

Moja żona i ja jesteśmy zaskoczeni Pańskim listem. Nie chcemy iść do domu starców, dopóki starczy nam sił, by walczyć z potworami. Przykro nam, że państwo Toffenerowie mają kłopoty ze znalezieniem mieszkania. O ile wiem, pan Toffener jest ministrem albo zastępcą ministra. Czy rząd może mi zapewnić dachu nad głową? Jak Pan zapewne wie, Wendy i ja mamy lewicowe poglądy, więc nie wydaje nam się, by kamienica przy Lodestar Avenue była dla Toffenerów odpowiednią siedzibą, jeśli to prawda, że chcą tu

zamieszkać. Sara zapewniała Wendy, że nie cierpi tego miejsca. Poza tym trzeba ogromnej siły duchowej i fizycznej, by walczyć z potworami, a obawiam się, że Tully nie jest w najlepszej formie. Co prawda nasza kamienica leży blisko Westminsteru, ale przyglądając się Tully emu w telewizji, odnoszę wrażenie, że nie wytrzymałby codziennych spacerów z domu do pracy. Czy on naprawdę uważa, że jesteśmy za starzy, by żyć? Sara to pazerna i okrutna dziwka, sto razy gorsza niż jej matka. Jak widzę, trafiła na godnego siebie męża. Proszę nas więcej nie nachodzić. Jesteśmy starzy i potrzebujemy spokoju. Jelly przepisała list, by dołączyć kopię do swych prywatnych zbiorów przechowywanych w hotelu i wieczorem znów dokładnie go przestudiować. Potem włożyła oryginał do przegródki z napisem „Poczta Briana Mossa”.

- Chciałbym przesłać Tully'emu ten list. Po przeczytaniu go dostałby apopleksji i mielibyśmy problem z głowy - zwierzył się Brian, kiedy Jelly usiadła w jego gabinecie z notesem w ręku. Obecnie większość pracowników firm, w tym kancelarii adwokackich, pisze listy na komputerze i daje do sprawdzenia kolegom, ale prawnicy z Catterwall & Moss wolą sprawdzone metody. - Lepiej jednak napisać coś od siebie - dodał po chwili i zaczął dyktować list do swego klienta. - *Drogi Tully, otrzymałem list od pana Warby'ego. On i pani Warby nie mają zamiaru opuszczać domu. Pan Warby walczy z duchami i masz rację twierdząc, że zwariował. Jednak zgodnie z ustawą z 1983 roku, dotyczącą chorych psychicznie, można go usunąć z kamienicy jedynie wtedy, gdy publicznie zademonstruje swoje szaleństwo. Wówczas policja albo ktoś z opieki społecznej może zabrać go siłą do szpitala, gdzie lekarz potwierdzi jego*

niepoczytalność i dopiero wówczas można będzie go ubezwłasnowolnić. Majątek pana Warby'ego przejmie kochająca rodzina, a on sam zostanie umieszczony w zakładzie dla umysłowo chorych. Może uda się go nakłonić, by „duchy” także opuściły dom.

Po nieoczekiwanej śmierci pani Wendy Warby, która pogrąży wszystkich w smutku, kamienica przy Lodestar Avenue zamiast stać się własnością pana Warby'ego, przejdzie w posiadanie Twojej żony Sary. Pan Warby mógłby dochodzić swych praw jedynie w przypadku, gdyby był przy zdrowych zmysłach. Sprawa będzie wówczas jasna. Zgodnie z nową ustawą masz jeszcze dwa lata, by jako dzierżawca sprzedać komuś kamienicę. Chociaż to dziwne, że państwo Warby nie okazują chęci pozbycia się nieruchomości, choć według wstępnych szacunków warta jest co najmniej ćwierć miliona funtów.

Łączę wyrazi szacunku dla Małżonki

Brian Moss

Jelly nie posiadała się z oburzenia. Uznała ten list za namowę do bezprawnego zamachu na wolnego człowieka. Przepisała go na komputerze, wydruk dała Brianowi do sprawdzenia i podpisania. Potem w jego obecności włożyła list do koperty, nakleiła znaczek i zaadresowała. Resztę pozostawiła Angelice, która udała się do toalety, podarła list na strzępy i wrzuciła do muszli klozetowej, spuszczając wodę dwa razy, aż zniknęły resztki papieru. Nie uważała za stosowne przekazywać Tully'emu wiadomości, których w żadnym razie nie powinien otrzymać. Taki list mógłby wywołać same kłopoty. Poza tym lubiła Conga Warby'ego i jego odważne listy pisane trzęsącą się dłonią, spiczaste, wydłużone litery, które mimo niepewnej ręki dawały się bez trudu odczytać. Historia Toffenerów kryła

w sobie coś niemiłego i odrażającego. Angelika z radością opowiedziała się po stronie Conga, nie mając wyrzutów sumienia, jakie gnębiły Jelly.

Jelly często miała wrażenie, że jest ostatnią uczciwą osobą na świecie. Na wszelkie zarzuty odpowiadała jednakowo: „Nie wiem, co mnie podkusiło”.

108

Livermore Gate

- Nie ufam Brianowi - zwierzył się żonie Tully Toffener, popijając czystą whisky z ciężkiej kryształowej szklanki. Sara piła dżin z wysokiego wąskiego kieliszka. Choć na dworze było ciepło, w kominku palił się ogień. Niegdyś karminowe aksamitne zasłony wiszące nad wielkim oknem przybrały teraz kolor jasnego różu. Mahoniowe meble wydawały się zbyt ciężkie, a skórzana kanapa, którą Sarze udało się kiedyś okazji kupić, zupełnie nie pasowała do wnętrza. Salon urządzono bez krzty gustu.

- Przestał odpowiadać na moje listy - poskarżył się Tully.

- Myślę, że wie, co robi - odparła Sara. Była tak chuda i koścista jak Tully gruby i nabity. Ona - spieczona na brąz skóra z kurczaka, on - smakowite soczyste udko. Mimo to Sara mogła się podobać, co wykorzystywała, gdy szukała wsparcia. Na przyjęciach często zanudzała atrakcyjnych mężczyzn historiami o trudnym i smutnym życiu. Niejednemu z rozmówców przychodziła do głowy myśl, że najlepszy sposób, by zamknąć jej usta, to pójść z nią do łóżka. Jednak Sara była wierną żoną, a Tully wiernym mężem, co dla obojga miało ogromne znaczenie.

- Mam nadzieję - mówi Tully - ale coś mi się wydaje, że ostatnio Brian zaniedbuje się w pracy.

I jak co wieczór zaczęli narzekać na upadek moralności w społeczeństwie, na prawo, które broni wariatów, kosztem normalnych, biednych, kosztem bogatych i chorych, kosztem zdrowych. Potem filipińska służąca Ayla podała stek i paszteciki z cynaderkami. Tully i Sara siedzieli naprzeciwko siebie przy ciemnym, lśniącym stole i popijali wino Saint Estephe rocznik 1983, otwarte trzy godziny wcześniej. Tully połknął prawie w całości pasztecik, gdyż spieszył się do Izby Gmin na wieczorną debatę o prawach dla inwalidów, podczas której zamierzał zająć się uściśleniem terminu „inwalida”.

Jego rząd uważał, że o ile określenie „niepełnosprawny” nie wystarczy, by upoważnić kogoś do korzystania z zasiłku, o tyle określenie „inwalida”, przynajmniej w niektórych przypadkach, można uznać za wystarczające. Dom przy Livermore Gate znajdował się o czterdzieści minut drogi od parlamentu. Gdyby Tully i Sara mieszkali przy Lodestar Avenue, piechotą doszedłby tam w niecałe dziesięć minut.

Tully udał się do łazienki, żeby zmienić poplamiony sosem krawat. Sara podążyła za nim. Objęli się mocno i choć dopiero przed chwilą zjedli kolację, zaczęli się kochać na łazienkowym chodniku. Nazywali to „małym szybkim”. Przeszkodziła im Ayla, która weszła do łazienki po zmianę pościeli. Stała w drzwiach zaskoczona, podczas gdy leżący na Sarze Tully z trudem przekręcił głowę w bok i przyglądał się jej potężnym nogom w sandałach. Dziewczyna pochodziła ze wsi, miała grubo ciosaną twarz i ponure spojrzenie. Nie lubili jej.

- Zwolnij ją - polecił Tully, gdy po chwili Sara wiązała mu pod szyją czysty różowy krawat. - Tylko nie wygadaj się, że ma czwórkę dzieci i zostanie bez dachu nad głową.

- Jeśli nie potrafi ich utrzymać, nie powinna być matką
- zgodziła się Sara.
- Twarda jesteś - przyznał z uznaniem Tully. - Poza tym jest brzydka, nie ma za grosz taktu i na pewno przebywa tu nielegalnie. Nie potrafi gotować. Mogliśmy zatrudnić kogoś lepszego za połowę pensji, której miała czelność od nas zażądać. Dzięki Bogu, nie ma dotąd prawa chroniącego złą służbę, i dopóki ja mam coś w tej kwestii do powiedzenia, długo jeszcze nie będzie.

Tully poszedł do Izby Gmin, a Sara zwolniła Aylę.

- Już tego nie robić - zapewniała Ayla. - Następny raz uważać.
- Masz opuścić ten dom w ciągu godziny - rozkazała Sara. - Nie nadajesz się do pracy w kulturalnym domu. To nie twoja wina. Pochodzisz z buszu, skąd masz wiedzieć, jak żyje się w normalnym kraju. Nie mogę znaleźć mojego diamentowego pierścionka. Powinnaś się cieszyć, że nie zgłosiłam tego na policję.

Ayla zaczęła płakać. Mówiła, że nie ma dokąd pójść. Stała, zalewając się łzami, więc Sara poszła do małego pokoiku, gdzie znajdowało się rozkładane łóżko Ayli, i sama spakowała jej rzeczy do czarnej plastikowej torby. Stała w drzwiach, położyła torbę na schodach i czekała aż Ayla się wyniesie.

- Pozwolić przyjść po listy? - spytała błagalnym tonem Ayla. - Listy od dzieci - dodała.
- Oczywiście, że nie - odparła Sara. - Tu nie poczta
- i zatrzasnęła jej drzwi przed nosem.

Wypiła szklanę dzinu z tonikiem i wzrok jej spoczął na nie uprzątniętym stole. Zadzwoiła do całodobowej agencji pracy.

- Pani Toffener? Znowu? - usłyszała zniecierpliwiony głos. - Co się stało tym razem?

- Tym razem przysłaliście mi złodziejkę i podglądacz-kę. W ciągu godziny macie mi kogoś znaleźć. Uczciwego, godnego zaufania i nie o twarzy potwora, jeśli oczywiście nie przekracza to waszych możliwości - rozkazała Sara. - Mamy luksusowe mieszkanie, mąż mój jest ministrem i prowadzimy życie na wysokiej stopie.

- Pani Toffener - odezwał się Marty Walker, dawny pracownik domu pomocy społecznej, który teraz zajmował się domowymi sprawami bogatych, sławnych i ważnych obywateli miasta. - Jeśli twierdzi pani, że Ayla jest złodziejką, musi pani okazać na to jakieś dowody. Inaczej nie wolno jej oskarżać. Czy wypłaciła jej pani należną pensję?

- Jak to? - przerwała Sara. - Przecież ta kobieta przebywa tu nielegalnie, nie ma żadnych praw. Rzuciła słuchawkę i zaczęła płakać. Czasem zadawała sobie pytanie, dlaczego jest taka nieprzyjemna. Może gdyby miała dzieci, stałaby się miłsza? Choć nie było to takie pewne. Ponieważ dzieci są małe i bezbronne, pewnie też by nimi rządziła. One zaś, dziedzicząc po rodzicach przywódcze skłonności, walczyłyby z nią o władzę. Kto wie, może by wyrosły na matkobójców.

Sara wiedziała, że Ayla nadal czeka za progiem ze swoją plastikową torbą, bo i tak nie ma dokąd iść. Otworzyła drzwi i wpuściła ją do środka. Podobne sceny powtarzały się co kilka miesięcy.

Sara znów odwiedza babkę

Mieszkańcy Lodestar Avenue rzadko dostają odszkodowanie z tytułu powodzi. Domy stoją zbyt blisko rzeki, której poziom co roku się podnosi, prądy stają się coraz silniejsze i napierają na brzegi. Wpada do morza, więc jej poziom waha się zależnie od przypływów i odpływów. Chociaż zbudowano nowe zabezpieczenia przeciwpowodziowe, poziom morza podnosi się raz lub dwa razy do roku, a gazety biją na alarm, że tym razem nie obędzie się bez tragedii. Pełnia księżyc, silna fala i wiatr od wschodu, nic nie może nas uratować! Nikt jednak nie przekona firmy ubezpieczeniowej, że w tej strefie klimatycznej zdarza się to często i że ryzyko jest podstawą jej działania.

Gerald Catterwall wdał się w wieloletni spór z firmą ubezpieczeniową Sun Life. Firma nie chciała wypłacić Wendy Musgrave odszkodowania z powodu szkód spowodowanych zalaniem domu. Wydaje się to słuszne, gdyż wcześniej nie wpłynął żaden wniosek o przyznanie odszkodowania. Lubię wyobrażać sobie Sarę dobijającą się do drzwi kamienicy przy Lodestar Avenue, odwracającą się co chwila z przerażeniem, by sprawdzić, czy do jej stóp nie podpływa czarny jezior wody. Główne wejście do domu zarosło bluszczem i nikt nie używał go od ponad dziesięciu lat.

Boczne drzwi znajdowały się poniżej parteru. Można było się do nich dostać przez bramę w murze z szarej cegły. Należało nacisnąć zardzewiałą klamkę, która zostawiała na ręce czerwone ślady rdzy, i zejść po schodach na podmokły i nierówny chodnik. Może to woda, a może po prostu ścieki z nieszczelnych urządzeń kanalizacyjnych. Kręte, rzeźbione schody z balustradą prowadzące na piętro były mało funkcjonalne i dochodziły do ściany z szarego kamienia. Frontowe drzwi zostały prawdopodobnie zabarykadowane kilkadziesiąt lat temu przez Unę, która miała zwyczaj udziwniania wszystkiego. Być może wejście do domu uszkodziła bomba i dlatego zostało ono czasowo zamknięte i ta prowizorka przetrwała do dziś.

Tully miał rację, twierdząc, że za naprawy i modernizację kamienicy przy Lodestar Avenue zapłaci Wydział Spadkowy i że nowe miejsce zamieszkania podniesie jego prestiż. Ogród dałoby się sprzedać za parę milionów funtów jako plac budowy. Warto było też zaryzykować i zająć się budową na własną rękę. Komu przeszkadzałby mały blok zamiast ogrodu? Lodestar! Od stuleci majątek należał do rodziny Sary. Czyż nie należy mu się z tego powodu tytuł? Tully zrobi wszystko, by zagrzać Sarę do boju. Biedne dziecko, wyrzucone z domu w wieku trzech lat. Nie okazywała z tego powodu uprzejmości rodzinie, ale ofiary rzadko bywają uprzejme. To typowa cecha ludzi pokrzywdzonych. Trudno odkupić złe czyny. Zło jest zaraźliwe jak odra.

- Musimy zakończyć tę sprawę - powtarzał Tully. - Potem zafundujemy sobie dziecko.

Sara nie odważyła się przyznać, że nie ma ochoty na dzieci, gdyż boi się, iż odziedziczą cechy męża, choć i bez

tego byłyby utrapieniem. Domyśliła się, że Tully jej grozi, jest przekonany, że trzyma nad jej głową miecz i wierzy, że to poskutkuje.

Mając dzieci, Sara musiałaby zatrudnić służących, niańki, a przecież teczka rodzinna w firmie Catterwall & Moss aż pękała od oskarżeń rzucanych na służbę z powodu kradzieży, wymuszania pieniędzy przed odprawą i próśb o nielegalne sprowadzenie do kraju krewnych. Sara nauczyła się od Tully'ego, jak grozić innym i jak potrząsać mieczem nad ich głowami. Kiedyś Sara wyrzuciła służącą za to, że ta poszła w jej najlepszych butach na czyjeś wesele, a potem ukryła to przed nią w nadziei, że sprawa się nie wyda. Doprowadziło to Sarę do wściekłości.

- Kiedy wreszcie dostaniemy Lodestar - wybuchnęła - spalę tę rudere, wybuduję sobie skromny domek i pozbędę się całej służby.

Tully spojrział na nią z podziwem. Uwielbiał, gdy stawała się gwałtowna i nieobliczalna. Robiła się wówczas pąsowa ze złości i wyglądała bardzo ładnie.

- Po moim trupie, kochanie - sprzeciwił się. - Kamienica przy Lodestar Avenue będzie stała jak stoi, a ty zostaniesz Lady Toffener, najbądźiej znaną panią domu w całym Londynie. Inaczej pożałujesz - i z żalem pomyślał, że znów nie ma odwagi poprosić, by założyła na noc swoje szpilki i przywiązała go do poręczy łóżka.

Sceny z życia Wendy

Sara idzie do Wendy i mówi, że jest jej wnuczką, ale Wendy uważa to za wybryk czasu i przestrzeni, dziwne zjawisko zaprzeczające zasadzie następstwa zdarzeń. To ona jest dzieckiem. Widzi siebie, sześćioletnią dziewczynkę stojącą w tym właśnie pokoju, wpatrzoną w swoje lustrzane odbicie. Ma na sobie białą sukienkę zakrywającą kolana, całą we wstążkach i falbankach, z szerokim paskiem oraz skórzane trzewiki.

- Czy to ja? Czy taka właśnie jestem? - pyta siebie Wendy.

- Tak - odpowiada lustro - i zawsze taka będziesz.

- Jak to się stało, że znów jestem dzieckiem? - pyta Wendy, ale tym razem nawet lustro nie potrafi jej odpowiedzieć. Nic nie szkodzi. Wendy dostrzega w sobie same zalety, jest ładna, bystra, energiczna i wie, czego chce. Jeden jej krzyk stawia dorosłych na baczność, a uśmiechem i zawadiacko odrzuconym kosmykiem włosów przyciąga wszystkie spojrzenia.

Wkłada buty matki i niezdarnie przechadza się po pokoju śladami Violet. Chce tak jak matka prowadzić cygańskie życie, mieć wielu kochanków i rządzić domem pośród fruujących nad jej głową kłaskających słowików. Całuje lustro. Całe życie przed nią.

- Proszę cię, Congo - mówi cicho - nie sprzedawaj lustra. Widzę jeszcze ślad po moim pocałunku. Sprzedamy je na końcu.

Lustro ma potężną ramę, stoi na niezbyt ładnych wiktoriańskich nóżkach. Jest nieefektywne, ale praktyczne. Wendy przesuwa laską lustro i widzi kolejną scenę, jak wybiega do ogrodu z bratem Theo. Wyglądają jak bohaterowie jednej z dziecięcych powieści E. Nesbit. A może przypominają jej się ilustracje z książek? Nieważne. Theo ma na sobie pumpy, równie luźne i obwisłe jak sukienka Wendy. Klan Musgrave to rodzina myślicieli i radykałów. Violet należy do Stowarzyszenia Fabiana.

- Fabian, kochanie - tłumaczy córce - to rzymski wódz, który szczyił się tym, że zdobywał świat krok po kroku.

Członkowie stowarzyszenia wierzyli, że stopniowo uda im się wprowadzić socjalizm, który zatriumfuje i uszczęśliwi ludzkość, wypłeni niewiedzę, zlikwiduje nędzę i choroby, uleczy ludzi. To te trzy plagi sprawiają, że świat jest zły. Takie poglądy cieszyły się w owym czasie wielką popularnością, mimo iż pierwsza wojna światowa zostawiła ryse na gładkiej powierzchni życia, osłabiła siłę ludzkich aspiracji i zachwiała wiarę w postęp.

Wendy i Theo są ładnymi dziećmi, żyjącymi w domu pełnym miłości i harmonii. Oboje pochodzą z nieprawego łoża, zostali poczęci poza rodzinnym stadłem, zgodnie z modną wówczas teorią wolnej miłości. George Bernard Shaw, częsty gość Musgrave'ow, twierdził, że małżeństwo jest zalegalizowanym przez państwo związkim dwojga przyjaciół. Natomiast H.G. Wells, który również często odwiedzał Violet, uważał, że obowiązkiem wyższego

rangą samca (za jakiego się uważał) jest przekazywanie swoich genów potomności. Violet słuchała, podziwiała i wierzyła. Niektórzy utrzymywali, że Wendy jest córką Shawa, a Theo synem Wellsa, ale Violet kategorycznie temu zaprzeczała. Byli dziećmi jej przyjaciela i kochanka Oskara, którego uwielbiała. Niestety miał swoje lata, więc nie mogli się pobrać, choć bardzo tego pragnęli.

Zresztą małżeństwo zawsze sprowadza się do majątku, mówiła Violet, kobieta o wielkich fiołkowych oczach, którym zawdzięczała swe imię. Zgodnie z ówczesną modą wijące się, ciemne włosy upinała wysoko w kok, odsłaniając smukłą alabastrową szyję, przy której wspaniale prezentowały się kolczyki i inne ozdoby. Ponieważ zaliczała się do kobiet postępowych i należała do ówczesnej cyganerii, nie nosiła gorsetu, ukazując wypukłą linię biustu. Uważano ją za niezłą malarzkę. Malowała głównie portrety, czasem pejzaże. Obrazy jej cieszyły się uznaniem wśród przyjaciół. Zaczynała karierę jako modelka, a każdy wie, co to wówczas znaczyło - była kobietą z przeszłością. Miała szczęście, że w wieku osiemnastu lat dostała pracę w Slade School of Art, gdzie otoczono ją opieką, odkryto jej talent, i co więcej, pozwolono go rozwinąć. Tam też spotkała Oskara Rice'a Musgrave'a, profesora sztuk pięknych, który zakochał się w niej bez pamięci, osadził w domu przy Lodestar Avenue i tam uczył oglądy towarzyskiej oraz opowiadał o nowych prądach artystycznych i politycznych. Po przyjeździe na świat Wendy, ku wielkiej rozpaczy Alice, przekazał Violet całą kamienicę. Żona musiała pogodzić się z losem. Wolna miłość była teorią, ale również usprawiedliwieniem czynów. Co miała począć biedna Alice?

Jest rok 1914. Pomimo socjalistycznych przekonań Violet nie pozwala dzieciom bawić się na ulicy jak zwykłym łobuziakom. Któregoś dnia Wendy i Theo widzą przez szparę w murze szczelnie otaczającym dom małego chłopca gwizdzącego i pokrzykującego z zapalem „Kryć się! Kryć się”. Nosi na plecach tablicę z dykty z takim samym napisem, którego zapewne sam nie potrafił odczytać. Chłopiec biega po ulicy z palcem wzniesionym ku niebu.

Violet wybiega na dwór, za nią ciągnie się zapach terpentyny i farb olejnych. Ma na sobie fartuch upstrzony jaskrawymi plamami. Przez wzgląd na talent ludzie przymykają oczy na jej niechlujstwo. Dzieci uwielbiają matkę, podobnie jak większość mężczyzn, w tym wielu żonaty. Kobiety ukradkiem przyglądają się Wendy i Theo, szukając w nich podobieństwa do swych mężów. Latem Violet ma zwyczaj wydawać w ogrodzie przyjęcia. Stoi tam wśród kwiatów kilka wapiennych rzeźb dłuta Gaudier--Brzeskiego. Choć wapień nie jest odporny na wodę i klimat morski, Violet się tym nie przejmuje. Rzeźby kosztowały po dwa pensy każda, a ich autor jest teraz gdzieś na froncie, więc i tak nie może zaprotestować. Wykonany naprędce rysunek kobiety z dzieckiem na murze to podarunek od Epsteina. Pod freskiem stoją kosze na śmieci. W domu znajdują się rysunki Muchy, meble i ozdobne kafle Williama Morrisa, parę rysunków Holmana Huntsa i Wyndhama Lewisa. Chociaż żona Oskara nie otrzymuje prezentów ani nie przyjmuje hołdów od artystów, ma jeden przywilej - jest szanowana.

- Co to za wrzaski? - dopytuje się zdenerwowana Violet i wygląda na ulicę, gdzie biega bosy urwis i drze się

wniebogłosy. - Co ten łobuz sobie wyobraża? Robi hałas na całą dzielnicę!

Nagle słychać wybuch. Ze zdalnie sterowanego balonu, który niepostrzeżenie przelatywał jakiś czas wzdłuż rzeki, spada na zabudowania jakiś czarny przedmiot. T.S. Eliot nazwie go potem „wszechmocnym brązowym Bogiem”. Wybuch grozi powodzią. Na wysokim murze kamienicy Lodestar do dziś widać brunatną smugę po wodzie, ponad pół metra nad ziemią, a pod bramą znajduje się specjalna kłapa wybudowana dla ochrony przed żywiołem.

Bomba pozostawia wielką dziurę i wyrывa z korzeniami drzewa i kwiaty. Lej szybko zapełnia się ściekami, gdyż Londyn nadal nie ma kanalizacji. Woda wdziera się na ulicę i płynie w stronę Wendy, Thea oraz ich matki. Obdartego chłopca podmuch rzuca na drugą stronę ulicy, ale wychodzi z tego bez szwanku i po paru godzinach znów radośnie gwizdże, dźwigając planszę z napisem „Alarm odwołany”. Jednak domownicy wciąż nie mogą dojść do siebie.

- Co to znaczy „kryć się”? - pyta Theo. - Czym mamy się przykryć?

Violet płacze. Czuje, że skończyły się dobre czasy. Ma przeczucie zbliżającej się katastrofy.

Wendy szybko przesuwa lustro. Teraz widzi swój ślub z Congiem. To jej trzecie małżeństwo.

Jak to się stało, że jest już taka stara? Najpierw był Leon, potem Mogens Larsen, wreszcie

Congo. Biorą ślub w konsulacie francuskim w Kairze, ponieważ to jedyny budynek z

klimatyzacją, a lato tego roku jest wyjątkowo gorące i wilgotne. Congo jest od niej młodszy o dwadzieścia lat. Pracuje

w British Council. Ona przyjechała do Kairu z wystawą prac matki, ale z przyczyn politycznych jej sprawami zajmuje się Instytut Francuski. Wendy ma na sobie sukienkę z przejrzystego materiału, Congo jaskrawe spodnie.

Wendy odważa się przekreślić lustro tak, by wrócić do lat młodości. Ma rację, nie wystarczy włożyć powiewną sukienkę, by ukryć zwiotczale ramiona. Duchem czuła się wtedy jak trzydziestolatka, ale ciało miała dwa razy starsze. Nie chciała ukrywać tego, czego nie da się ukryć. Congo zdawał się jednak nie zwracać na to uwagi.

- O czym myślisz? - pyta nagle Congo.

Wendy kręci w milczeniu głową. Świat otwiera się jak kwiat w pogodny lub deszczowy poranek i zamyka o zmierzchu. Po co używać słów? Ciekawe, co się stało z freskiem Epsteina? Może nadal jest gdzieś ukryty pod zwojami bluszczu. Gdyby mogła chodzić, poszłaby sprawdzić. Nie chce odpowiadać na pytania. Przeszłość jest o wiele bardziej interesująca od teraźniejszości. Kiedy przypomni sobie wszystko od początku do końca, zbierze w całość i zrozumie, wtedy umrze.

Wendy i Theo bawią się w ogrodzie z „kuzynami” Leonem, Georginą i Bridget Rice. Alice sprzeciwia się tym wizytom, ale Oskar jest nieubłagany. Poprzez koronę czerwonych cętkowanych liści prześwituje słońce. Wśród róż rosną bujnie pory i krzaki pomidorów. Od trzystu lat znajduje się tu ogród warzywny, który swój wspaniały wygląd zawdzięcza wyciekom z szamba, do czego żaden z domowników nie chce się przyznać. Ogród rzeczywiście

jest imponujący. W tych czasach nie stosowano innych środków dezynfekujących poza sodą, tak więc wszystkie domowe i kuchenne ścieki spływają do ogrodu warzywnego. Dawniej ścieki płynęły wprost do Tamizy, ale gdy nad brzegiem rzeki powstała dzielnica Chelsea, odpływ zamknięto i nieczystości powędrowały do ogrodów, a potem, wciskając się między płyty chodnikowe, ściekały do piwnic.

„To najpiękniejsze miejsce pod słońcem - myśli Wendy - a ja jestem najszczęśliwszą dziewczynką na świecie”.

- Kiedy twoja matka umrze, ten dom przejdzie na własność mojego ojca - mówi starszy od niej o cztery lata Leon. - Potem odziedziczę go ja, bo jestem jedynym prawowitym spadkobiercą, a wy bękartami. Wendy po raz pierwszy odczuwa lęk, przedsmak swej niepewnej przyszłości. Dotąd nie zwracała uwagi na Leona. Choć jego imię znaczy „lew”, jest on dla niej jedynie godnym politowania, zahukanym, jękającym się stworzeniem, pozbawionym ojcowskiej miłości. Tak twierdzi Violet. W oczach matki wszystkie nieszczęścia wynikają z braku miłości. Teraz Wendy zaczyna zdawać sobie sprawę, że należy liczyć się z Leonem. Zawsze chodzi wyprostowany, z wysuniętą do przodu szczęką. Wola przetrwania czyni go nieprzejednanym. Niedługo stanie się na tyle duży, że zabije ojca, jeśli przyjdzie mu na to ochota, a kto wie, czy tego właśnie skrycie nie pragnie. Leon wcześniej nauczył się, że należy być zawsze miłym chłopcem i nigdy nie zapominać krzywd.

- Nie mów bzdur - ofukuje go Wendy, rzucając mu piłkę, której nie jest w stanie złapać. - Ślamazara! - szydzi, gdy Leon nie łapie piłki.

Chłopiec patrzy na nią wzrokiem pełnym pogardy. Palec zgął mu się w dziwny sposób. To Wendy mu go

złamała. Wie, że Leon nigdy jej tego nie wybaczy. Teraz żałuje, że nie rzuciła piłki jak należy. Wendy znów popycha lustro, ale nie sposób uniknąć niemiłych scen, gdyż one również należą do przeszłości.

Teraz wszyscy siedzą. w dużym salonie z ciężkimi zielonymi zasłonami projektowanymi przez Morrisa. Na średniowiecznym stole stoją metalowe kubki. Ściany aż po sufit wyłożone są kaflami. Tym razem Oskar broni Leona i życzy sobie, by Wendy została ukarana za to, że złamała palec kuzynowi. Tak przynajmniej przedstawia się to we wspomnieniach Wendy. Oskar dodaje, że Wendy jest nieznośna, niegrzeczna, że zachowuje się jak łobuz i powinna pójść do szkoły, gdzie nauczą ją dyscypliny.

- Już mnie nie kochasz! - szlocha Wendy, a Oskar sroży się i boczy. Mężczyźni nie lubią mówić o miłości, nawet gdy zwracają się do własnej matki, powiedziała kiedyś Violet.

Wendy musi iść do szkoły, której nie cierpi. Chodzi do postępowej szkoły dla dziewcząt Marshall Hall w Fulham. Musi uważać na Leona, ponieważ gdy tylko znajdą się sam na sam, kuzyn wsuwa jej rękę pod spódnicę, a gdy protestuje, grozi, że po śmierci ojca wyrzuci ją z domu. Musi więc stać cierpliwie i pozwolić mu robić to, na co ten ma ochotę, choć Wendy nie rozumie, co w tym przyjemnego. Zaczyna żałować, że ubiera się tak nowocześnie. W przeciwnym razie Leon miałby więcej zachodu. Wendy przeczuwa, że Leon zechce wkrótce pozbyć się ojca. Oskar jednak jako malarz scen batalistycznych udaje się na front, gdzie ginie, przed synem zamyka się szansa zamordowania go. Wendy próbuje oplakiwać śmierć Oskara, ale nie potrafi. Za to Violet rozpacza za wszystkie

wdowy z ulicy. Nie wiadomo dlaczego złości to Wendy. Violet ma dom, wysoką rentę i przyjaciół. To Alice powinna oplakiwać Oskara, gdyż wdowieństwo jest przywilejem przysługującym prawowitym żonom, nie kochankom.

Na życiu Wendy szczególne piętno odcisnie panna Reynolds, nauczycielka łaciny z Marshall Hall. Gdy dziewczynce uda się prawidłowo odmienić czasownik, panna Reynolds głaszcze Wendy po głowie, ściska ją za rękę lub całuje, ale kiedy Wendy pomyli się, zbiera cięgi. Nie może rozmawiać o swoich kłopotach z matką. Violet wciąż wierzy, że świat jest piękny. Wendy zaczyna rozumieć, dlaczego jej matka ma takie powodzenie. Do końca życia Violet trwa w przeświadczeniu, że Oskar poszedł do nieba i tam na nią czeka. Zaczyna wierzyć w duchy i urządza seanse spirytystyczne w swoim salonie. Zasłonięte okna, wyciągnięte nad okrągłym stołem ręce. Wendy zaczyna bać się urzeczywistniającej się ektoplazmy, chociaż praczka, która jest medium, okazuje się zwykłą oszustką. Nie osłabia to jednak wiary Violet.

Z kim Wendy mogłaby porozmawiać o swoich kłopotach? Dlaczego Leon wsuwa jej pod majtki swój od dawna zdrowy palec, coraz głębiej i gwałtowniej? Dlaczego kiedy panna Reynolds całuje ją wilgotnymi ustami, oczy jej napelniają się łzami? Violet z pewnością wyjaśniłaby, że tak objawia się postępową myśl, wolna miłość i życiodajna energia. Nie, nie ma nikogo, z kim Wendy mogłaby porozmawiać. Pokojówka Judy i kucharka pani Bates nie nadają się na powiernice. Życie służby różni się bardzo od jej życia. Judy ma nieślubne dziecko i Violet zatrudnia ją z tych samych powodów, dla których przygarnia bezdom-

ne koty. Ponieważ inni ludzie są tacy źli, ona, Violet, musi być sprawiedliwa. Pani Bates jest szacowną wdową i mieszka z nimi od lat. Theo jest chłopcem, a do tego jej bratem, i rozmowa z nim krępowała ją. W ciągu ostatnich sześciu miesięcy Leon urósł o pół metra, Wendy zaś wciąż jest mała. Matka nazywa ją „kieszonkową Wenus”, ale Wendy wie, że aż ciśnie jej się na usta słowo „karlica”.

Znów trzeba odsunąć lustro.

Wendy ma piętnaście lat. Violet jedzie w odwiedziny do Lady Annette Columbi, która nosi egzotyczne suknie i ma długie, jasne włosy. Wraz z córką Cynthią wydają przyjęcie w swej posiadłości w Bayswater. Wendy udaje się tam z matką. To jej pierwszy bal. Parkiet ułożony z hebanowej klepki, kwartetowi smyczkowemu towarzyszy nakręcany na korbkę gramofon.

Violet tańczy z Aleis-terem Crowleyem, znanym później pod pseudonimem Bestia 666.

Cynthia Columbia obcięła włosy na chłopczycę, nosi krawat i tańczy z dziewczętami.

Przyjaciółka Violet Nina Hamnett, również artystka, ostrzega Wendy, że Cynthia jest lesbijką i radzi omijać ją z daleka.

- Co to znaczy lesbijka? - pyta Wendy.

- Kochanie, to dziewczynka, która woli inne dziewczynki od chłopców - wyjaśnia Nina, ale Wendy nadal nie rozumie. Dzieci rodzą się, kiedy kobieta i mężczyzna pobierają się i śpią w tym samym łóżku, tak przynajmniej wywnioskowała z rozmów, choć wynikało z tego, że nie powinna znaleźć się na świecie. Może w jej przypadku było to niepokalane poczęcie? Dalsze dociekania zaprowadziłyby ją zapewne w ślepią uliczkę, ciemny i tajemniczy świat, o którym się nie mówi. Na razie więc Wendy uła matce i wierzy, że ta postąpiła zgodnie z prawami

artystycznej bohemy, choć nikt ich dotąd Wendy nie wyjaśnił. Wydaje jej się, że nie należy robić tego, co się mówi. Z czasem Wendy staje się coraz bardziej krytyczna wobec matki i zaczyna pouczać ją, co budzi sprzeciw Violet.

Nina ostrzega Wendy, by trzymała się z dala od Aleistera Crowleya, który nie tylko jest prostytutką bez oglądy, ale również gruźlikiem i do tego ma konszachty z diabłem. Kiedy Nina odwiedziła go ostatnio w domu, w najróżniejszych miejscach niespodziewanie pojawiał się ogień.

- Najpierw próbowałam gasić go wodą z wazonów - zwierza się Nina - ale to nie pomogło. Potem przekonałam się, że te płomienie wcale nie parzą i dałam sobie z tym spokój. Zresztą, pewnie to wszystko mi się przyśniło.

Tego samego wieczora Wendy widzi Ninę tańczącą z Cynthią Columbią. Przytulają się i zagląдают sobie głęboko w oczy. Pierwszy taniec Wendy nie jest przyjemny. Czuje się niezręcznie, jest rozczarowana, że goście nie okazali się cudownymi, dystygowanymi artystami, a przypominają raczej znerwicowanych rodziców jej szkolnych koleżanek. Chętnie zatańczyłaby z Bestią 666, ale jej nie prosi. Crowley niezdarnie tańczy walca z Violet, a potem oboje znikają gdzieś, zostawiając Wendy samą.

- Moje biedactwo - mówi pisarka Berta Ruck. - Wygląda na to, że Violet zupełnie o tobie zapomniała.

Wraz z mężem, Oliverem Onionsem, odwożą Wendy do domu przy Lodestar Avenue.

- Co za ohyda - wzdycha pan Onions, spoglądając na ciężkie kamienne wieżyczki. - Biedne dziecko!

Wendy płacze. Nie lubi, gdy ktoś obraża jej dom, nie lubi też być upokarzana przez matkę. Jak mogła zapomnieć o niej! Berta zapewnia, że Violet nie zrobiła tego naumyślnie. Pan Crowley ma nad ludźmi tajemniczą władzę, szczególnie nad pięknymi kobietami, które potrafi sobie podporządkować. Berta i pan Onions odjeżdżają, a Wendy zostaje przed bramą. Nie ma klucza i na próżno usiłuje obudzić kucharkę. Wybija więc okno w przedsionku. Nic trudnego, robi to od dziecka, ale przy okazji kaleczy sobie kostkę u nogi.' Widzisz mamo, co narobiłaś!

Po raz pierwszy w życiu Wendy jest sama w tym wielkim domu. Ma wrażenie, że tu straszy. Zastanawia się, jakim tajemnym rozkoszom oddaje się teraz Violet. Idzie spać. Kiedy rano budzi się, obok niej siedzi matka i przeprosza za poprzedni wieczór. Violet jest blada, ma podkrążone z niewyspania oczy i spuchnięte usta.

- Zupełnie o tobie zapomniałam. Nigdy sobie tego nie wybaczę. Moje kochanie! Cóż to za wspaniały człowiek! Wolność wyboru, oto jedyne prawo. Co za odkrycie!

Kiedy Violet mówi, wzdycha ze szczęścia, potem tańczy, śpiewa, podnosi ręce w przezroczystych tiulach. Wendy zauważa, że ręce matki nie są już tak gładkie jak niegdyś.

- Każdą cząstką mojego życia, każdym zakamarkiem mej duszy mówię „tak”!

O czym mama mówi? Wendy decyduje się zostać marksistką zamiast członkinią Stowarzyszenia Fabiana. Potrzebuje surowej ideologii, która wprowadziłaby ład w jej życie.

Wkrótce gazety ujawniają, że Lady Columbia, dama salonów, nie ma prawa do tytułu, gdyż jest zwykłą

nouvelle riche. Wychodzą również na jaw liczne skandale, w które zamieszany jest Aleister Crowley, szczególnie jego kontakty z bardzo młodymi dziewczętami. Violet przestaje chodzić po domu tanecznym krokiem, przestaje wzdychać ze szczęścia, zaczyna płakać i tłuc naczynia. - Chciał mnie wykorzystać, żeby zbliżyć się do ciebie! - krzyczy do Wendy. Znika miłość, nadzieja. Niewidzialna ręka brązowego Boga pcha wody Tamizy do wybrzeży Francji, by zmyły krew z bitewnych pól. Wojny zwykle toczą się zbyt blisko. Strach, nienawiść, krew wracają nieproszone i niechciane niczym przypływ. Wendy nie ma pojęcia, o czym mówi matka, ale czuje się sparaliżowana siłą jej rozpacz. Ta, którą kiedyś uwielbiała, nie daje się już nawet lubić. Za dużo w niej złości. Chwilowy kaprys przeradza się w nieoczekiwane wybuchy nienawiści. Theo jest w szkole z internatem. Podczas wakacji chodzi ponury i powtarza, że wstyd mu przyznać się, iż jest synem Violet, niegdyś modelki malarzy, a teraz zwykłej dziwki. „Kapryśna diwa i Bestia” piszą gazety o romansie matki.

- Theo, wytłumacz mi co to znaczy! - błaga Wendy, ale on milczy. Wendy wali pięściami w mur. Chce przedostać się do zakazanego świata, ale boi się. „Kryć się! Kryć się!” słyszy słowa. - Ty mała żmijo, spotykasz się potajemnie z Aleisterem. Przejrzałam cię! - syczy Violet. - Dlatego on mnie już nie chce.

Najpierw odchodzi kucharka, potem pokojówka. Przestają ich odwiedzać przyjaciele. Wendy czuje się zbyt przerażona, aby płakać. Pewnej nocy Violet popada w obłęd i z krzykiem rzuca się na ziemię.

Któregoś dnia „drugą” rodzinę ojca odwiedza Leon, dorosły i pewny siebie, w miękkim surducie, niemal dostojny. Po raz pierwszy Wendy cieszy się z jego wizyty. Leon bierze sprawę w swoje ręce i wzywa lekarza, po drodze „kradnąc jej całusa”, jak sam się wyraża. Lekarz stwierdza u Violet załamanie nerwowe i zabiera ją do szpitala. Za wszystko płaci Leon.

Przyrzeka, że zezwoli Wendy pozostać w domu przy Lodestar Avenue, a ona jest na tyle naiwna, że nie prosi o spisanie umowy. Wierzy, że w tak ważnej sprawie Leon nie mógłby kłamać. Zabieranie Violet do szpitala to najokropniejsza scena, jaką widziała w życiu. Szkoła staje się jej azylem. Przez miesiąc mieszka sama. Pani Bates robi się jej żal i wraca na jakiś czas. Wendy nie jest już sama, ale za to ma wszy. Pani Bates wyprzedaje na targu obrazy oraz rzeźby i kupuje żywność. To najgorszy okres w życiu Wendy.

Leon prosi ją o rękę i zostaje przyjęty. Nikt nie sprzeciwia się małżeństwu, bo nikogo nie ma. Violet miota się gdzieś w celi dla wariatów. Theo nie chce przyjechać na ślub. Nikt nie napomyka o ich wspólnym ojcu, wszyscy udają, że Wendy i Leo są „kuzynami” i cieszą się, że osierocona dziewczynka znalazła wreszcie opiekuna. Matka Leona i wdowa po Oskarze zrywa z synem na zawsze. Uważa, że żeniąc się z nieślubnym dzieckiem H.G. Wellsa nie jest godzien nosić jej nazwiska.

Kamienica Lodestar pełna jest tajemnic, które wpłyną na losy przyszłych pokoleń, choć początkowo nikt nie przywiązuje wagi do mrocznych wspomnień. A przecież sam ciężar owych sekretów może zabić duszę. Wysokie sklepienia, kręte schody, które w wizji architekta miały symbolizować drogę do nieba, stać się pieśnią miłości

i radości, peanem na cześć światła, wolności, nowej epoki równości i braterstwa, stały się ponurym echem przeszłości. Lodestar to zapomniane lochy pałacu, cuchnąca woda ściekająca po murach jak krew po piaszczystych ścianach okopów, w których ginęły miliony żołnierzy. Ale ludzie prowadzą również swoje własne wojny i pielęgnują ukryte żale. W tamtych czasach, gdy w rodzinie objawił się wariat, okrywał hańbą cały ród, zakazane było słowo „rak”, dzieci z nieprawego łoża traktowano jak dopust boży, a matki bękartów zamykano w szpitalach psychiatrycznych jako niepoczytalne. Próby samobójcze karano powieszeniem. Takimi metodami piętnowano zbłąkane dusze i wątpliwe umysły. Jednak okazało się, że tak jak i ludzie, domy również potrafią przezwyciężyć swoje choroby. Dlatego też i na kamienicę przy Lodestar Avenue przyszedł czas ozdrowienia.

Rzeczy, które warto mieć

Jelly miała dobry humor. Podczas gdy studiowała przyniesione z pracy teczki, Angelika, Angel i Lady Rice pozostawały na drugim planie. Była wolną od osobistych przeżyć i przygodnych kontaktów z mężczyznami, odradzając się co dzień kobietą bez przeszłości. Czasem wieczorem nękały ją bóle głowy. Obwiniała za nie swoje pozostałe wcielenia,, które usiłowały wydobyć się na zewnątrz, walcząc o odrobinę swobody i uwagi, odbierane im przez Jelly. Ona jednak potrzebowała spokoju, a do tego miała najsilniejszą osobowość.

Świadomie zaczęła rozwijać w sobie dobre cechy. Nie miała wątpliwości, że największym zagrożeniem jest Angel. Odprawiła Rama, który dotąd zawoził ją do pracy. Mimo to on codziennie przyjeżdżał pod hotel i jechał obok niej wolno wzdłuż chodnika. Udawała, że go nie widzi, unosiła dumnie głowę i podążała do metra przy Bond Street. Ram próbował jechać za nią pod prąd. Odrzuciła umizgi Briana Mossa, uderzając go mocno w przyrodzenie, wyraźnie zarysowujące się pod spodniami. Incydent ten na pewien czas ostudził jego zapędy. Jeśli prawdą jest, że Lady Rice co wieczór kołysała się na falach Morza Rozpaczy, a Angelika wychodziła w sobotę

wieczorem na zakupy do centrum handlowego Fenwicks, Jelly nie miała o tym zielonego pojęcia.

Wieczorami opisywała w pamiętniku drobne wydarzenia, spisywała refleksje i wymyślała nowe historie. Zeszyt chowała na dolnej półce szafy, gdzie stały buty. Zauważyła, że z każdym dniem ich przybywa - pantofli i kozaków, których sama nigdy by nie włożyła. Butów na wysokiej platformie, o zbyt spiczastych lub zbyt kwadratowych noskach, nie pasujących do naturalnego kształtu stopy.

Wezwała do siebie Angelikę.

- Dlaczego to robisz? - spytała władcym tonem. - Po co marnujesz czas, energię i pieniądze, kupując te idiotyczne rzeczy, których nigdy nie włożysz?

- Są mi potrzebne - burknęła ze złością Angelika.

- Podobają mi się i włożyłabym je nawet jutro, gdybyś tylko mi pozwoliła.

- Co to jest? - spytała Jelly, podnosząc ozdobione łańcuchami zamszowe botki na wysokim obcasie. Siedziała na łóżku naprzeciwko lustra w złotej ramie. - Czy ty nie przesadzasz?

- Nudziara - prychnęła z pogardą Angelika.

- Wieśniaczka.

- Prawda, że ładne - wtrąciła Angel. - Pomogłam Angelice je wybrać. Miło, że je kupiła. Włóż je, to pójdziemy do baru.

- Jesteście niepoważne - krzyknęła Jelly, odpędzając je od siebie. Ostatnio zdarzało się to coraz częściej.

- Zanieś je do kościoła - odezwała się nieśmiało Lady Rice, która dryfowała gdzieś w pobliżu

- a Jelly i Angelikę zapisz na terapię grupową. To

kleptomanki. Na szczęście nie mam z tym nic wspólnego.

Jelly znalazła w szafie stertę niepotrzebnych ubrań, przezroczyste bluzki, paski z metalowymi ozdobami, spodnie w szkocką kratę, fioletowe legginsy z atlasu, małe kapelusiki z kwiatami, fikuśne majtki, rajstopy z pęknięciem w kroku, nie używane koronkowe pasy do pończoch, z których nie usunięto jeszcze metek, mnóstwo taniej biżuterii, drogie kremy do twarzy pachnące zjełczalym tłuszczem, wyciekające z nie domkniętych pudełek, które ktoś wypróbował raz i zapomniał o nich, tanie kosmetyki w jaskrawych kolorach, lokówki i peruki. Wszystko to oddała pokojówce z piętra, która wcale nie wyglądała na zachwyconą. Opróżniła szafę, zostawiając jedynie zwyczajne ubrania - pastelowe bluzki i ciepłe marynarki. Nareszcie poczuła się sobą.

I pomyśleć, że płaciła za te bezużyteczne rzeczy z własnej kieszeni! Miała na to dowody, gdyż matka przysyłała jej rozliczenia kart kredytowych. Za pieniądze Edwina kupowała rzeczy w hotelowym butik. Jelly łudziła się, że Angelika i Angel poczują wyrzuty sumienia, lecz na próżno. Wróciła więc myślami do kamienicy przy Lodestar Avenue.

Znalazła wzmiankę o niej w książce zatytułowanej „Spacerem po Chelsea”: „Duża, solidna kamienica przy Lodestar Avenue 1/3 została zbudowana w 1874 roku, w stylu gotyku tokańskiego, na ćwierci akra gruntu leżącego u nabrzeża Tamizy, między dzielnicą Belgravia i Chelsea”.

Co niedziela Jelly przechadzała się wzdłuż rzeki obok szarych murów kamienicy Lodestar. Raz nawet wspięła się na kosz do śmieci, by zobaczyć, jak wygląda ogród. Potem zapisała w pamiętniku:

„Miasto oblepia dom ze wszystkich stron, wydiera należącą do posiadłości ziemię i spycha w róg ulicy. Kamienica jest rzeczywiście ogromna, z wieżyczkami wygląda jak zamek warowny, zapewne dlatego uznano ją za zabytek. Otacza ją wysoki mur z szarej cegły, zamykający wylot Lodestar Avenue. Kiedyś można było przejść bramą w tylnej części ogrodu, przez sad aż do rzeki. Teraz jest to niemożliwe. Równoległe do bulwaru biegnie główna ulica. Na szczęście wysoki mur oddziela posiadłość od hałasu i spalin. Wzdłuż brzegu pobudowano ładne tarasy w stylu georgiańskim. W 1888 roku w zamian za odstąpienie kawałka ziemi, gdzie powstał bulwar, władze zburzyły sąsiedni dom i przekazały teren rodzinie Mus-grave'ow.

O ile wiem, tokański gotyk to termin sam w sobie sprzeczny, ale i dom robi podobne wrażenie, drażni i denerwuje, jest przedmiotem nie kończących się sporów, budzi namiętą miłość i gorącą nienawiść. Jest odzwierciedleniem nieustającej walki o utrzymanie równowagi między głosem serca a praktycznym, chłodnym wejrzeniem na świat, symbolem walki między duchem a materią. Świecąca oślepiającym blaskiem groźną planetą, którą każdy rozsądny wędrowiec omija z daleka”.

Kiedy ponownie czytała swój opis, odniosła wrażenie, że maczała w tym palce Lady Rice, mająca obsesję na punkcie wymiaru sprawiedliwości.

135

Propozycja Edwina

Edwin stara się dowieść w liście do Briana Mossa, że jego żona Angelika nie ma prawa do majątku. Zdradziła go, znieważyla i upokorzyła w oczach przyjaciół. Okazała się całkiem inną osobą niż dziewczyna, którą poślubił. Oczekiwał unieważnienia ich związku, a nie rozwodu, oraz zgody na odebranie jej tytułu, który podstępnie sobie przywłaszczyła. Fakt, że nadal go używała, świadczył

O lekceważeniu wszelkich zasad. Domagał się uwięzienia Angeliki.

Brian Moss odpisał, że sąd na pewno nie zezwoli, by Angelika została bez środków do życia.

Jeśli na początek Edwin proponuje jej małe mieszkanie i tysiąc funtów miesięcznie, jego żona może zdecydować się wycofać pozew

i sprawa zostanie załatwiona polubownie, zgodnie z prawem, a on sam będzie mógł po roku ożenić się z Antheą.

Do tysiąca funtów Jelly dopisała jedno zero, a „małe mieszkanie zmieniła na „duży dom na terenie posiadłości Rice'ów". Po wydrukowaniu listu skasowała na komputerze wprowadzone przez siebie poprawki i zapisała oryginalny tekst na dyskietce. Edwin odpowiedział, że jest w stanie dać żonie połowę żądanej kwoty i pod żadnym pozorem nie zgadza się, aby Angelika zamieszkała obok

niego. Jelly zniszczyła list i napisała własną wersję, w której zwracała się do Briana Mossa, by przedstawił Angelice propozycję alimentów w wysokości pięciu tysięcy funtów miesięcznie. Podpisała list i wręczyła go Brianowi. Następnie zmieniła jego odpowiedź, wykreślając fragmenty, w których jej przełożony wyrażał zdziwienie, że klient poszedł aż na takie ustępstwa. Napisała, że jeśli Edwin nie życzy sobie widzieć żony obok siebie, mógłby przekazać jej ciesząc się złą sławą dom przy Lodestar Avenue, który właśnie w wyniku wygasającej dzierżawy wraca do rodziny Rice'ow. Brian Moss uważał, że taka oferta zmusi Lady Rice do uległości.

Po tych poprawkach Jelly przestała ingerować w korespondencję. Wszystkie rozbieżności korygowała samodzielnie w trakcie ich pojawiania się. Z łatwością podrabiała podpis Edwina, miała też zapas papieru listowego z nagłówkiem i adresem męża w szufladzie mnóstwo papierów podpisanych przez Briana *in blanco*. Najważniejsze, by nie zachorować i nie spóźnić się do pracy oraz nie dopuścić, żeby Brian przeglądał poranną pocztę.

Jelly dzwoni do Barneya Evansa. Powstrzymuje się od uwagi, że gdyby za jego namową wycofała pozew, nie znalazłaby się teraz w tak komfortowej sytuacji. Prosi jedynie, aby napisał w jej imieniu list do Briana Mossa, i odniósł się krytycznie do tej śmiesznie niskiej sumy, jaką proponuje jej mąż, zważywszy na ich staż małżeński i niewierność Edwina. Sugeruje siedem i pół tysiąca funtów. Brian Moss przekazuje te żądania Sir Edwinowi.

Jelly całuje kopertę, nim wrzuci ją do skrzynki. Nie wie, dlaczego to robi. Może znów do głosu dochodzi Lady

Rice podniecona swoistym dialogiem z Edwinem? Jelly obawia się, że jej uczucie jest silniejsze niż potrzeba bezpieczeństwa, jaką odczuwają pozostałe wcielenia. Jednak nie zamartwia się tym zbyt długo, ponieważ to ona zajmuje się wysyłaniem listów. W innym przypadku poczta nie opuściłaby szuflady, a ona nie potrafiłaby podjąć żadnej decyzji. Widzi siebie jako bohaterkę romantycznej powieści.

Wszystko idzie sprawnie do dnia, kiedy przychodzi list od Edwina ponaglający Briana, by ten zakończył wreszcie całą sprawę, gdyż on Edwin chce ożenić się z Antheą i mieć z nią dzieci. Gdy rano Jelly otworzyła list, eksplodował niczym paczka z bombą w środku. Rozplakała się. Płakała tak długo, że aż musiała tłumaczyć się przed Brianem Mossem, iż ma alergię na pyłek z maków, stojących na biurku. Brian otworzył szeroko okno i wyrzucił kwiaty razem z wazonem. Ten egzaltowany gest przypominał jej Edwina i znów wybuchnęła płaczem. Brian wziął ją w ramiona, zapewniając, że zawsze czuł się na łzy kobiet i chciałby się z nią kochać, tu i teraz.

Jelly odepchnęła go, mówiąc „nie” i oskarżyła o molestowanie seksualne. Brian odparł, że płacz jest również formą molestowania, ale z ponurą miną udał się do swojego gabinetu i tkwił tam przez cały dzień. Do głosu doszła znów Lady Rice, ponieważ łzy zawsze działały na nią odświeżająco. Jelly musiała ustąpić, znów znalazła się w towarzystwie Angeliki i Angel. Na szczęście miała jeszcze na nie jakiś wpływ i mogła dopilnować, by nie szastały pieniędzmi. Angel też miała powody do zadowo-

lenia była zadowolona, gdyż Lady Rice dała jej więcej swobody.

Pierwszą rzeczą, jaką uczyniła Lady Rice, było ponowne zatrudnienie Rama. Przed rozpoczęciem pracy zatrzymali się w podziemnym parkingu, co bardzo zdenerwowało Lady Rice. Bała się, by jej ktoś nie zobaczył, lękała się gniewu męża, gdy ten dowie się o wszystkim. W końcu Ram przestał przyjeżdżać. Lady Rice odetchnęła z ulgą, natomiast Ram zwierzył się kolegom, że zupełnie nie rozumie kobiet, ponieważ są takie niezdecydowane.

Lady Rice o siostrach

Nie mogę powiedzieć, że nie lubię Jelly, choć czasem staje się nieznośnie nudna. To przez nią Edwin zainteresował się Antheą.

Jelly należy do osób, które nie mają wielu przyjaciół, wstają o świcie, lubią samotne śniadania, cieszą się z pracowicie spędzonego dnia, kupują jedzenie w puszkach dla kotów i wracają do domu autobusem. Nie cierpią rozmawiać godzinami przez telefon i dzielić się wrażeniami z najlepszą przyjaciółką, nie obchodzą ich cudze sprawy, wolą flirtować niż romansować, gdyż wpojono im, że prędzej czy później trzeba wyjść za mąż i urodzić dzieci. Każdy chciałby być podziwiany, a jednocześnie panować nad sytuacją. Jelly nie lubi rozmów o życiu, denerwują ją te „ochy” i „achy”, te „zgadnij, co ona zrobiła”, „co za drań z niego”, „jak ona mogła, ta dziwka” i tak dalej - słowem nie lubi tego, co innym sprawia przyjemność. Stara się być schludna i miła. Jednak nie potrafi powstrzymać się od podglądania i szpiegowania, bo daje jej to poczucie władzy. Lubi mieć własne tajemnice, ale jednocześnie chce znać cudze, choć nie ma ochoty dzielić się nimi z innymi, chce je zachować wyłącznie dla siebie. Co do przyjaciół, dostała już nauczkę. Wie, że prędzej czy później zdradzają. Za wierność rzadko odplacają lojalność-

cią. Tak jak Judaszowi nie zależało na pieniądzach, chciał tylko ujrzeć Chrystusa na krzyżu. Dobrocią można jedynie wykarmić żmiję na własnym łonie. Szukaj samotności, mówi Jelly. Ważne jest myśleć, nie czuć.

Natomiast Angelika jest towarzyska. Kiedy została Lady Rice, skupiła wokół siebie całą okoliczną śmietankę artystyczną, pisarzy, malarzy, rzeźbiarzy, znawców kuchni i dyrektorów z telewizji. Jako gwiazda muzyki rozrywkowej przez lata żyła wśród ludzi, których ulubionym powiedzeniem było: „No wiesz, rozumiesz?”. Ich pasja poznawcza i ciekawość życia przewyższały zdolności krasomówcze. Chciała ich mieć przy swoim stole. Przez jedenaście lat dobrze poznała to środowisko. Edwin z zainteresowaniem przysłuchiwał się rozmowom artystycznego motłochu. Kiedy wracał do domu, pierwszą rzeczą, o jaką pytał, było: „Kto dziś przychodzi na kolację?”, a nie „Co jest na kolację?”. Rozmawiano o książkach, filmie, recenzjach, o polityce i wyobraźni artystycznej. Nie mówiono o koniach, psach, pogodzie ani o tegorocznych zbiorach. Czasem Edwinowi trudno było za nimi nadążyć, ale nie narzekał. Czytał książki, lubił poezję, chociaż w teatrze drętwiały mu nogi, a w kinie bolały kolana.

Wkrótce jednak Edwin powrócił do dawnych zainteresowań, zostawił jaguara i wyprowadził z garażu range rovera. Powrócił do odrażających i jazgotliwych polowań, do krwawych walk wygłodniałych psów, huku strzałów, do uśmiercania unoszącego się w powietrzu ducha sztuki i wdeptywania go w ziemię, by każdy pojął, że on tu jest panem i władcą. On, polujący i strzelający ziemianin z tytułem.

Wyobraźnia rani, toteż wrażliwi ludzie przygnębiali go, a ich rozważania drażniły. Miał potem trudności z zaśnięciem. Strzelając do dzikich zwierząt unikało się strzelania do własnej żony, a przede wszystkim nie stawało się rogaczem. Za te zmiany w Edwinie Lady Rice bardziej niż Antheę obwiniała Susan i Lamberta. Anthea nigdy nie ukrywała, że uważa ją za rywalkę, Susan udawała przyjaciółkę.

W dawnych czasach, kiedy jeszcze Angelika wszystkim wierzyła, Edwin poufnym tonem tłumaczył znajomym, że jego żona została piosenkarką przez przypadek. To pełna temperamentu, inteligentna nastolatka, przewyższająca pod każdym względem swoich rodziców, nieoszlifowany diament, uwięziona przez ojca artystka. Dziewczyna schodzi na złą drogę - nie pod względem erotycznym, Angelika taka nie była - czuje się niedoceniana. „Niedocenie to jej czuły punkt” - mówi Edwin, a Susan potakuje ze zrozumieniem, potrząsając burzą jasnych włosów i słodko uśmiechając się do Angeliki. „Jestem beznadziejna, wszystko w życiu mnie cieszy” wzdycha, a siedzący dookoła mężczyźni marzą, by przyczynić się do jej szczęścia, bo mają przecież wszystko, czego jej potrzeba. Czasem Angelika zastanawia się, czy Edwin też o tym marzył. Niemożliwe, Susan jest jej przyjaciółką. Wkrótce jednak okazało się, że przyjaciele są inni niż przypuszczała.

Lady Rice siedzi w hotelu. Zamierza zadzwonić do recepcji i poskarżyć się, że kanapka „klubowa”, którą jej podano, jest nieświeża i że chce, by zamiast wędzonego bekonu przyniesiono jej zwykły. W końcu rezygnuje. Angelika zasypia.

Dawne przekleństwo

- To potwarz - oświadcza Edwin. Oskarżył ją o „zniesławienie”. Co miał na myśli? Lady Rice długo się nad tym zastanawiała. Ostatnio coraz mniej przejmowała się sprawą alimentów. Pomimo gróźb i wielkich słów, mimo niezmiennej opinii w tej sprawie, uwolniła się od obsesji. Poczula, że osiągnęła szczyt góry poznania i zamiast spadać, kręci się bez końca wokół odkrytej prawdy. Prawną stronę rozwodu zostawiła Jelly. Angelikę obarczyła obowiązkiem odwiedzania starych przyjaciół i odnalezienia swego „ja” z okresu poprzedzającego małżeństwo, tej śmiesznej dziewczynki w skórzanej kurtce, z kolczykiem w nosie. Pozostawiła jej też roztrząsanie swej winy za rozpad związku z Edwinem. Nie dlatego że chciała przyznać się do jakiegokolwiek w tym udziału, ale męczyły ją wyrzuty sumienia i wierzyła, że dzięki nim odzyska męża. Jednak po namyśle doszła do wniosku, że tego też nie chce. Nigdy!

W Klubie Rozwiedzionych Serc wszyscy doskonale wiedzą, że u ludzi samotnych lub rozwodników obsesje szybko się zmieniają. Jest to bolesne, jakby więź, której zabrakło w małżeństwie, była żywą tkanką - tysiącem cienkich nerwów napiętych jak struny. Wpadanie z jednej obsesji w drugą sprawia ból, ciało wije się w męczarniach,

ciszę przerywa rozdzierający krzyk, ale zbyt słaby, by go usłyszeć, mimo iż tam, w środku tyle się dzieje...

Potwarz?! Czy kiedykolwiek była dla niego niemila? Wymyślała mu, krzyczała? Niemożliwe. Nazwała go tylko „trzęsącą się galaretą”, a on się o to obraził.

Tymczasem „trzęsącą się galaretą” matka Angeliki nazywała ulubiony deser córki. Pani White, z domu Lamb, często uciekała się do tej ostateczności, by urozmaicić świąteczny obiad. Robiła to z pełnym poświęceniem. W sobotę podawała do herbaty deser składający się z czer-wono-zielonych warstw galaretki.

- Ależ to się trzęsie - narzekała. - Nie rozumiem dlaczego?

Któregoś dnia jej mała córeczka postanowiła odpowiedzieć na to zadawane wciąż pytanie.

- To proste, głuptasku, powinnaś wsypać całą torebkę - zauważyła.

Jako ukochana córeczka tatusia, podobnie jak on, lubiła zwracać się do matki protekcjonalnym tonem, chociaż pani White i tak się tym nie przejmowała.

- Robię dokładnie według przepisu - obruszyła się pani White. - Inaczej zmarnowałabym wszystko; pół opakowania na szklanekę wody, tak jak każą.

Stephen White po powrocie z próby chóru oglądał dokładnie nie deser z wszystkich stron i nieodmiennie powtarzał:

- Znowu się trzęsie, kochanie - i po tych słowach podrzucał talerz z deserem tak długo, aż pospadały z niego kandyzowane owoce. Angelika wierzyła święcie, że takie drobne sceny cementują małżeństwo. Wtedy właśnie

zaczęto ją nazywać Jelly, czyli „galaretka”, gdyż jej prawdziwe imię było zbyt długie. Niestety, każde błogosławieństwo może stać się przekleństwem. Pod mielizną kryła się otchłań.

- Trzęsąca się galareta - powiedziała kiedyś Lady Rice, kładąc się obok męża w rodowym łóżu Rice'ów, przypomniawszy sobie szczęśliwe dzieciństwo i rodzinne podwieczorki, ale Edwin zrozumiał to całkiem opacznie, cofnął ramię, odwrócił się plecami, a po chwili wstał z łóżka, ubrał się i wyszedł. Mieli już za sobą dziesięć lat małżeństwa. Czasy kłótni i pojednań należały do przeszłości. Lady Rice nie rozumiała, dlaczego się obraził. Wkrótce potem dowiedziała się, że Edwin spotyka się ze swą „kuzynką” Antheą.

Są dwie kategorie niewiernych mężów. Jedni mają poczucie winy, przynoszą kwiaty, wieczorem kąpią dzieci i starają się nie ranić, mimcfze później i tak psują wszystko niepotrzebnymi zwierzeniami. Inni czują się winni, ale szukają usprawiedliwienia w zachowaniu żony: „Widzicie jak mnie zaniedbuje, ciągle tyje, poniża mnie”. Szukają dziury w całym, a kiedy romans się kończy, nikomu o niczym nie mówią, nie upokarzają żony, ponieważ i tak dawno już zapłaciła za ich niewierność.

Następnego ranka Lady Rice usiłowała wytłumaczyć mężowi, co miała na myśli, mówiąc „trzęsąca się galareta”. Jednak jej wyjaśnienia nie przekonały go. Lady Rice pomyślała, że wszystkiemu winne są hormony, a może problemy w pracy. Brnęła więc dalej, ale on nie chciał słuchać. Po raz pierwszy Edwin pozostał niewzruszony, chłodny i urażony, choć dotąd opowieści z jej dzieciństwa wprawiały go w dobry humor.

- To nie ma sensu - odezwał się wreszcie po długim milczeniu. - Nie zaprzeczaj sobie. Mówisz, co czujesz, świadomie lub nie. Znowu robisz wszystko, by stracić moje zaufanie.

- Ty po prostu chcesz czuć się obrażony - broniła się Lady Rice ze łzami w oczach. - Dlaczego mnie tak męczysz? Co się z tobą dzieje?

Nie odpowiedział. Lady Rice zawsze uważała Edwina za samotnika albo, jak często podkreślała, idealistę. Nie dostrzegała związku między odgrywaniem przez męża roli męczennika a jego głębokim poczuciem winy, nie rozumiała, że to przecież ona doprowadziła go do zdrady. Edwin przestał kochać swą żonę i choć przyjął to z ulgą, tym mocniej ją obwinił za utratę miłości. Im bardziej stawał się obojętny, tym poważniej ją oskarżał.

Wszystko to było takie skomplikowane!

„Trzęsąca się galareta” uznać za obelżywe określenie? Teraz Lady Rice rozumie, do czego zmierzał Edwin. Te lekkomyślne słowa, które wymknęły jej się nieopatrznie, zasługiwały raczej na uśmiech pobłażania, ale nie, on nie chciał wierzyć w przypadek i wszędzie doszukiwał się ukrytych podtekstów.

Niewiarygodny narrator

Wiem już, na czym polega mój problem. Nazwijmy go x i spróbujmy go rozwiązać, choć ma za dużo niewiadomych jak na zwykłe równanie, nie mówiąc o równaniu z czterema niewiadomymi.

Eks-dziewica, eks-piosenkarka, eks-lwica salonów, eks--trusia, eks-wszystko - to właśnie ja. Eks-córka nałogowego krótkofalowca. „Tatusiu, tatusiu, odezwij się! Nie mogę, kochanie, ratuję statki na morzu. Jakie statki? Na jakim morzu? Nie wiem, mój skarbie, ale prędzej czy później, jeśli znajdę odpowiednią falę, uda mi się kogoś uratować i będziesz ze mnie dumna. Dlatego na razie zostaw tatusia w spokoju”.

Czy byłam ukochaną córeczką tatusia, czy raczej prawą ręką mamusi? Któż to wie.

Czuję się jak Zeus w chwili, gdy z głowy miała mu wyskoczyć Atena. Biedna Lady Rice bezskutecznie stara się zadowolić wszystkie swoje wcielenia. Czuje się osaczona. Krążą w jej głowie jak sępy polujące na ofiarę. Czarna opaska zasłania oczy i zaciska się wokół skroni. Pulsujący w środku tłum niezliczonych postaci przyprawia o straszliwy ból głowy. Ktoś musi ustąpić.

Powtarzam, nie mogę wiecznie mieszkać w hotelu pod przybranym nazwiskiem, zajmować się moimi wcieleniami jak kwiatami na balkonie, podlewać je i pielęgnować tylko dlatego, że nie mam w tej chwili nic innego do roboty, gdyż czekam, aż Edwinowi uda się uprawomocnić moje występki, zdradę w objęciach Lamberta, męża mojej najlepszej przyjaciółki. To kłamstwa, wszystko kłamstwa!

Spójrzmy na to inaczej. Jestem jak skręcony sznur telefonu. Kiedy się go naciągnie i puści, widać, jak szybko kręci się wokół własnej osi, tak szybko, że po chwili zaczyna się poruszać w przeciwnym kierunku. Któż miałby cierpliwość czekać, aż się zatrzyma? Ja nie, niezależnie od tego, kim jestem. Wolę wyrwać sznur z gniazdka i zostać bez telefonu.

Takie filozofowanie tylko mi szkodzi. Nic dziwnego, że boli mnie głowa.

Kąpiel, powinnam wziąć kąpiel. Marmurowe wanny w hotelu Claremont są głębokie i szerokie. Ale zauważyłam, że trudno się je czyści. Otwieram szafkę pod umywalką, wydaję proszek, zwilżoną ścierką czyszczę kawałek wanny, który pominęła sprzątaczką. Kiedy wstaję, uderzam głową w prysznic.

Chwiejnym krokiem podążam do łóżka, kładę się. Coraz bardziej boli mnie głowa.

Narodziny Ajaxa

Lady Rice ma migrenę. Aspiryna nie pomaga. Ostatni raz zdarzyło jej się to przed narodzinami drugiego wcielenia, zanim nastąpił podział na Angelikę i Jelly. Czuje, że dzieje się coś ważnego. Jednak tym razem pojawia się pierwiastek męski, coś nieoczekiwanego, ktoś próbujący przybrać postać o cechach przywódczych, która potrafi utrzymać w garści wszystkie sznurki i pomoże Lady Rice obiektywnie spojrzeć na siebie. Wszechwiedzący narrator, który dokładnie wie, co się dzieje, który odróżni wroga od przyjaciela i zgładzi każdego przeciwnika.

Kiedy Lady Rice zrozumiała, co się dzieje, i puściła wodze fantazji (wyobraziła sobie przeciwstawność jazgotliwych kobiet i poważnego mężczyzny), wówczas narodził się Ajax! Wybawca oczyszczający umysł z brudnych myśli, bohater ze starej sagi, mściciel wydający wyrok na wannę skąpaną w grzechu.

Albo inaczej: Angelika, Jelly i Angel nadal starają się trzymać jeden front w ciele Lady Rice, bo chociaż zaczynają się od siebie odrywać, nie stworzyły dotąd odrębnych istot. Teraz, przerażone pojawieniem się wroga we własnych szeregach, samowielbiącego bohatera o

twarzy

Edwina, rozpierzchają się z krzykiem na wszystkie strony. Angelika ze swoją manią oszukiwania, szpiegowania i za-klamywania się, Jelly z maszyną do pisania pod pachą, swoją pensją i biurkiem, Angel z niepohamowaną ochotą uprawiania seksu, lizania, wzdychania wszędzie i o każdej porze, zalewająca się łzami za wszystkie trzy. Pozwoliły, by narodził się wśród nich nowy człowiek. Jeden mężczyzna na trzy kobiety, nowy przepis kulinarny Lady Rice: Ajax.

Ajax wie wszystko o Angelice, Jelly i Angel, dlatego jego imię pochodzi od skrótu AJA, X zaś to pierwiastek męski. AJAX. Ten, który obserwuje powolny rozpad popękanej osobowości. Ajax - pisarz, rycerz, król eteru, mistrz opowieści, władca radości, smutku i wszelkich uczuć pośrednich. Nie jest uśpionym stróżem przeszłości, lecz groźnym strażnikiem teraźniejszości. Zanim popadnie w niełaskę i pograży się w otchłani, będzie jedynym Bohaterem i jedynym Ja. Z chaosu i ciemności wylania się Słowo i Bóg. Gdy w głowie kobiety panuje zamęt i pustka, pojawia się światło. Rodzi się mężczyzna. Wspaniały towarzysz i przyjaciel! Ajax, który wkrótce napisze swoją powieść.

CZEŚĆ TRZECIA

Saga Ajaxa

1. Angelika przyprowadza do domu Edwina
2. Jak o wszystkim dowiedział się ojciec Edwina
3. Ślub
4. Lady Rice po roku małżeństwa
5. Lady Rice po trzech latach małżeństwa
6. Lady Rice po ośmiu latach małżeństwa
7. Kłopoty w gronie przyjaciół
8. Znow kłopoty
9. Przyjęcie
10. Morituri te salutant

1

Angelika przyprawdza do domu Edwina

Angelika dzwoni z budki telefonicznej.

- Mamo, poznałam kogoś. Zaraz u ciebie będziemy.

Była to chyba najpiękniejsza budka telefoniczna w całym mieście. Działacze z organizacji ekologicznej otrzymali specjalne pozwolenie, żeby pomalować wszystkie budki telefoniczne na zielono, zamiast na tradycyjny czerwony kolor. W ten sposób budka nie drażniła oczu i wtapiała się w otoczenie. A wszystko to działo się w miejscowości Barley, którą przez ostatnie trzy lata nagradzano jako najpiękniejsze miasteczko w kraju: malowniczym miejscu, z pięknymi ogrodami i zadbanymi domami, przed którymi latem rosły malwy i brzęczały pszczoły, ze starymi kamienicami skąpanymi w złotym świetle zachodzącego słońca, przytulonymi do siebie, jakby w poszukiwaniu wsparcia, z miedzianą iglicą wieży kościelnej na rynku. Zieleń, kaczki w stawie, stary targ, parking dla turystów na przedmieściach, by samochody nie zakłócały spokoju mieszkańców. Rada miasta zezwoliła na wybudowanie tylko jednego sklepu z pamiątkami. Ten brak udogodnień dla turystów szybko zauważono w całym kraju i większość autokarów omijała miasteczko.

Matka Angeliki mieszkała ze swym drugim mężem w małym osiedlu na przedmieściu Barley, dyskretnie

146

okolonymi drzewami, oddalonym o półtora kilometra od rynku, gdzie skupiało się życie miasteczka. Mieszkali tu nauczyciele, działacze społeczni i inni ludzie dobrej woli o niskich dochodach. W centrum znajdowały się domy zamożnych mieszkańców, którzy jeździli do Londynu parę razy w tygodniu na spotkania zarządu. Mieszkało też tu paru starych dziwaków ubarwiających wieczorne życie pubu, żarliwie kibicujących zawodnikom rzucającym strzałkami do tarczy. Żony ich sprzątały cudze domy lub prowadziły miejscowe sklepiki. Wszyscy uważali Barley za prawdziwy raj, toteż wkrótce powstała tu kolonia artystów, którzy zajęli niepotrzebne nikomu domy. Opuszczone kaplice, szkółki, kilkanaście stodół, starą stację kolejową, miejsca, które zaspokajały potrzeby ludzi

O twórczej wyobraźni. Znajdowali się wśród nich pisarze, artyści zajmujący się tkactwem i ceramiką, rzeźbiarze, architekci, słowem ludzie, którzy przybyli do Barley w nadziei znalezienia bratniej duszy, kogoś „z kim można pogadać”, czyli - bo do tego się to sprowadzało - osób gotowych na wymianę małżonków. Cóż, kiedy po krótkiej bytności musieli wynosić się z miasteczka, gdyż zaczęły krążyć na ich temat różne plotki, okazywano im zazdrość i wrogość. Nieprzychylność ta wyszła jednak na dobre, pozwoliła im bowiem odzyskać wenę twórczą i wiarę w siebie.

Odrodzenie wymaga poświęceń. Ofiarę złożyła Angelika, ale o tym później. Powróćmy do Barley drzemiącego w słońcu. Angelika jechała do domu przedstawić matce Edwina. Traf chciał, że Edwin był potomkiem rodu Ri-ce'ów, mających wielką posiadłość poza miastem i równie wielki pałac, do którego wiodła przez park długa aleja. Tam właśnie, w Cowarth Castle, mieszkał Lord Cowarth,

ojciec Edwina. Ciekawe, że często szukamy szczęścia w szerokim świecie, wędrujemy daleko, by coś odkryć, a ten, kto jest ucieleśnieniem naszych tęsknot i erotycznych marzeń, mieszka tuż obok, w tym samym mieście, na sąsiedniej ulicy, a nawet w sąsiednim domu. Siła przeznaczenia często jest tak wielka, że nie warto uciekać. Swój do swego ciągnie, jak głosi przysłowie.

- Jesteś za młoda - stwierdziła matka Angeliki, choć dobrze czuła powagę sytuacji, gdy córka oznajmiła, że przyprowadzi „kogoś” do domu. Nie widziały się pół roku, czytała o Angelice jedynie w gazetach. Cieszyła się, że córka wreszcie się odezwała, ale bała się następstw tej wizyty. Angelika ukończyła dopiero siedemnaście lat, Edwin dwadzieścia jeden i nie miał nic wspólnego ze światem rozrywki. Czy należało to uznać za łut szczęścia?

- Nie wierzysz mi - zauważyła Angelika. - Nigdy mi nie wierzyłaś. Traktujesz mnie jak dziecko. Obie szybko wróciły do starych ról. Angelika używała słowa „rola” od dwunastego roku życia, kiedy do Barley zjechała ekipa filmowa pracująca nad ekranizacją powieści „Tessa d'Urberville” Hardy'ego. Wtedy wszystko się zmieniło.

- Przecież jesteś jeszcze dzieckiem, niezależnie od liczby kolczyków, jakie masz w nosie - odparła pani White. Angelika miała również dwanaście kolczyków w uszach, ale do tego pani White zdążyła się już przyzwyczaić. - Jeśli chcesz wiedzieć, ja też kogoś poznałam.

- Przecież tata zmarł dopiero rok temu - Angelikę zaskoczyły słowa matki.

Ludzie chcą, żeby wdowy rozplywały się w powietrzu albo przez wzgląd na dzieci poświęciły się tylko im. Tymczasem każdy wybiera własną drogę.

- Tata nie miałby nic przeciwko temu - stwierdziła pani White. - Zawsze chciał, żebym była szczęśliwa.

Spotykała się z żonatym mężczyzną. Jego córka Mary była szkolną koleżanką Angeliki. Nazywał się Gerald Haverley. Kiedyś on i zmarły pan White byli członkami komitetu rodzicielskiego. Za życia pana White'a stosunki między obiema rodzinami układały się poprawnie. Potem pani White owdowiała i wszystko się zmieniło.

- Nie wierzę - przerwała jej Angelika. Nikt nie lubi konkurencji. Oto córka przyjeżdża do domu z mężczyzną, który jest najlepszą partią w okolicy, i dowiaduje się, że jej matka znalazła już sobie następcę.

Tak więc Edwin i Angelika, tryskający życiem i beztroscy, jechali do pani White z zapowiedzianą wcześniej wizytą czerwonym luksusowym mg. Edwin miał na sobie tweedową marynarkę i szalik. Angelika była cała w skórach.

- Jaki ładny samochód - pochwaliła pani White, która wyszła im na powitanie w czerwonej spódniczce mini. Przez dwadzieścia lat była żoną człowieka starszego prawie o trzydzieści lat. Wreszcie poczuła się wolna.

- Wiele osób takimi jeździ - powiedział Edwin, jakby chciał się usprawiedliwić.

- Ale niewiele jest tak dobrze zbudowanych jak ty - zauważyła pani White. Edwin miał ponad metr osiem-

dziesiąt i był bardzo przystojny. Pani White przyglądała mu się z podziwem.

Angelika szturchnęła Edwina łokciem i zaczęła się tłumaczyć. W jej sferze „wszyscy” jeździli fordami fiestami albo autobusami. Edwin był zdziwiony. Przypomnił jej, że kiedyś prowadziła lamborghini. Odparła, że to zupełnie inna sprawa. Pani White grzecznie zauważyła, że ich związek musi być bardzo burzliwy, na co Edwin odparł, że wręcz przeciwnie.

- Angelika zawsze sprowadza do domu kłótliwych mężczyzn - westchnęła pani White.

- Czy pani mnie testuje? - spytał Edwin.

- Tak - odparła bez cienia zmieszania pani White. - Jeśli zamierzasz ożenić się z moją córką, będziesz musiał przejść kilka testów.

- Nigdy nie mówiłem, że chcę się z nią ożenić - Edwin był wyraźnie zaskoczony.

Angelika rozplakała się i uciekła do gabinetu ojca. Matka nigdy tam nie wchodziła. Tym razem jednak weszła za nią.

- Nie rób scen - rozkazała.

- To ty robisz sceny - broniła się Angelika. Była przyzwyczajona, że w domowych kłótniach ona zawsze miała rację.

- Podobno jesteś twarda - zauważyła pani White, popatrując na nią krytycznie. Angelika miała na sobie skórzane botki za kolana i zamszową koszulę z długimi frędzlami. Włosy ufarbowała na przeraźliwy kanarkowy kolor. Jeśli do tej pory nie była zadbana, nadszedł czas, by się tego nauczyła.

- Nie myślimy o małżeństwie. Nawet nie spaliśmy ze sobą - tłumaczyła się Angelika. Pani White spała z Geraldem Haverleyem i jego żona wystąpiła właśnie o rozwód. To jednak było co innego, oboje byli dorośli. Natomiast Angelika i Edwin to jeszcze dzieci. Jej córka przechodziła trudny okres dojrzewania. Sir Edwin miał wciąż spojrzenie i postawę pulchnego urwisa. Angelika patrzyła na świat jak Alicja w Krainie Czarów, chociaż siedemdziesiąt tysięcy funtów zarobionych na sprzedaży płyt z przebojem „Szalona dziewczina” skwapliwie ulokowała w akcjach przedsiębiorstwa budowlanego.
- No to daj sobie z nim spokój - poradziła pani White.
- Chyba nie sądzisz, że coś ze mną jest nie tak? - obrazila się Angelika. - Po prostu nie lubię seksu, wolę o nim śpiewać.
- To już nie moja wina. Ja ci takich bzdur do głowy nie kładłam - zauważyła pani White. Angelika pozostała dziewicą aż do ślubu, gdyż jedynie w ten staroświecki sposób Edwin mógł skłonić ją, by poszła z nim do łóżka.

Jak o wszystkim dowiedział się ojciec Edwina

- Pobieramy się - oznajmił ojcu Edwin. Matki już nie miał, zapłała się bowiem na śmierć. Nikt nie poświęcał mu wiele uwagi, ponieważ był najmłodszym synem. Pozwolono mu mieszkać w pałacu, by pokoje nie obrosły pajęczynami.

Lord Cowarth uważnie przyjrzał się Angelice. Na prośbę Edwina włożyła biały sweterek i wełnianą spódnicę. Zmyła z włosów farbę i wyjęła z nosa kolczyki. Blizny szybko się goiły. Wyglądała na bojaźliwą szarą myszkę. Jak większość ludzi w jej wieku mówiła nieskładnie, urywanymi zdaniami. Lord Cowarth miał na sobie stary, zużyty szlafrok, którego odkryte poły ukazywały nogi i malutki członek.

- Czy ona ma jakieś pieniądze? - spytał ojciec Edwina. Jak zwykle trzymał w ręku stary nóż rzeźniczy. Wyglądał jak wojownik dzikiego plemienia. Był niski i krępy, trudno było powiedzieć, czy jest gruby czy chudy.

- Ma na koncie paręset tysięcy - odparł z dumą Edwin. Lord Cowarth chrząknął.

- Sądziłem, że masz na oku tę małą Antheę - zauważył. - Wprawdzie jest brzydka i chuda, ale to właśnie partia dla

takiego grubasa jak ty. Nie cierpię tłustych bachorów

- dodał.

Angelika zauważyła, że Edwin lekko się skrzywił. Do tej pory nie tracił opanowania.

Widocznie przyzwyczał się do ojcowskich zniewag i żartów.

- Wszystkie moje dzieci poza tobą są chude. A może ty nie jesteś moim synem? Kiedy pomyśle o tej ladacznicy, którą wziąłem sobie za żonę - jego oczy zrobiły się wąskie jak szparki. - No cóż, nie byłoby w tym nic dziwnego.

Wyciągnął rękę w stronę Angeliki, złapał ją za szyję i zaczął nią obracać. - O co ci chodzi, mała? Czego ty chcesz?

- spytał. - Tytułu, domu, chcesz dobrze wykształcić dzieci?

Angelika chwyciła Edwina za rękę w nadziei, że uwolni ją od ojca, ale ten stał jak sparaliżowany i wyglądał, jakby uszło z niego życie. Lord Cowarth tymczasem zachowywał się jak zniechęcony samiec. Jedyne, co mógł uczynić, to machnąć łapą, gdy jego bez troskie potomstwo podchodziło zbyt blisko.

Puścił Angelikę i ponownie zaczął bawić się nożem o zardzewiałym ostrzu i drewnianej, solidnie wyglądającej rękojeści.

- Chyba mu się spodobałaś - zauważył cicho Edwin.

- Co wy tam szepczecie? Znowu coś knujesz? - warknął. Brakowało mu jednego zęba. Włożył do ust nóż i po chwili wypluł kolejny ząb. Gdy znów otworzy usta, popłynie z nich krew. Stara sztuczka. Idąc do Izby Lordów, na koronację albo na uroczystość nadania tytułu krewnemu, wkładał najlepszy garnitur, ale po domu chodził w szlafroku, z zakrwawionymi ustami.

Rzadko opuszczał

swój pokój, gdyż uważał, że stąd równie skutecznie może zarządzać majątkiem.

- Kocham go - odpowiedziała Angelika. - O to mi chodzi. Śmieszne, prawda?

W ten sposób zakończyła dyskusję.

Na szczęście Lord Cowarth zgodził się na ślub. Inaczej Edwin nie mógłby sprzeciwić się ojcu i Angelika o tym wiedziała. Teraz jednak miała szansę uratować go przed upadkiem i przywrócić mu wiarę w siebie. Miała tyle dobrych chęci.

- Czy twoi bracia przyjadą na ślub? - spytała.

- Wątpię - rzekł obojętnie Edwin. Wobec tego wezmą cichy ślub. Angelika chciała tylko, by Edwin był szczęśliwy. Nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo młodzi mężczyźni przeżywają moment założenia rodziny, oczekują akceptacji otoczenia i panicznie boją się porażki. Starsi o dwadzieścia lat od Edwina jego bracia bliźniacy mieszkali gdzieś na wyspach tropikalnych z pięknymi czarnymi żonami. Jeden z nich miał restaurację, drugi był właścicielem małego portu. Z majątku Rice'ów płynęły pieniądze na działalność obu biznesmenów. Ryby same wskakiwały do sieci, jachty zawijały do portu, turystów przyciągały lordowskie tytuły.

Anachronizm wyższych sfer drażni w kraju, ale na dalekich wyspach jest wciąż w cenie.

Ponieważ członkowie zespołu Szalona Dziewica nie chcieli mieć nic wspólnego z Edwinem, jego tweedowymi marynarkami i szalikami, Angelika wkrótce poczuła się osamotniona.

- Rezygnuję z muzyki - oznajmiła. - To był przypadek. Tak naprawdę nie mam talentu. Kiedy zobaczyła swą matkę w spódniczce mini, nie miała już ochoty się buntować, a gdy zrozumiała, jak bardzo Edwin cierpi, rozterki gwiazdy wydały jej się nieistotne. Poza tym po śmierci ojca nie miała już kogo szokować. Matka przestała się czemukolwiek dziwić, a krewni byli jej wdzięczni, że dzięki swemu nazwisku i tytułowi torowała drogę kuzynom. Była tak szczupła, że Edwin mógł zacisnąć dłoń wokół jej ramienia, tam gdzie powinna mieć choćby ślad bicepsów (gdybyż wreszcie zaczęła chodzić na siłownię). Podobala mu się. Niewielu miało szczęście znaleźć sobie narzeczoną dziewicę. Miał wrażenie, że ślub z taką dziewczyną to początek nowego, lepszego życia, odcięcie się od gnijących korzeni. Wierzył, że rozerwanie błony dziewiczej i krew na małżeńskim prześcieradle przywróci spokój i zdrowie światu, którym rządził jego ojciec, psychicznie chory starzec. Ktoś w rodzinie musiał być odpowiedzialny. Jego starsi bracia uciekli, zostawiając go na pastwę losu. Zawsze musiał się poświęcać. Przez całe lata otaczał go wianuszek dziewcząt, które czyhały na jego tytuł. Nie był przystojny, a we wczesnej młodości chroniła go przed światem spora warstwa tłuszczu, powodując, że jego członek wydawał się bardzo mały, co z kolei stanowiło przyczynę rozterek młodego dziedzica. Szły z nim do łóżka, myśląc o jego majątku, wytwornym akcencie, zapominając jednak, że nie dostanie ani grosza, a spadnie na niego jedynie brzemię odpowiedzialności, osamotnienia i choroba psychiczna odziedziczona po ojcu, ale bez jego władzy. Przez te wszystkie lata Lord Cowarth stopniowo przekazał majątek swemu administratorowi Robertowi Jellico.

Ten nieomylny, kompetentny i wszechmocny człowiek obdarzony zdrowym rozsądkiem nie ulegał sentymentom. Nie przejmował się więc prawami Edwina jako spadkobiercy majątku i pomijał go przy podziale dochodów z licznych inwestycji rodziny Rice'ów. Edwin skarżył się też, że Robert Jellico od jakiegoś czasu dziwnie mu się przygląda.

- To pedał - stwierdziła obojętnie Angelika. - Dlatego tak na ciebie patrzy. Nic ponadto. Boję się, że zacznie mnie nienawidzić. Znam takich ludzi. Wstaje o siódmej rano i nie rozumie, jak można wylegiwać się w łóżku do południa.

Edwin kochał Angelikę, ponieważ pozwalała mu zapomnieć o kompleksach, sprowadzając je do prostych i zwyczajnych wad. Nie bała się nikogo poza swoją matką, która potrafiła doprowadzić ją do płaczu. Były to jednak łzy ufnego dziecka, wierzącego, że po chwili nastąpi pełne miłości pojednanie.

Ślub

Na wesele zjechała cała okolica, nawet duch zmarłej matki Edwina. Podobno widziano ją na szczycie starych drewnianych schodów w białej sukni, jak ze złością wymachuje butelką. Wokół niej jak z wulkanicznego krateru unosił się dym, który pozostawił ciemne smugi na balustradzie. Gospoia, pani MacArthur, orzekła, że to ślady pleśni. Służący pucowali i polerowali drewno, ale ślady pozostały.

- Ona nie jest zła na ciebie - pocieszała Angelika Edwina - ale złości się na twojego ojca. Na pewno bardzo cię kochała.

- Dlaczego tak uważasz? - spytał ponuro Edwin.

- Bo ciebie nie można nie kochać - odparła. Spojrzał na nią zaskoczony. Z wdzięczności pocałował ją w czoło. Zastanawiał się, jak noc poślubna może zmienić niewinność w nienasycojącą żądzę, ale Angelika zapewniała, że jego przodkowie jakoś sobie z tym radzili, więc i jemu się uda.

- Dlaczego moja matka miałaby gniewać się na ojca? - spytał. Nie zastanawiał się nad przyczyną zachowania ojca. Jak wszyscy synowie godził się z jego wizją świata i nigdy jej nie podważał. Córki są bardziej krytyczne.

- Twój ojciec to potwór - wyjaśniła Angelika. Spojrzał na nią zdziwiony.

- Zawsze taki był - odparł i dopiero po chwili przyznał, że grubiaństwo ojca przekracza wszelkie granice przyzwoitości, nawet biorąc pod uwagę nonszalancję typową dla arystokracji. Matka Edwina zauważyła to o wiele wcześniej.

Świadkami pojawienia się zjawy byli Pippi i Harry, basista i perkusista zespołu Szalona Dziewica.

- Cholera! Wyglądało to jak lejąca się po schodach sperma - wzdrygnął się ze wstrętem Pippi. - A potem pojawiła się ta stara baba z flaszką w ręku. Czy to twoja teściowa?

Nikt ze znajomych Angeliki nie pochwalał tego małżeństwa. Snobka, dziwka, smarkuła, kompletne zero. Przewróciło jej się w głowie. PajMająca katarynka wydająca z siebie kakofonię „inteligentnych” dźwięków. To jej zespół zawdzięczał chwilową popularność i dlatego wszyscy poczuli się tak bardzo upokorzeni. Słusznie. Nie po to wdychali klej, brali narkotyki, włóczyli rano po ulicach, trzaskali drzwiami samochodów, budząc dzieci nudnych, zasiedziały burżujów martwiących się o swoje hipoteki, przejętych nieuctwem potomstwa, które również nie potrafiło wyzwolić się z potrzeby posiadania, z brudnej zachłanności skracającej życie i zawężającej horyzonty. Zamożna, przerażona klasa średnia, dla której zespół Szalona Dziewica był ucieleśnieniem zła ogarniającego świat. A wszystko tylko po to, by zbuntowani muzycy oraz bogaci i przestraszeni mieszczaństwo mogli spotkać się w pubie, gardząc sobą nawzajem, ale jeszcze bardziej gardząc innymi.

Edwin i Angelika złączyli dłonie nad głęboką przepaścią, z której miały wkrótce wypełznąć widma nienawiści, złość i pogarda, gotowe rozpocząć dzieło zniszczenia. W tamtej jednak chwili przyszli kochankowie nie dostrzegali czyhającego niebezpieczeństwa. Dziwiła ich tylko nieprzychylność otoczenia. Świat, który podobno uwielbia kochanków, nie chciał ich polubić.

- Czy warto żenić się dla pieniędzy, kochanie? - spytała Edwina podczas wesela Boffy Dee, która poszła z nim kiedyś dwa razy do łóżka, jak się później okazało, dla zabawy, by potem rozgłosić wszystkim, jak mały ma członek. Bardzo go to dotknęło i upokorzyło, ponieważ było mu z nią dobrze, podobała mu się aura mrocznego erotyzmu, jaki roztaczała wokół siebie, wierzył w szczerą jej uczuć i okazywaną rozkosz. Boffy Dee miała na sobie obcisłą pomarańczową sukienkę i kapelusz z szerokim rondem. Wyglądała wyjątkowo niezgrabnie. Teraz nie cierpiał jej.

- Ożeniłem się z Angeliką, bo ją kocham - rzekł z prostotą, z której tak się naśmiewano. Widok jego zwałistej postaci skłaniał do osądów, że nie grzeszy inteligencją.

Pałac Rice'ów składał się z niezliczonych mrocznych pokoi i kręconych schodów, poprzecinanych korytarzami z boazerią. Znaczną część budynku udostępniono zwiedzającym, więc trudno było tam o prywatność. Należało poruszać się ostrożnie, by przypadkiem nie złamać drewnianej figurki, balustrady bądź rzeźby. Przyprawiało to

O ból głowy. Edwin przyzwyczał się jednak do pałacu i Angelika uważała, że porusza się po domu z wyjąt-

kowym wdziękiem, choć inni porównywali go do słonia w składzie porcelany.

Kuzynka Edwina, Anthea Box, pojawiła się na weselu w spodniach od Laury Ashley. Chociaż podkreślały jej niezgrabne nogi, Edwin patrzył na nią z nie ukrywaną czułością. Była jedyną osobą, która zdobyła się na parę miłych słów o Angelice.

- Mam nadzieję, że te dziury w jej nosie szybko się zagoją - zwróciła się do Edwina z troską w głosie.

160

Lady Rice po roku małżeństwa

- Nie obchodzą mnie pieniądze - stwierdziła Lady Rice. - Nie jestem materialistką. Wiedli z Edwinem spokojne życie. Większość czasu spędzali w łóżku, spleceni w niezbyt gorącym, lecz czułym uścisku, pewni swego wzajemnego oddania. Ona nie spotykała się ze swoimi przyjaciółmi, on nie zapraszał swoich. Palili trawkę, jeździli do miasta na obiady i kolacje, często jadali w McDonalddie. Przeżywając na nowo dzieciństwo, powoli z niego wyrastali. Robert Jellico radził Angelice, by zainwestowała część pieniędzy w majątek Rice'ów i renowację pałacu, który zamknięto, ponieważ tynk odpadający z plafonu zranił przechodzącego turystę. Wysłano mu co prawda odszkodowanie, ale wszyscy długo nie mogli ochłonąć z wrażenia po tym wypadku. Śnieżnobiała koszula Roberta Jellico stała się zmięta i szara, a jego gładką twarz coraz częściej pokrywał pot. Podczas gdy idylla trwała i młoda para gruchała niczym gołąbki, zasoby majątku topniały. Nawet pani MacArthur, która traktowała ich prawie jak matka, zaczynała tracić cierpliwość. Codziennie zmieniała prześcieradła i musiała niemal wywlekać zakochaną parę z wielkiego łóża. Do plastikowej torby zbierała puszki po coca-coli, wymiatała spod łóżka karaluchy i połamane zapalki, wyrzucała do

kosza potłuczone przez Edwina talerze z resztkami jedzenia.

- Za to jej płacę - powtarzał Edwin. - Nie rozumiem, dlaczego chodzi taka naburmuszona? Lady Rice wypisała czek na sumę, jaką miała na swoim koncie. Zostawiła sobie zaledwie tysiąc funtów. Oddała Robertowi Jellico dwieście trzydzieści cztery tysiące funtów.

- To wszystko, co pani ma na koncie? - spytał zdumiony. - Tak nisko oprocentowane, żadnych dochodów z jakiejś firmy budowlanej? Gdzie miała głowę pani matka, kiedy zakładała to konto?

Pani White była wówczas zajęta Geraldem Haverleyem i jego żoną Audrey, która komplikowała sprawę rozwodową. Nie rozumiała, dlaczego Mary, bliska koleżanka Angeliki, nie kłania jej się na ulicy. Dziwiło ją, tak jak jej córkę, że na świecie jest tylu ludzi, którzy odmawiają innym prawa do szczęścia.

- Proszę je wziąć - rzekła wspaniałomyślnie Angelika. - Nie przywiązuję wagi do pieniędzy. Jeśli pan chce, może je pan zainwestować w majątek Rice'ów. Teraz to również moja rodzina, łącznie z panem, panie Jellico.

Rzeczywiście, Robert Jellico ze swą bladą twarzą, ciężkimi powiekami i wyniosłym spojrzeniem kardynała, szara eminencja, człowiek o twarzy starego bywalca umiejącego obserwować rzeczywistość, miał upór i charakter Rice'ów. To on dokonywał transakcji i inwestował ze zręcznością żonglera, który jednocześnie wprawia w ruch kilka piłeczek. Mimo uczuć, jakie żywił do Edwina, i niechęci wobec Angeliki, okazał się człowiekiem godnym zaufania. Wiedział, że pieniądze i majątek wymagają troskliwej

opieki. Pieniądze Angeliki można było przeznaczyć, a właściwie poświęcić, na najdelikatniejsze i najbardziej ryzykowne, stanowiące ciemną strefę, operacje finansowe. Była to cena, jaką musiała zapłacić Angelika za swoje niskie pochodzenie i niską pozycję towarzyską. Miała tylko pieniądze i utytułowanego męża. Robert Jellico dopilnował, by jej czek nie został wykorzystany na odbudowę pałacu - to tak na wszelki wypadek - gdyby doszło do rozwodu. Jej pretensje do posiadłości jako wspólnej własności będą wtedy bezpodstawne. Jellico okazał się sprytniejszy niż jej się wydawało. Czyż w obecnych czasach nie należy przewidywać rozwodu już w chwili ślubu?

W dniu, w którym czek zniknął w skrzynce pancерnej Roberta Jellico, siedząca w małżeńskim łóżu Angelika powiedziała do Edwina:

- Musimy to zmienić, musimy otrząsnąć się z przeszłości. To wszystko jest chore. Od dziś przestaję palić trawkę.

Tak też zrobiła. Edwin również rzucił narkotyki. Rozejrzeli się wokół siebie i doszli do wniosku, że czeka ich wspaniała przyszłość.

Lady Rice po trzech latach małżeństwa

- spędzała większość czasu, starając się zająć w ciążę. To znaczy w ciągu zaledwie dwunastu godzin, które teraz spędzała z Edwinem w łóżku, zamiast całej doby, nie brała żadnych środków antykoncepcyjnych. Świadomość, że jedno ciało może pomieścić dwie istoty, że można nosić w sobie drugiego człowieka, wprawiała ją w zachwyt. Na samą myśl o tym robiło jej się miło i ciepło. Gdyby pojawiło się dziecko, pozostałe dwanaście godzin, które spędzała poza łóżkiem, mijalyby' szybko, naturalnie, bez wysiłku zapelniania czasu. Przez cały dzień towarzyszyłby jej ciepły, mleczny i miękki zapach niemowlęcia, miodowa woń oliwki Johnsona, dzień przechodziłby niepostrzeżenie w noc, lato w zimę, godziny snu w godziny czuwania. Wszyscy by ją chwalili, matka zaczęłaby myśleć o niej zamiast o Geraldzie Haverleyu i jego Wielkiej Sprawie Rozwodowej. Na chrzciny przyjechałby fotograf z pisma *Tatler* zrobić im zdjęcie z dzieckiem na ręku, ubranym w długą białą sukienkę. Angelika nie była ochrzczona. Jej imię przybierało wciąż nowe brzmienie. Po chrzcinach dziecka czułaby się jak po spowiedzi i odnalazłaby siebie.

- Bardzo to pięknie, ale zdjęcia pewnie i tak by nie wyszły, bo do aparatu przedostałby się kurz ze schodów - ostudził ją Edwin. W ich małżeństwie to on widział

wszystko w ciemnych barwach, nie oczekując od życia żadnych przyjemności. Zanim zaczął cokolwiek robić, już czuł się zawiedziony. Z tego powodu ewentualne niepowodzenie nie stawało się dla niego tak przykre, gdyż zawsze mógł powiedzieć, że od początku do końca wszystko przewidział. Jednak Angelika była dobrej myśli.

Na wszelki wypadek Edwin wziął siekiere i zabrał się do wycinania spróchniałych drzew w parku. Usuwał zniszczone przez robactwo belki podtrzymujące stropy domu, by kiedyś niespodziewanie nie zwały się na stół w jadalni albo na łóżeczko. Był wyczulony na złowrogie chrobotanie kołatków. Odlupywał kolejne warstwy drewna, by wreszcie dopaść zgłodniałą rodzinę szkodników. Przenosił je do stajni, gdzie nie były tak niebezpieczne. W tym czasie Angelika miała na niego ogromny wpływ. Choć kołatki stanowiły zagrożenie dla jej domu i pożerały dziedzictwo pokoleń, kochała wszystkie zwierzęta, małe i duże.

Angelika jednak nadal miała okres. Doktor Bleasdale powiedział, że upłynie jeszcze dużo czasu, zanim organizm wywali resztki marihuany, a wiadomo, że nawet sporadyczne zażywanie narkotyków zwiększa prawdopodobieństwo niepłodności.

- Trawka to nie narkotyk - sprzeciwił się Edwin. - Nie wierzę mu.

Po roku lekarz posunął się jeszcze dalej w swoich przypuszczeniach, twierdząc, że Angelika nie zachodzi w ciążę, ponieważ sperma Edwina została osłabiona przez długotrwałe palenie marihuany. Edwin nie chciał poddać się badaniom. Angelika całkowicie się z nim solidaryzowała, a cała procedura wydała jej się odrażająca.

- Widzicie ją, zazdrości innym słoika spermy - żartował Edwin.

- Żebyś wiedział, że zazdroszczę!

W końcu poszli do młodej lekarki pracującej na oddziale chirurgii. Nazywała się Rozamunda Plaidy. Uspokoiła ich mówiąc, że nie muszą się spieszyć. Dzieci przychodzą na świat, gdy rodzice są do tego przygotowani. Oboje poczuli się lepiej. Angelika zaczęła zastanawiać się, czy jest już na tyle dorosła, by zostać matką. Młodzieńcze marzenia zamieniły się w poważne wahania.

Lady Rice towarzyszyła mężowi przy ogrodowych porządkach. Patrzyła, jak ścina gałęzie, pali ognisko. Edwin zrobił się muskularny, miał szerokie ramiona i mocny kark. Angelika przestała pragnąć dziecka za wszelką cenę. W chwili szczerości zwierzyła się ze swoich odczuć Boffy Dee. Poczekaj, aż dojrzeje. Była przekonana, że pani MacArthur odbierze jej dziecko pod pretekstem, że musi go doglądać. Lady Rice dodała, że kiedyś w ogóle nie będzie jej potrzebna pani MacArthur. Na razie musi mieć kogoś do sprzątania. Nie chciała niszczyć sobie rąk, które Edwin tak kochał. Patrzył na nie jak chłopiec wdzięczny losowi za garść słodczy. Angelika trwała w przekonaniu, że tak będzie zawsze.

Robert Jellico donosił Lordowi Cowarhowi, który mieszkał parę kilometrów dalej, że jego najmłodszy syn zmienił się na korzyść i że ku zaskoczeniu wszystkich małżeństwo trwa nadal. Pieniądze Angeliki przeszły w ręce zarządu spółki zajmującej się uprawą grzybów (odmiana kontynentalna). Dla Rice'ów był to najlepszy

sposób, by wymigać się od podatków. Jellico uważał, że w dużej mierze to jego zasługą jest udane małżeństwo Edwina. Kobiety bez pieniędzy są lepszymi żonami, gdyż uzależniają się od mężów.

Robert Jellico związał się z pewnym dżokejem, niejakim Andym Packiem. Złagodniał i nie przybierał już ironicznego wyrazu twarzy, kiedy rozmawiał z Angeliką. Przestał też wodzić tęsknym wzrokiem za Edwinem. Zdobył się nawet na to, że uwzględnił inflację przy wypłacaniu im rodzicielskiej pensji. Służbę i rachunki opłacano z kasy majątku, młoda para płaciła jedynie za wyżywienie i rozrywki, a ponieważ największą rozrywką było dla nich własne towarzystwo, mogli nieco zaoszczędzić. Angelice udawało się nawet co tydzień wysłać matce pięćdziesiąt funtów. Gerald Haverley przeszedł na emeryturę i nie starczało im pieniędzy na opłacenie centralnego ogrzewania.

- Przecież możecie się nawzajem ogrzewać - zauważyła Angelika, kiedy jej matka zaczęła narzekać. Widocznie każdy ma inne upodobania. Młodzi leżą w łóżku cały dzień, z wiekiem coraz więcej czasu spędzają poza sypialnią, by wreszcie na starość wrócić pod pierzynę.

Robert Jellico sprzeciwiał się wysyłaniu teściowej Edwina pieniędzy należących do majątku, gdyż uważał, że to Gerald powinien ją utrzymywać. Powiedział o tym Edwinowi, a ten powtórzył to Angelice.

- Pieniądze, które posyłasz co tydzień matce, przydałyby się na drobne remonty pałacu, dezynsekcję i deratyzację. Stare rury pękają, a ciebie to nic nie obchodzi.

- Należało nie wpuszczać do domu tego archeologa - stwierdziła Angelika. - Wiedziałam, że przysporzy nam samych kłopotów.

Uniwersytet Birmingham przysłał swojego pracownika z Instytutu Badań Historii Średniowiecznej, żeby zgromadził dokumentację dotyczącą ceglanych kanałów odprowadzających nieczystości. Chociaż przyrzekał, że niczego nie ruszy, w celach naukowych wyjął jakiś kamień, powodując rozchwianie całej konstrukcji, która, gdyby nie on, przetrwałaby pewnie kolejne sto lat. Edwin zrozumiał teraz, dlaczego ojciec strzela do ludzi pojawiających się w pałacu, obojętne kim byli: cyganami, turystami, włóczęgami, naukowcami czy pracownikami z ośrodka opieki społecznej.

- Znowu obwiniasz mnie za własne błędy - zarzucił jej Edwin. - Masz zbyt miękkie serce.

- Ale moja matka potrzebuje' pieniędzy - odparła Angelika. - Bez mojej pomocy zaczniesz marznąć i umrze z głodu.

Edwin zaczął utyskiwać, że znowu przesadza i swoje sprawy stawia na pierwszym miejscu. Posypały się groźby. Zarzucił jej, że zawsze próbuje dopiąć swego. Nadszedł czas, żeby wreszcie zerwała z przeszłością. Dlaczego ma pomagać Geraldowi Haverleyowi, który zdradził matkę jej najlepszej przyjaciółki? A dlaczegożby nie? - pytała Angelika. Kłótnia ta na jakiś czas ochłodziła ich wzajemne stosunki. Jak ledwo widoczna rysa na szkle, stała się zapowiedzią przyszłych nieporozumień, ostrym powiewem wiatru, pokrywającym zaśnieżone zbocza lodem.

- A co z pieniędzmi, które oddałam na remont? - przypomniała mu Angelika. - Nie podziękujesz mi za to?

Niestety, w majątku Rice'ów obowiązywała zasada, że pieniądze oddane na ten cel znikają jak w paszczy smoka, zapadały się pod ziemię jak wszystko, co znalazło się w zasięgu rąk Lorda Cowartha. Na jego skinienie przenoszono góry, zmieniano kierunek dróg i bieg rzek, jedne majątki rozbudowywano, inne zamieniano na sztuczne wrzosowiska, gdzie urządzano polowania na głuszce, albo stawiano wyciągi narciarskie. Wszędzie dookoła czekały bagna, ziejące pustką dziury, przepastne wąwozy, by wchłonąć czyjeś pieniądze i przybrać nowy wygląd. Hodowle pieczarek (klonowanie, hodowanie, rozsadzanie), oczyszczalnie ścieków (Na zdrowie! Pijcie, pijcie naszą wodę!). Ta niszczycielska siła majątku Rice'ów przetwarzająca wszystko dookoła materializowała się w plikach nowiutkich banknotów, które dyskretnie wysyłano w świat, przekazując je ludziom i partiom, byle jak najdalej od żony najmłodszego syna Lorda Cowartha. Wiedziano dobrze, kiedy wydawać, a kiedy oszczędzać. Nad wszystkim czuwał Robert Jellico, który pilnował, by majątek połykał ziemię wartą miliony i wypluwał odporne na podatki, starannie ułożone banknoty. Im bardziej ufano Robertowi Jellico, tym gorliwiej doglądał wszelkich operacji. Na tym opierał się cały układ.

- Nie pokazano mi żadnego rachunku i nie widzę żadnych zmian - skarżyła się Angelika. - Co się dzieje z moimi pieniędzmi?

Zastanawiała się, dlaczego z umywalki cieknie woda, a dziura w niej się powiększa, dlaczego warunki życia pozostawiają tak wiele do życzenia. Natomiast pani MacArthur czuła się jak ryba w wodzie, uwielbiała sprzątać, lubiła domowe katastrofy, naprawy, sklejanie.

- Jest tyle wody na dnie, że bez problemu możesz umyć ręce, drogie dziecko - przekonywała. - Dziura jest dopiero o parę centymetrów wyżej. Nie bądź taka zachłanna!

- Ten pałac to ruina - westchnęła Angelika. - Czy nie moglibyśmy się stąd wyprowadzić?

- Już mnie nie kochasz - żalił się Edwin. - Nigdy nie obchodziło cię, co czuję.

Przestała się skarżyć. Widocznie pieniądze znikają tak samo jak woda.

Leżeli na trawniku, gdzie kiedyś podobno sam Cromwell własnoręcznie jednym ruchem młota wbił dożynkowy słup. Przodek Lorda Cowartha był jego przyjacielem. Miał opinię człowieka surowych obyczajów i ponuraka. Z nadzieją patrzył na zmiany w kraju. Dlatego jego potomkowie prowadzili rozwiązłe życie, byli okrutni i lubowali się w krwawych najazdach, jakby chcieli zrównoważyć skąpstwo i surowość człowieka, któremu zawdzięczali pozycję, własnoręcznie wyrzucając z okolicznych pałaców sąsiadów i zajmując ich ziemie. Przytuleni do siebie Sir Edwin i Lady Rice trzymali się za ręce i obserwowali siadającego na kominie ptaka. Nagle kawałek komina odpadł i stoczył się po dachu. Nastąpił huk i część stropu zapadła się. Tynk wpadł przez poddasze i sypialnię do biblioteki mieszczącej się na parterze, wzbijając tumany kurzu, które wydostały się przez okna i zniknęły. Z takich drobiazgów tworzy się historia małżeństwa, pomyślała Lady Rice.

Wszystko runęło.

170

W ciągu ostatnich trzech lat stan zdrowia Lorda Cowar-tha poprawił się.

Z powodu różnych infekcji cierpiał on na owrzodzenie dziąseł, w wyniku czego zostało mu jedynie sześć tylnych zębów. Nie mogąc znieść bólu, udał się do lekarza. Doktor Rozamunda Plaidy przepisała mu nowy lek antydepresyjny

O nazwie prozac, wciąż poddawany testom naukowym. Lord Cowarth odczuł tak wielką chęć powrotu do normalnego życia, że podpisał nawet specjalną deklarację, zwalniającą lekarza z odpowiedzialności za skutki uboczne leczenia.

Po sześciu tygodniach od rozpoczęcia kuracji Lord Cowarth ożenił się z pięćdziesięcioletnią blondynką w skórzanych butach. Przyszła Lady Cowarth miała na imię Ventura. Zarówno żona najmłodszego z rodu Co-warthów, jak i małżonka majątnego lorda o błękitnej krwi miały prawo do tego samego tytułu. Pani White zwróciła córce uwagę, że tytuł „lady” niesie ze sobą różne korzyści

i honory, choć nie może równać się z tytułem „księżniczki”, „hrabiny”, „księżnej” czy „królowej”. Ventura była energiczną, potężną kobietą, piła dużo whisky i lubiła Angelikę, która tak jak i ona miała słabość do skórzanych strojów, choć z czasem zaczęła nosić głównie dżinsy, swetry, skromne spódniczki oraz bluzki z długimi rękawami i kołnierzykiem zapinanym pod szyją.

- Może nie ma błękitnej krwi, ale przynajmniej jest tutejsza i mieszka w pałacu - zauważyła Ventura, rozmawiając z mężem o Angelice. - Nie tak jak twoi starsi synowie, którzy zostawili cię na lodzie.

Lord Cowarth znalazł wreszcie pasek od szlafroka i przestał obnażać intymne części swego ciała. W momen-

tach, kiedy się to zdarzało, dawało się zauważyć, że nie jest już tak przeraźliwie chudy.

- Trzeba wziąć się do remontu pałacu - stwierdziła Ventura. - To nie tylko zabytek, ale nasz dom!

Lord Cowarth wezwał Roberta Jellico, który wkrótce przekazał pół miliona funtów na generalny remont pałacu. Wszyscy ciągle nie mogli ochłonąć po zawaleniu się dachu.

Następne pół miliona obiecano dostarczyć, kiedy Angelika urodzi dziecko.

- Nie miałam pojęcia, że są jeszcze w kraju ludzie zdolni do tego rodzaju nacisków - zmartwiła się Angelika. Edwin czynił znów wysiłki, by spłodzić dziedzica, podczas gdy ona zarzuciła wszelkie myśli o dziecku.

- Tytułu nie otrzymuje się za darmo - wysapał Edwin, poruszając rytmicznie swoim ciężkim, umięśnionym ciałem.

Angelika roześmiała się, ale zrobiło jej się przykro. A może Edwin robił to wszystko dla pieniędzy, nie z miłości? Dla majątku, a nie dla niej?

Jeśli Edwin chciał dziecka tylko dla dobra rodziny i nie miał zamiaru traktować go jak owocu ich miłości, woląla nigdy nie zająć w ciążę. O ileż lepiej jest mieszkać w skromnym domku, wokół którego rosną dzikie róże, cieszyć się miłością i otoczyć gromadką dzieci, które są owocem prawdziwej miłości, niż żyć w pałacu wśród nianiek i rodzić potomstwo dla przedłużenia rodu ludzi, którzy nie wiadomo dlaczego uważają się za lepszych. Tym bardziej że - jak zauważyła Angelika - w rodzinie tej przeważali kupcy, a nie ziemianie. Poza tym co będzie,

jeśli dziecko odziedziczy skłonności po dziadku, alkoholizm po babce, a gnuśny charakter po ojcu? W średniowieczu ród ten aż roił się od złodziei i morderców. Im dłużej to rozważała, tym bardziej czuła się przerażona. Chociaż jej własna rodzina nie należała do typowych, mieściła się jednak w granicach przeciętności. Przynajmniej starali się być dobrymi ludźmi, a nie udawało im się to jedynie z braku silnej woli. W rodzinie Rice'ów nikt nie silił się nawet na dobroć.

Być może Edwin myśląc o dziecku chciał spełnić marzenia Angeliki albo, co byłoby jeszcze lepsze, widział w tym naturalne spełnienie ich wielkiej, wiecznej miłości, wówczas wszystkie jej wątpliwości zagłuszyłaby jego chęć posiadania potomstwa. Ale byłoby to możliwe tylko wówczas, gdyby Edwin wydorósł i przestał myśleć wyłącznie o spełnianiu oczekiwań swojej rodziny. Angelika nie zamierzała ponosić konsekwencji, jakie pociąga za sobą urodzenie dziecka z tytułem. Lepiej być żoną uwielbianą przez męża niż pełnić rolę matki dziedzica. Historia tej rodziny notowała zbyt wiele przypadków, gdy matki uciekały w alkoholizm, zrzucano je ze schodów lub zamurowywano w komnatach albo po prostu lekceważono przez całe życie, ponieważ spełniły już swoją powinność. Dla świętego spokoju pozwalano im nosić diademy w czasie uroczystości koronacyjnych, podczas pogrzebów i parad wojskowych, i nic ponadto. Angelika powyciągała z piwnic i strychów stare portrety rodzinne. Wyczyściła je, odkurzyła i patrząc na nie utwierdziła się w przekonaniu, że na razie nie chce mieć dzieci. Ku zaskoczeniu wszystkich Angelika nie zaszła w ciążę. Aby czuć się całkowicie bezpieczną zgłosiła się do kliniki

z prośbą o wszycie środka antykoncepcyjnego, który miał ją uchronić przed niepożądaną ciążą na pięć lat. Młoda lekarka, pani Rozamunda Plaidy, podjęła się tego zabiegu i za pomocą skalpela i igły zręcznym ruchem wszyła jej środek pod skórę pośladków. Powoli implant zaczął sączyć do organizmu małe dawki estrogenu. Angelika złagodniała, stała się miłsza i okraglejsza. Im bardziej przypominała wyglądem kobietę ciężarną, tym mniejsze istniało prawdopodobieństwo zajścia w ciążę. Nie musiała już ukrywać przed wszystkimi pustych opakowań po pigułkach antykoncepcyjnych.

Rozamunda miała trzydzieści cztery lata, była grzeczna, spokojna i kompetentna. Wyszła za pisarza Lamberta Plaidy. Sama została matką w wieku dwudziestu sześciu lat i uważała wiek ten za najlepszy do zajścia w ciążę. Nie ukrywała, że Angelika ma jeszcze mnóstwo czasu. Lady Rice całkowicie się z tym zgadzała.

Lady Rice po ośmiu latach małżeństwa

- wydawała przyjęcia i skupiła wokół siebie spory krąg przyjaciół. Pałac Rice'ow znów otwarto dla zwiedzających. Odnowiono salę recepcyjną oraz sypialnie i przygotowano tablice informacyjne. Tu jadał Oliver Cromwell, tu został otruty Lord Cowarth, w tym łóżu powracał do zdrowia, tu znajdowała się cebra zamurowanego żywcem księdza, a to chińska waza podarowana przez królową Wiktorię, na tej zaś kanapie książę Edward w miłosnym uniesieniu obejmował panią Simpson. Południowe skrzydło pałacu należało do rodziny. Tam młoda para mogła prowadzić normalne, dostatnie życie. Z sufitów przestał odpadać tynk, nie waliły się kominy, drzwi i okna zaczęły się wreszcie domykać. Przedpotopowe stalowe garnki zamieniono na nowoczesne teflonowe. Piece węglowe na elektryczne. Pani MacArthur odmłodziła o dziesięć lat. Zrobiła sobie trwałą i jej surową twarz otaczały teraz figlarne loczki. Pan MacArthur stracił posadę spawacza w fabryce samochodów, tym samym jego żona stała się jedynym żywicielem rodziny i Angelika pożegnała się z myślą, że wreszcie będzie mogła się jej pozbyć. Pani MacArthur wspaniałomyślnie pozwoliła jej zajmować się prowadzeniem pałacowej turystyki.

Nawet Lord Cowarth przyznał, że Lady Rice potrafi działać, a przynajmniej umie utrafić w gust turystów.

Rozumiała doskonale, dlaczego wolą lody śmietankowe niż kremowe, dlaczego kupują landrynki zamiast miętusów, dlaczego oblegają kanapę, na której siedziała pani Simpson, a nie zwracają uwagi na kolekcję włóczni Lorda Cowartha.

Po zakończeniu sezonu policzono pieniądze i odesłano je do księgowości, by tam schować do pękającej w szwach szafy pancерnej. Nawet Robert Jellico był z Angeliki zadowolony. Lady Rice nie pozostało nic innego jak znaleźć sobie przyjaciół. W książkach kucharskich, które kupował Edwin, wyszukiwała egzotyczne potrawy z różnych kontynentów. Dania z Afganistanu, Gruzji, Iranu, z miejsc, gdzie w tym czasie panował względny spokój, nie królowała przemoc i barbarzyństwo, które mogły popsuć smak potraw i zagłuszyć rozkosze podniebienia cudzymi cierpieniami.

Najczęściej Angelika i Edwin "spotykali się z Rozamundą, Lambertem, Susan i Humphreym. Inni goście zmieniali się, zapewniając konieczną równowagę w kontaktach towarzyskich. Każdemu szybko przyklejano etykietkę. Przyjaciele, znajomi, koledzy z pracy, na każdym po kolei skupiała się uwaga biesiadników. Każdy szybko poznawał swoje miejsce, uśmiechnięte twarze dzieliły się chlebem, udzielały sobie rad, opowiadały dowcipy i historie z życia wzięte. Choć przyjęcia u Edwina i Angeliki miały nieco snobistyczny charakter, nikt inny nie mógł się poszczycić równie udanymi. Co prawda czasy świetności pałac Rice'ów miał już za sobą i stanowił atrakcję głównie dla turystów, to jednak nawet najskromniejsze jedzenie inaczej smakowało na wielkim stole, wokół którego mieściło się swobodnie dwanaście osób i pozostawało jeszcze mnóstwo miejsca dla nieoczekiwanych gości.

Rozamunda, młoda, zdolna lekarka, z której były ciepło i spokój, oraz jej mąż Lambert, uroczy pisarz o nieprzytomnym wejrzeniu i rozwianych włosach, stanowili malowniczą parę, toteż wybaczano im brak oglądy towarzyskiej. Cała gromadka zbierała się przy wielkim stole otoczonym półkami z książkami, które wychodziły aż na korytarz. Susan, artystka ceramiczka z Minnesoty, pełna życia blondynka o oryginalnej, zmysłowej urodzie, przyciągała ludzi wrodzonym czarem. Pojawiała się z koszem pełnym ogrodowych kwiatów i wonnych ziół albo z prezentem gwiazdkowym lub wielkanocnymi upominkami, ciągnąc za sobą zakochanego w niej męża Humphreya, pulchnego, dobrodusznego, ospałego i małomównego architekta, który podawał japońskie potrawy na dywanie usłanym poduszkami.

Rozamunda miała dwoje dzieci, Susan jedno, Angelika żadnego.

- Może powinienem zrobić sobie test na bezpłodność - zastanawiał się Edwin, siedząc któregoś wieczora obok Susan. - Co faceci właściwie robią, kiedy nie są ojcami?

Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

- Kochają swoje żony - odparła Angelika i nagle zrozumiała, jak bardzo jest zależna od Rozamundy. Było za późno, by powiedzieć Edwinowi o implancie. Nie pamiętała już, dlaczego nie zrobiła tego bezpośrednio po żabie-gu. Miała przecież jeszcze czas na to, jak zapewniała Rozamunda. Frekwencja zwiedzających w pałacu zwiększyła się o pięć procent, przybyło jej pracy. Edwin wprawdzie mógłby jej pomóc, gdyby chciał, ale on tylko chodził zamyślony, z tajemniczą miną, zupełnie jak Humphrey, który miał coraz mniej zamówień na projekty. Wiadomo,

że szukanie nowej pracy nie należy do przyjemności. Lambert też narzekał na brak pieniędzy. Wydawcy wykreślali go ze swoich notesów, a jego agent wmawiał mu, że jest tak zapracowany, iż nie ma czasu się z nim spotkać. Lambert czuł się odrzucony. Coraz więcej czasu spędzał z dziećmi, pozwalając Rozamundzie brać nocne dyżury. Prawdę mówiąc, była do tego zmuszona, gdyż ktoś musiał płacić rachunki.

Jako najmłodsza w towarzystwie Angelika uważała, że powinna się uczyć. Edukację rozpoczęła przy stole. Nauczyła się rozmawiać na abstrakcyjne tematy, takie jak sprawiedliwość społeczna i krzywdy wyrządzane jednostkom. Nauczyła się, kiedy należy zabierać głos, a kiedy milczeć, wyrobiła sobie opinię na temat sztuki, wiedziała, kto naprawdę rządzi krajem i wiele innych rzeczy. Orientowała się, czy zamach bombowy był dziełem terrorysty czy prowokatora.

Od Susan uczyła się kobiecości, której nigdy nie miała jej matka. Wiedziała, jak zadbać o kompozycje kwiatowe w domu, i to, że nie wolno bezmyślnie wsadzać bukietu do wazonu, zanim nie podetnie się łodyg i nie oberwie zbędnych liści. Susan uważała, że wszystkie przyjemności wymagają zachodu. Należało się w czymś rozsmakować, by poczuć prawdziwą przyjemność. Dotyczyło to również seksu, a to Angelice podobało się najbardziej.

- Wy, Anglicy, nie macie pojęcia o uwodzeniu kobiet, nie ma w was odrobiny romantyzmu - narzekała Susan, mimo iż Humphrey zasypywał ją kwiatami, zabierał na romantyczne wycieczki do Wiednia, malował jej portrety, obcinał jej paznokcie, mył zniszczone gliną ręce i nie miał w sobie nic angielskiego.

Susan uważała to jednak za rzecz naturalną. Jej pierwszym mężem był słynny pejzażysta Alan Adliss. Uciekła od niego z Humphreym, który zostawił swoją otyłą, niewierną i gruboskórną żonę Helen. Tak ją przynajmniej opisywała Susan. Nikt z jej towarzystwa nie znał Helen i oczywiście nikt tego nie żałował. Należała do przeszłości, ze swymi niepojętymi problemami, do starego świata, pełnego błagań i próśb, natrętnych telefonów, pamiątek i pieniędzy, o które zawsze upominają się odrzucone żony. Nie kochane kobiety z przeszłości powinny znikać tak samo jak owdowiałe matki. Na szczęście w życiu Edwina nie istniały takie kobiety, była jego pierwszą i jedyną żoną. Wszyscy, poza Angeliką, mieli kłopoty małżeńskie. W tym to przekonaniu utwierdzała ją własna zarozumiałość.

W głowie Lady Rice nie pojawiły się jeszcze inne głosy, które wkrótce miały ją podzielić i rozerwać, nakazując dokonywać wyboru między niebem a piekłem. Trwała w przekonaniu, że jest najmilszą osobą na świecie i ani razu w to nie zwątpiła. Nie istniała inna możliwość.

Przecież sama była kowalem własnego losu i autorem swej historii życia. Mimo to często zadawała sobie pytanie, dlaczego tak łatwo pogodziła się ze śmiercią ojca. Wydarzenie to nie pozostawiło w niej żadnego śladu. Dlaczego? Jakby ojciec był kukłą, a nie żywą istotą. Doszła do wniosku, że z jego winy, ale obawiała się, że brak choćby cienia żalu z powodu jego śmierci z czasem może się okazać bombą z opóźnionym zapłonem. Kiedyś i ona wybuchnie jak odkładający się w jej organizmie estrogen, przenikający do szpiku kości banal cielesności wyzuty z tajemnicy.

W łóżku Angelika coraz częściej odwracała się plecami do Edwina. Nawet wyrafinowane rozkosze mogą znużyć i wówczas ucieka się w sen. A może seks bez groźby zajścia w ciążę po prostu nie był interesujący? Jak słońce, które oświetla brzegi ciemnej chmury, nadając jej złowrogą głębię. W końcu Angelika uwierzyła, że zabieg wszycia implantu w ogóle nie miał miejsca. Wtedy, w szpitalu, zobaczyła Rozamundę po raz pierwszy w życiu, była dla niej obcą osobą. Teraz to co innego, łączyła je przyjaźń. Wszystko się zmieniło. Lepiej nie myśleć o tym, co było. Istniała szansa, że implant dawno przestał działać. Któż teraz może z całkowitą pewnością stwierdzić, że to właśnie ten kawałek obcego ciała z hormonami, a nie wola Boża odpowiada za nie narodzone dziecko Edwina? Może jest bezpłodna? Kiedyś Edwin zauważył przy stole:

- Obawiam się, że nie jesteśmy szczególnie płodną

Rozamunda nie wspomniała wówczas o implancie. Być może i ona zapomniała o całej sprawie. Czas płynął i wspomnienia jednego roku ginęły w natłoku kolejnych zdarzeń.

Angelika żałowała, że Edwin nie jest tak zakochany ani tak romantyczny jak Humphrey i że ich związek jest nazbyt partnerski.

Zacząła odwiedzać grób ojca. Zakusy terytorialne Ri-ce'ów nie oszczędziły miejscowego cmentarza, majątek wdarł się na jego teren. Obok kościoła zamierzano zbudować halę sportową. Angelika czuła, że jeśli nie pójdzie na grób ojca teraz, na zawsze straci tę rozplywającą się w pamięci cząstkę przeszłości. Wciąż nie mogła przypomnieć sobie twarzy Stephena White'a. Był zbyt stary, zbyt

uprzejmy i nierzeczywisty, by zostawić w pamięci jakiś ślad. Nie wzbudzał w niej żadnych emocji, pochłonięty przez historię, choć jego życie częściowo nałożyło się na jej własne. Pasje i zainteresowania ojca były jej całkowicie obce, toteż często czuła się jak dziecko, które wróżka podrzuciła mu kiedyś pod drzwi.

Nudziła się. Edwin zaczął zapraszać do odnowionej rezydencji swoich dawnych kolegów i towarzyszy polowań, którzy zajmowali się unowocześnianiem swoich majątków i budowaniem fabryk do przetwarzania surowców wtórnych. Podczas spotkań narzekali na nudne prowincjonalne życie, a potem zadowoleni rozjeżdżali się do swych domów. Czasem Angelikę odwiedzał dawny znajomy z branży muzycznej, by pod wpływem środka odurzającego popatrzeć z zachwytem na księżyc, ponarzekać na ludzkość i przed odjazdem załamać ręce na widok tego, co może zrobić z dziewczyny małżeństwo i stabilizacja, nawet jeśli nie ma dzieci. Od czasu do czasu przychodziła na kolację Anthea.

- Ona myśli tylko o koniach. Trzymaj ją ode mnie z daleka - krzywił się Edwin po jej wyjściu, ziewając z nudów. - Czy zdajesz sobie sprawę, że gdybym był dziewczynką, a ona chłopcem, to ona odziedziczyłaby tytuł, a nie ja?

Czasem przychodziła też na ploteczki przy szklance džinu Boffy Dee. Wyszła za mąż za kierowcę wyścigowego, który miał tyle wstrząsów mózgu, że z jego ust zamiast słów wydobywał się jeden wielki bełkot. Boffy jednak uważała, że uraz mózgu nie stanowi przeszkody dla szczęśliwego małżeństwa. Wręcz przeciwnie.

Kłopoty wśród przyjaciół

Któregoś dnia Rozamunda zadzwoniła do Angeliki.

- Słuchaj, to straszne! Musimy *coś* zrobić. Susan ma chyba romans z Clive'em Rappaportem. Kiedy wychodzę do miasta, często widzę ich samochody zaparkowane obok siebie w różnych dziwnych miejscach.

Było lato, zieleniała trawa.

Clive Rappaport - adwokat, "znajomy nie należący do najbliższego kręgu przyjaciół, był człowiekiem cichym, poważnym, romantycznym, oddanym swej żonie Natalie, tryskającej życiem pulchnej brunetce.

- To niemożliwe - odparła Angelika.

- Dlaczego? - spytała Rozamunda. Wtedy Angelika przypomniała jej, jak kilka tygodni wcześniej podczas pikniku obok starych torów kolejowych (Susan i Humphrey mieszkali w uroczym domu, w którym niegdyś mieściła się stacja kolejowa), Natalie wyznała, pół żartem pół serio, jak to czynią kobiety w gronie przyjaciół, że Clive przestał się nią interesować i od dawna już nie żyją ze sobą.

- I co ja mam zrobić? - zakończyła. - Nigdy przedtem nie mieliśmy takich problemów.

- Zaczynij nosić czarną bieliznę - poradziła Susan. - Koronki, podwiązki, wysokie obcasy. Paraduj w tym od świtu do nocy. To zawsze działa.

Wszyscy wybuchnęli wymuszonym śmiechem. Z niesmakiem przyjęto uwagę, że seks związany jest z miłością, szczególnie wśród ludzi, którym pociąg fizyczny kojarzył się jedynie z pożądaniem.

- Gdyby Susan miała romans z Clive'em - ciągnęła Angelika - nie dawałaby jej takich rad. Angelika niewiele wiedziała o życiu.

- Mylisz się - odparła Rozamunda. - Może jest na tyle pewna siebie i próżna, że doskonale wie, iż Natalie nie zdoła zadowolić już Clive'a nawet najbardziej wyrafinowaną bielizną. Próbowała nas zwiść.

- Niemożliwe - oburzyła się Angelika. - Nie Susan.

Tak przynajmniej myślała. To prawda, że pojawienie się dużej, nieco groteskowej postaci Susan z burzą jasnych włosów zawsze wywoływało wśród mężczyzn ożywienie, a i kobiety reagowały podobnie. Wszyscy jednak wiedzieli, że Humphrey uwielbiał Susan, a Susan Humphreya. Angelika przestała się więc nad tym zastanawiać i wkrótce zapomniała o całej sprawie. Rozamunda była przepracowana, stąd jej nadmierna podejrzliwość. Do tego Lambert nie ułatwiał jej życia. Stał się niemiły, narzekał, że Rozamunda ma za małe piersi i zaniedbuje go na rzecz biednych i cierpiących. Nic dziwnego, że Rozamunda doszukiwała się dramatów wszędzie, tylko nie we własnych ścianach. Angelika powiedziała Edwinowi o tych podejrzaniach.

- A cóż, u diabła, Susan może widzieć w Clivie Rap-paporcie? Jest nudny jak flaki z olejem - odparł ze zdziwieniem.

Nie takiej odpowiedzi się spodziewała, ale ostatnio coraz częściej spotykały ją niespodzianki. Równie niespodziewana okazała się wizyta męża Roza-mundy, Lamberta, który tydzień później przyszedł do Angeliki i oznajmił:

- Susan i Edwin mają romans.

- Nonsens - Angelika nie kryła oburzenia. - A nawet, jeśli to prawda, co to ciebie obchodzi? Jesteś w depresji? Wyglądasz strasznie.

Rzeczywiście. Miał na sobie stare szorty, z których wystawała zniszczona wojskowa koszula. Jego twarz pokrywał tygodniowy zarost, a włosy miał w takim nieładzie, jakby nie zaglądał do fryzjera co najmniej przez trzy miesiące.

- Nie powinnaś wszywać sobie środka antykoncepcyjnego - zauważył Lambert. - Rozamunda ostrzegła cię, ale jej nie słuchałaś. Widzisz, jak skomplikowałaś teraz wszystkim życie? Jesteś żoną Edwina. Powinnaś urodzić mu dziecko.

- O co ci właściwie chodzi? - zdziwiła się Angelika. - Kto powiedział, że nie urodzę mu dziecka?

- Przeczytałem to w twojej karcie w klinice - odparł Lambert, odmawiając dalszych wyjaśnień, jakby nagle Angelika przestała go obchodzić. Co będzie, *jeśli* Lambert powie o tym Susan, a Susan Edwinowi - nie, to niemożliwe! Lambert chyba postradał zmysły.

- Rozamundo - zaczęła Angelika, gdy odnalazła lekarkę, która po zakończonej operacji siedziała w laboratorium

w gumowych rękawicach, w otoczeniu probówek z krwią i kart chorobowych, pochłonięta dramataми innych ludzi.

- Co zrobimy z Lambertem?

- My? - zdziwiła się Rozamunda. Jej włosy wydawały się jeszcze bardziej skręcone od potu i zmęczenia, a jasną twarz o szczerym wejrzeniu pokrywała taka bladość, że jeszcze wyraźniej uwydatniały się na niej liczne piegi. Angelika pomyślała, że Rozamunda jest urocza, ale zbyt prostolinijna, by uchodzić za piękność.

- Jak to? - oburzyła się Angelika. - Przecież jesteśmy przyjaciółmi - i pokrótce streściła wynurzenia Lamberta jak ktoś opowiadający zatroskanej rodzinie dzieje szaleństwa chorego pacjenta.

- Lambert robi wokół siebie tyle zamieszania - ciągnęła Angelika - że mógłby kogoś naprawdę zdenerwować. Czy on nie zdaje sobie z tego sprawy?

- Ależ oczywiście, że nie - odparła Rozamunda. - Naiwnością jest sądzić, że ludzie przestaną się nawzajem ranić, kiedy sami zaczną cierpieć. Niektórzy lubią krzywdzić innych.

- Ale nie Lambert - ciągnęła Angelika - ani ktokolwiek z *naszych* znajomych.

Rozamunda uniosła brwi i zaczęła wylewać zawartość probówek do zlewu.

- Czy nie może ktoś robić tego za ciebie? - spytała Angelika.

- Jeśli mu zapłacę - usłyszała krótką odpowiedź.

- Rozamundo, to naprawdę ważne - nalegała Angelika.

- Nie jest to sprawa życia i śmierci. Pani Anna Wesley ma za dużo białka w moczu. To jest ważne. Lambert powiedział mi, że synek Susan, Roland, nie jest dzieckiem Humphreya.

Zajrzałam do jego karty. Ma tę samą grupę

krwi co Lambert. A tak się składa, że próbki nasienia Humphreya wskazują, iż jest on bezpłodny.

- Lambert chyba zwariował.

- Nie ukrywał, że od lat podkochiwał się w Susan. Nie odchodził ze względu na dzieci, nie na mnie. Powiedział zresztą, że nie pasujemy do siebie. Biedna Susan, biedny Humphrey, biedny Lambert. A ja? Robię tylko to, co do mnie należy, i zarabiam na życie. A teraz Susan jest w ciąży i Lambert uważa, że to sprawka Edwina.

- Jak to?

- Bo ty nie chcesz mieć dziecka z Edwinem, a Susan jest taka miła i ma dobre serce - odparła Rozamunda. - Mała pieprzona zdzira - dodała nieoczekiwanie.

Angelika nie ukrywała zaskoczenia.

- Trudno robić tajemnicę z tego, że ktoś wszywa sobie środek antykoncepcyjny - wyjaśniła Rozamunda. - Lambert przegląda karty pacjentów % poszukiwaniu materiału do swoich powieści. Wszyscy o tym wiedzą, poza tobą. A może wiedziałaś, tylko zapomniałaś? Jesteś dziwna. Czasem mam wrażenie, że idziesz przez życie jak we śnie. Ja nigdy nie zaleciłabym ci prozaku. Ty i tak codziennie budzisz się rześka i pogodna jak rusalka.

- Nie wierzę - powiedziała Angelika, ale naraz stanęła jej przed oczami szeroka twarz Rolanda z niebieskimi wylupiastymi oczami, do złudzenia przypominająca Lamberta. Ziarno zwątpienia zostało zasiane, dowody wydawały się tak oczywiste jak fakt, że zanim kontynenty rozdzieliły się, stanowiły kiedyś jeden ląd. Było to jasne dla każdego, kto po 1926 roku, kiedy po raz pierwszy wysunięto tę tezę, spojrział dokładnie na globus. A jednak nie dostrzegały tego całe pokolenia wstecz.

- To niemożliwe, żeby Lambert kochał się w Susan
- zauważyła niepewnie Angelika. - Jesteście zbyt dobraną parą. Wszędzie chodzicie razem. Dlaczego Lambert miałby kochać się w Susan, jeśli ma ciebie?
- Bo jestem nudna - odparła spokojnie Rozamunda
- a Susan nie. Odzywam się tylko wtedy, kiedy mam coś do powiedzenia, podczas gdy ona trajkuje bez przerwy. Mam stałą pracę, poświęcam się dla dobra innych, podczas gdy ona ma artystyczną fantazję. Lambert jest poetą, ona muzą, do tego twórczą muzą. Potrzebują mnie i Humphreya, byśmy na nich zarabiali, mimo że nie jesteśmy najlepszym źródłem natchnienia, nie uważasz? Trudno oczekiwać, że będziemy dla nich zawsze pępkiem świata.
- Jeśli Susan rzeczywiście ma z kimś romans, to z Clive'em Rappaportem, a nie z Edwinem - dowodziła Angelika. - Sama to powiedziałaś. Poza tym Susan nigdy by mi tego nie zrobiła. Jest moją najlepszą przyjaciółką. Lambert powinien przestać opowiadać głupstwa. On chyba zwariował.
- Wolalabym, żeby to był Edwin, a nie Clive. Bo jeśli to Clive, dowie się o tym biedna Natalie, no i Humphrey, nieborak...
- Dziękuję ci bardzo - przerwała oburzona Angelika.
- Uważasz, że mnie to nie dotyczy?
- Posłuchaj, Angeliko - rzuciła zniecierpliwiona Rozamunda - jesteś podobna do mnie. Dasz sobie radę. Stwierdzenie to wprowadziło Angelikę w osłupienie. Nigdy nie chciała uchodzić za osobę odpowiedzialną, uczynną i wytrwałą, słowem, za kobietę gotową znosić zdrady męża dla dobra ludzkości.
- Poza tym - dodała Rozamunda - nie masz dzieci, więc to nie takie ważne.

Angelika zrozumiała teraz, dlaczego Lambert odsunął się od Rozamundy i zaczął szukać pocieszenia u Susan. Natomiast myśl, że Edwin mógł być ojcem dziecka Susan, wydała jej się absurdalna. Edwin był zbyt odpowiedzialnym i poważnym człowiekiem, by zainteresować się Susan. Lubili ją, ale nikt nie traktował jej serio.

Angelika zadzwoniła do Susan, by poprosić ją o spotkanie w celu omówienia paru ważnych spraw. Telefon odebrał Humphrey, ale ktoś próbował wyrwać mu słuchawkę. Słysząc było łomot, stukanie, płacz małego Rolanda, wreszcie wrzask i obcy głos: „Humphrey, z nikim nie rozmawiaj. Zabraniam ci. Najpierw idź do adwokata”. Znow ciężki oddech i słuchawka znalazła się ponownie w rękach Humphreya.

- Angelika? - usłyszała jego wściekły głos. - Ty suko! Knuliś z Susan, od początku o wszystkim wiedziałaś. Susan brała przykład z ciebie. Powiedziała mi, co cię łączy z Lambertem - zakończył i rzucił słuchawkę.

Angelika parsknęła śmiechem. Nie mogła się powstrzymać. Do pokoju wszedł Edwin.

- Z czego tak się śmiejesz? - spytał.

- Susan ma romans, a) z Clive'em Rappaportem, b) z Lambertem, c) z tobą. Ja zdradzam cię z Lambertem, a ty albo Clive jesteście ojcem dziecka Susan.

- Nie widzę w tym nic zabawnego - powiedział Edwin, ale nie wyglądał na zaskoczonego. - Dlaczego śmiejesz się z cudzych dramatów?

- Bo jeśli to prawda - odparła Angelika - jest to również i mój dramat. Teraz rozumiem, dlaczego wszystkiemu zaprzeczasz. Susan twierdzi, że to prawda.

Angelika nie mogła wprost uwierzyć, że Susan opowiada te bzdury, by ratować własną skórę. Zupełnie jakby wszyscy znów znaleźli się w szkole. Na czystym niebie nagle pojawiły się chmury, zapowiadające nadciągającą burzę. Niebo przecięła błyskawica, słychać było grzmoty, a deszcz lał się strumieniami. Angelika nie stała już jak alabastrowy posąg oświetlony blaskiem miłości i szczęścia. Ziemia zadrżała pod jej stopami. Jedyne, co przychodziło jej do głowy, to złożyć broń. Wszystko stało się zbyt nagle. Edwin włączył telewizor jak gdyby nigdy nic.

- Edwin, w domu na stacji dzieją się dziwne rzeczy. Czy ciebie to zupełnie nie obchodzi? -

Angelika zwróciła się do męża.

- Nie - odparł Edwin. - Nie mamy z tym nic wspólnego.

Znalazł film dokumentalny o Irlandii Północnej. Nieruchomo wpatrywał się w ekran.

- Nieprawda - zaprzeczyła Angelika.

- Wiedziałem, że zaraz rozdmuchasz całą sprawę. Nie ma sensu roztrząsać cudzych problemów.

- Ale Susan jest moją przyjaciółką. Ma kłopoty i...

- Nie zachowujesz się wobec niej jak przyjaciółka

- przerwał Edwin.

- Oczernia mnie i Lamberta.

- Mam wrażenie, że bardziej obchodzą ją twoje plany wobec jej własnego męża.

- To jakiś obłąd.

Gdyby mogła, potrząsnęłaby nim, ale nagle stał się jej obcy, nawet wrogi.

- Czy nie potrafisz być wobec mnie lojalny? - spytała

- Dajesz wiarę każdej plotce.

- To ty zaczęłaś - zauważył Edwin. - Ty chciałaś prowadzić dom otwarty. Susan dzwoniła do mnie wczoraj, prosząc o radę.

I opowiedział, jak Susan rozmawiała z Clive'em o jakimś jego nowym zawodowym przedsięwzięciu, a Natalie podsłuchiwała rozmowę, źle ją zinterpretowała i wpadła w histerię.

- Natalie nie ma prawa wtrącać się do spraw zawodowych Clive'a - dowodził. - Ale czy kobiety kiedykolwiek były rozsądne? Mają zadziwiająco jednostronne poczucie sprawiedliwości. Susan lękała się, że Natalie zadzwoni do Humphreya i narobi hałasu, dlatego zwróciła się o pomoc do mnie. To wszystko.

- Dlaczego akurat do ciebie?

- Wydaje mi się - odparł Edwin - że uważa mnie za swego przyjaciela, jedyną osobę, na której może polegać i mieć pewność, że nie zacznie plotkować ani jej nie wyśmiej. Czy możemy poczekać z tą rozmową do końca programu?

- Raczej nie - odrzekła twardo Angelika i wyłączyła telewizor.

- Jak Susan mogła pomyśleć, że coś mnie łączy z Humphreym? - zdziwiła się Angelika. - Humphrey mógłby być moim ojcem. Czy nie uważasz, że trzeba to wyjaśnić? Może to Humphrey ubzdurał sobie, że mi się podoba?

- To prawda, że Susan jest przewrażliwiona - stwierdził Edwin. - Boi się starości. Mówiłem jej, że wygaduje głupstwa.

- Skąd wiesz, czego ona się boi? - spytała Angelika. - Skąd wiesz o niej to, o czym ja nie mam pojęcia?

- Kiedy ty zajmujesz się swoimi turystami - odparł Edwin - biorę ją czasem na spacer.

Interesuje się rzeczami, które ciebie zupełnie nie interesują. Na przykład lubi polne kwiaty.

Po chwili milczenia Angelika wyszeptała:

- Suka!

- Czasem mam wrażenie, że próbujesz ukryć swoje lesbijskie skłonności - zauważył Edwin. -

Susan twierdzi, że w twoim stosunku do niej wyczuwa podtekst erotyczny i to ją krępuje.

Zaczął głaskać czule swoje długowłose labradory o mięsistej złotej sierści. Jednego trzymał na kolanach, drugi leżał rozciągnięty obok fotela. Angelika chodziła zamyślona po pokoju. Edwin znów włączył telewizor. Właśnie skończył się program o Irlandii Północnej.

- Co jej poradziłeś? - spytała w końcu Angelika jak dziecko, któremu wolno zadać tylko jedno pytanie, by odgadnąć zagadkę.

- Zwróciłem jej uwagę na fakt, że Natalie jest wyjątkowo mściwa i zaborcza, dlatego na pewno nie omieszka powiedzieć o wszystkim Humphreyowi. Poradziłem jej, żeby raczej sama porozmawiała z mężem. Obiecała, że to zrobi.

- Dziwna rada - skrzywiła się Angelika. - Co ty właściwie chciałeś przez to osiągnąć? Chcesz zniszczyć ich małżeństwo? Susan powinna wszystkiemu zaprzeczyć, wszystkiemu.

- Ależ kochanie, ona mnie prosiła o radę, nie ciebie. - odparł.

Nagle zza drzwi dobiegł dziwny dźwięk przypominający skrobanie, a potem lekkie stukanie.

Kiedy Edwin poszedł je otworzyć, na progu stała Susan. Miała spuchniętą twarz, gołe, sine stopy i drżała z zimna. Na dworze leżał śnieg. Posadzili ją w fotelu, Angelika poszła po

koldrę, a Edwin zaczął rozcierać stopy Susan, by przywrócić im właściwą temperaturę.

- Wyrzucił mnie z domu - łkała Susan. - Mój własny mąż wyrzucił mnie z domu. Zrobiłam tak, jak mi radziłeś. Wszystko mu wyznałam. Przyznałam, że w stosunku do Clive'a zachowałam się głupio i nierozsądnie, ale że to nie ma znaczenia. Powiedziałam, że Natalie przesadza i że nie miałam najmniejszego zamiaru jej urazić, dodałam że Humphrey jest ostatnio zbyt pochłonięty pracą, toteż nic dziwnego, że zwróciłam uwagę na innego mężczyznę. Potem tłumaczyłam mu, że Clive i ja po prostu dobrze się rozumiemy i seks nie odgrywa tu żadnej roli. Dlatego czasem spotykamy się na osobności, tak jak ty i ja. Angeliko, wiesz, że czasem chodzimy z Edwinem na spacer i oglądamy rośliny, prawda? Powiedziałam Humphreyowi, że powinien wyciągnąć z tej historii wnioski i że musi się bardziej starać, byiatrzywać nasze małżeństwo. Dalsze zaniedbywanie mnie do niczego nie doprowadzi. Ale jego stać było jedynie na odegranie przede mną wiktoriańskiej sceny. Cholera! Wyrzucił mnie z domu, nie dając nawet czasu na założenie butów. Zamknął drzwi na klucz, żebym nie mogła wrócić. Zadzwoiłam od sąsiadów do Clive'a, ale powiedział, że nie może przyjść, bo Natalie wzięła za dużo tabletek nasennych i czeka właśnie na lekarza. Nazwał ją swoją „żoną”, jakby chodziło o jakieś zaklęcie, a ona trzymała go pod pantoflem. Despotka. Zrobi wszystko, żeby go tylko pognębić - Susan chwyciła Angelikę za ramię. - To dla mnie strasznie ciężki okres! Pomożesz mi, prawda?

- Oczywiście, że pomogę - odparła Angelika.

- Bo jesteś normalna i rozumiesz te sprawy. Tak jak Lambert. Edwin przynajmniej nie urządza awantur i nie

wyrzuca cię na mróz. Humphrey chyba jest chory. Nigdy by się na coś takiego nie odważył, gdyby jutro nie przyjeżdżali jego rodzice, którzy na pewno staną po jego stronie.

Angelika uwolniła się z objęć przyjaciółki. Edwin nadal masował stopy Susan. Nie sposób zauważyć, czy rozumiał aluzję, gdy mowa była o Lambercie. A może w ogóle nie słuchał i wszystkie te histeryczne uwagi spływały po nim jak woda?

- Susan - zaczęła Angelika - to, że podrywasz mężów swoich przyjaciółek nie znaczy, że inni robią to samo, a już na pewno nie można tego o mnie powiedzieć.

Susan zaśmiała się gorzko i zauważyła, że Anglicy zawsze karmili ją banałami i nigdy nie rozumieli, co to miłość i do czego może ludzi doprowadzić. Wszystkie niuanse jej związku z Clive'em, jego kwintesencja, siła i pulsująca namiętność zostały przez Angelikę sprowadzone do banalnego określenia - „podrywać”.

- Założę się, że Humphrey nic nie wie o tej „pulsującej namiętności” - odparła Angelika - chyba że masz go już naprawdę dosyć, co jestem w stanie zrozumieć.

- A to dlaczego? - spytała Susan, a na jej twarzy pojawił się nagle grymas wulgarnej złości. - Może chciałabyś go dostać w swoje lepkie łapska?

Angelika zaśmiała się nerwowo.

Tuląc zimną stopę Susan do swego policzka, Edwin skarcił Angelikę:

- Nie znęcaj się nad biedną Susan. I tak znajduje się w oplakanyim stanie, a do tego oczekuje dziecka. Musimy się nią zaopiekować - na co Angelika odpowiedziała bezbarwnym głosem:

- Nie mów do mnie Angeliko, mów do mnie Lady Rice.

Po tych słowach młoda kobieta o wielu twarzach imieniem Angelika zniknęła bez pożegnania, jak człowiek w popłochu uciekający przed bombardowaniem lub pożarem lasu, myśląc jedynie o własnym przetrwaniu. Na placu boju pozostała Lady Rice.

Lady Rice, omdlewająca i zakochana kobieta o masochistycznych skłonnościach, ogarnięta obsesją przynoszącą jedynie cierpienie, opętana beznadziejną wiarą w sprawiedliwość, której tak mało na świecie - bo czyż nie na próżno szukamy w nim prawego i litościwego Boga? - Lady Rice została sama. Była jak osiemnastowieczna balowa maska ukrywająca niezliczoną ilość wcieleń: twarze o jasnych i ciemnych włosach, jedne młode, inne stare, wszystkie zastygłe w śmiertelnej powadze i przerażeniu. Być może jedynie maska Jelly, wystająca spod warstwy pozostałych, była na tyle widoczna, by rozjaśnić je iskrą życia i energii. Jednak do tej pory Lady Rice nie zdołała poznać innych masek i nie dostrzegła w sobie żadnej zmiany.

Zemdlała. Gdy wpadła w mroczny, odurzający wir świadomości pozbawionej nie tylko tlenu, ale i znanej sobie tożsamości, dobiegły ją słowa Edwina:

- Biedna Susan, ale nic innego nie mogliśmy zrobić.

Lady Rice usiadła na brzegu kanapy i spróbowała wstać o własnych siłach. Edwin zaś poprowadził roztrzęsioną Susan do wolnej sypialni na ostatnim piętrze, jedyne pomieszczenia, którego nie zdołał wykończyć dekorator.

Osobowość Lady Rice zdominowała Angelikę, każąc jej wycofać się z życia, przynajmniej na pewien czas,

zrezygnować pod wpływem nagłego wyczerpania. Mogło to spotkać każdego. Szok, stres, omdlenie, cios w głowę

- kto wie, kim będzie po obudzeniu?

Lady Rice poszła do łóżka, po chwili dołączył do niej Edwin. Powiedział, że ma nadzieję, iż czuje się lepiej, ale że nie powinna odwracać uwagi otoczenia od Susan. Bez sensu było udawać omdlenie. Wszyscy wiedzą, że jest silna jak koń.

Lady Rice niepewnym tonem próbowała przekonać męża, że nie łączy jej nic z Humphreym ani z Lambertem, ale Edwin kazał jej zamilknąć, bo i tak to nie ma najmniejszego znaczenia, gdyż kobiety zawsze wszystkiemu zaprzeczają.

- Sama mi to powiedziałaś dziś wieczorem. Lady Rice wolała się więcej nie odzywać.

- Co ja teraz zrobię, co ja zrobię? - szeptała do siebie Susan, niespodziewany gość w posiadłości Rice'ów. Biedna Susan, odpowiadały ściany. Wypędzona z domu, odsunięta od dziecka. Nieliczni, którzy pozostali w obozie Humphreya - jego rodzice, Rozamunda i paru równie obcych jej ludzi, choćby mężczyzna z poczty nienawidzący kobiet, ogrodnik i dróżnik, który wierzył w UFO

- namawiali go, aby poszedł do domu rywala i solidnie go sprzał. Jednak Humphrey wściekał się na wszystkie kobiety, na Susan, Natalie, Rozamundę i Lady Rice, ponieważ każda z nich w ten czy inny sposób popychała żonę do zdrady (przecież zachęcały ją i usprawiedliwiały), mimo to jednak spotkał się z człowiekiem, który przyprawił mu rogi. Rozamunda zauważyła ze smutkiem, że nawet w takich okolicznościach mężczyźni trzymają się razem.

Ofiarą pada niewierna żona, a kochanek pozostaje bez skazy.

- Trzeba pozbyć się tej kobiety - stwierdziła pani MacArthur. - Sprowadzi na nas nieszczęście - ale nowa Lady Rice była niezdecydowana i jakby nieobecna, może doznała urazu głowy podczas upadku i potrafiła wyobrazić sobie jedynie straszliwe następstwa fałszywych oskarżeń. Susan była słodziutka, wciąż zapłakana i skora do zwierzeń. Lady Rice zabrała ją do swego adwokata, ale po czterech tygodniach Susan nadal pozostawała poza domem i nie pozwalano jej zobaczyć się z Rolandem. Humphrey trzymał się mocno w swej twierdzy, a gdy próbowano do niego dzwonić, słycać było tylko jego straszny, ochrypły głos powtarzający „Suka! Kurwa!”. Zupełnie stracił głowę. Humphrey przechodził trudny okres, chociaż wszyscy uważali, że wkrótce dojdzie do siebie. Rozamunda twierdziła, że nastąpi to Szybciej, jeśli przegoni się z jego domu psychiatrów. Jej zdaniem mały Roland znajdował się w dobrym stanie. Z Humphreym mieszkali teraz jego rodzice, Molly i Jack. Zdarzało się, że któreś z nich delikatnie wyjmowało mu z rąk słuchawkę i przepaszając rozmówcę odkładało ją na widelki. Jednak wezwani na pomoc przez Edwina prawnicy Rice'ów działali szybko. Nie dali Humphreyowi chwili wytchnienia. Wyrzucono go z domu, gdzie po sześciu tygodniach zamieszkała znów Susan, której także przyznano ponownie prawo do opieki nad Rolandem. Clive i Natalie próbowali się pogodzić, ale na próżno. Natalie wciąż płakała, na co nie pomagał nawet przepisany przez Rozamundę prozac.

Napięcie, w jakim żyła Susan, spowodowało, że poroniła (wprawdzie pani MacArthur przypisywała to

nadmiernemu picciu dżinu i gorącym kąpielom). Ludzie jednak obwiniali za śmierć dziecka Humphreya, który oszalały z zazdrości prześladował Susan. Nikt nie obarczał winą Susan. Wszyscy uważali, że to Humphrey swoim zachowaniem doprowadził ją do zdrady. Okazał się nieobliczalny, a biedna Susan była zbyt przyjacielska i niewinna, miała w sobie zbyt wiele uroku. Wcale nie powodowała nią chęć rozbijania cudzych małżeństw, jak to usiłowali wszystkim wmówić Natalie, Rozamunda i Humphrey. Ci ostatni zresztą, uważali również, że Susan kieruje się w życiu raczej nienawiścią do żon niż słabością do mężczyzn. Z wyjątkiem Rozamundy, za wielką ładacznicę ludzie uważali Natalie, nie Susan, przypisując jej liczne zdrady małżeńskie, których zwieńczeniem stał się romans z kolegą z pracy. Clive'a traktowano jako ofiarę, a nie winowajcę. To zaborcza Natalie stanęła na przeszkodzie prawdziwej miłości, wzbraniając, by Susan i Clive zamieszkali razem.

Kiedy Susan opuszczała pałac Rice'ów, powiedziała do Lady Rice:

- Pamiętaj, że z mojej strony nic Edwinowi nie grozi. W końcu jesteśmy przyjaciółkami.

Jednak w jej spojrzeniu i uśmiechu krył się jakiś fałsz, co nakazało Lady Rice spytać męża:

- Czy ty i Susan...?

Edwin spojrzał na nią zaskoczony.

- Daj spokój! Susan jest dla mnie jak siostra. Za bardzo ją szanuję.

Mimo tych zapewnień, kiedy Edwin spotkał Humphreya na ulicy, ten plunął mu w twarz! W kręgach, w których obracał się Edwin, zdrady małżeńskie były wprawdzie na porządku dziennym, lecz nikt nikogo nie opluwał.

Wkrótce potem Lady Rice zaczęła obarczać siebie winą za rosnącą niechęć Edwina do świata, w który go wprowadziła, wobec ludzi, którzy nie byli godni przebywać w jego towarzystwie. Oczywiście sprawy zaszły znacznie dalej. Z chwilą gdy zdrada małżeńska wkradnie się do pozornie zgodnego towarzystwa, zaczyna się szerzyć zło. Rozpadają się rodziny, dochodzi do rękoczynów, płaczą dzieci i dorośli. Czasem wydaje się, że jedynie wojna, trzęsienie ziemi, głód lub inny kataklizm są w stanie przerwać to dzieło samozagłady. Jakby ludzie łączyli się po to tylko, by się rozstać, a rodzaj ludzki nie mógł znieść monotonii szczęścia, jakby w każdym z nas rzeczywiście tkwił diabeł. Wyglądało to tak, jakby ludzkość rozpalala wielkie ognisko, by obłaskawić bogów wojny, lecz po chwili marzyła o przerwaniu pokoju. Wojna jest zabawna, a pokój nuży. Nie ma nic gorszego od nudy.

Nowe kłopoty

Susan wróciła do domu. Śnieg stopniał, przyszła wiosna, zakwitły purpurowe, fioletowe i różowe malwy. Twarz Susan również pokryła się rumieńcem, a sąsiedzi zauważyli, że znów wygląda świeżo i zdrowo. Szybko doszła do siebie po ostatnim poronieniu, choć nadal nosiła ślady pobicia przez Humphreya.

Sama niechętnie wracała do wydarzeń z ostatnich miesięcy, jakby milczeniem chciała wymazać je z pamięci. Żyła cicho i spokojnie, choć mówiono, że zrezygnowała ze swego prawnika i lekarza. Postanowiła wnieść sprawę o rozwód, oskarżając Humphreya o chorobę psychiczną. On z kolei nie sprzeciwiał się temu dla dobra Rolanda.

- Powinnam być mu wdzięczna - powiedziała Susan - ale to dla niego typowe. Słomiany ogień, jak wszyscy ludzie spod znaku Bliźniąt. Nigdy nie wiadomo, którego bliźniaka się całuje.

Clive, chociaż był adwokatem, nie mógł przeprowadzić sprawy rozwodowej Susan, ponieważ był w niej zakochany, a Rozamunda Plaidy nie sprawdziła się jako lekarz, gdyż, jak zwierzyła się Susan jednej z koleżanek, plotkowała na temat swoich pacjentów. Do tego tak skutecznie leczyła swego męża z załamania nerwowego, że wpę-

działa go w depresję. Poza tym, czyż nie broniła Humphreya przed psychiatrą, kiedy ostatnio wpadł w szal? Czy takie zachowanie jest w porządku?

Pewnego dnia Natalie natknęła się na Clive'a, który zamiast przebywać w pracy zalewał się łzami, schowany w ogrodzie za krzewem dzikiej róży.

- Płaczesz, bo kochasz Susan? - spytała Natalie.

- Tak.

- Nie dlatego, że zranileś mnie i dzieci i że jesteś egoistą, bo wolisz być z nią, a nie ze mną?

- Tak. Chciałbym, żeby to była nieprawda, ale masz rację.

- Poczekaj! Ty mnie jeszcze nie znasz!

Natalie poszła na górę i zaczęła wyrzucać przez okno jego ubrania i papiery. Do ogrodu spadały jego szkolne fotografie, listy miłosne do Natalie, skrzętnie chowane kasety wideo z filmami porno, zapalniczki, płyty kompaktowe. Kiedy Natalie skończyła, Clive spakował do kartonowych pudeł to, co zdołał ocalić i wrzucił wszystko do samochodu. Dzieci patrzyły jak tatuś opuszcza dom. Były zbyt przerażone, żeby płakać. Natalie podeszła do samochodu, wyjęła spod maski świecę i wrzuciła je do strumyka, który malowniczo przecinał ich angielski ogród.

- Samochód jest mój - powiedziała. - Jest mi potrzebny. Muszę odwozić dzieci do szkoły.

Clive wezwał taksówkę i odjechał. Zaczęło padać. Koła taksówki wciskały w błoto słodkie wspomnienia z przeszłości. Natalie wyszła do ogrodu i zebrała resztki ich dobytku.

Clive pojechał do Susan.

- Wiem, że mnie nie kochasz, ale czy nie czujesz się tu samotna? Ty i mały potrzebujecie opieki.

Pozwól mi zamieszkać z wami.

- Nie.

- Ale ja cię kocham. Poświęciłem dla ciebie wszystko. Rodzinę, żonę, dom. Tylko dla ciebie! Tracę klientów, nie mam pracy. Odkąd odeszłaś, wszyscy mnie opuścili. Tylko ty mi zostałaś. Clive schudł i nie przypominał już swych dobrze odżywionych, zamożnych kolegów prawników. Posiwały mu wąsy.

- Ależ, Clive - oburzyła się Susan - nie bądź śmieszny! Mieliśmy krótki romans. Było wspaniale i niczego nie żałuję. Myślę, że ty też nie. Ale na tym nie można' budować przyszłości. Nie możesz wrócić do Natalie? Ona na pewno cię kocha. Tyle hałasu o nic. Pomyśl o dzieciach. Kiedy Clive nadal nie chciał odejść, rozplakała się.

- Proszę, zostaw mnie w spokoju. Przez ciebie straciłam Humphreya. Biedny Roland został bez ojca. Dlatego że mam dobre serce, spotykają mnie same przykrości. Nie wiem, dlaczego tak się tym wszystkim przejmuję!

Clive wynajął ciasną kłitkę w mieście i godzinami wystawał pod sklepem, w którym Susan robiła zakupy. Ona jednak przeniosła się do innego sklepu i za powstałe w związku z tym niedogodności również winiła Clive'a. Musiała bowiem znacznie przeplacać.

- Nie warto zadawać się z mężczyznami, którzy mają wąsy - zwierzyła się Lady Rice, gdy spotkały się któregoś dnia w sklepie warzywnym. Lady Rice z nudów jeździła czasem do miasteczka. - Natalie zachowuje się okropnie. Powinna go lepiej pilnować. To nie moja wina, że stracił dla mnie głowę. Myślałam, że jest moją przyjaciółką, ale

kiedy przyszło co do czego, stała się nieprzystępna jak wszyscy. Wy, Anglicy, wolicie mieć wrogów niż przyjaciół. Nie rozumiem, dlaczego Natalie nie ściągnie go z powrotem do domu i nie zapomni o całej sprawie. Szybko by mu przeszło. Tutejsze kobiety za bardzo przejmują się takimi głupstwami. Kiedy na przyjęciu spotykam Natalie, ona po prostu wychodzi. Głupio robi, bo jeśli nie przestanie urządzać takich scen, to ludzie przestaną ją zapraszać.

Susan miała rację. W odróżnieniu od Natalie nie narzekała na brak zaproszeń. Ludzie nie lubią przegranych.

- Druga wariatka to Rozamunda - ciągnęła Susan. - Zachowuje się wobec mnie bardzo dziwnie. Co za brak profesjonalizmu.

- Przecież nie jesteś już jej pacjentką - zauważyła Lady Rice.

Susan zachwycała się właśnie jakością i kolorem tutejszych jabłek. Zona właściciela sklepu wodziła za nią rozanielonym wzrokiem, po czym ofiarowała jej torbę. Susan podziękowała.

- Ale ty jesteś jej pacjentką - odparła Susan - co mnie zresztą dziwi. To plotkara. Opowiada, że wszyła ci estrogen, podczas gdy wszyscy wiedzą, jak bardzo Edwin chce mieć dzieci.

Pamiętasz, jak płakał, kiedy poroniłam? Byliście dla mnie tacy dobrzy. Nigdy wam tego nie zapomnę. Jesteście dla mnie jak rodzeństwo. Ale Rozamunda? Nie rozumiem, o co jej chodzi.

- Pewnie myśli, że Roland jest synem Lamberta.

Susan pobladła, jakby nagle uszło z niej życie. W ciągu paru sekund przybyło jej lat. Wyglądała jak stara kobieta. Wybiegła ze sklepu, Lady Rice za nią.

- Powiedz wszystkim, że to bzdura - odezwała się wreszcie Susan. - To oczywiste, wystarczy na niego spojrzeć, skóra żywcem zdarta z Humphreya. Odziedziczył po nim talent i charakter. Biedny Humphrey, byłby takim dobrym mężem, gdyby tylko zrozumiał, na czym polega małżeństwo. Nie jest w stanie całkowicie zaangażować się w związek. Jest uczuciowym kaleką, jak większość jego rówieśników. Ale z jego genami jest wszystko w porządku. Co też ten Lambert opowiada! Boże! Mężczyźni to szaleńcy, a do tego zmyślają jak dzieci. Rozpowiadają, że z kimś spali, podczas gdy właśnie nie spali, tylko próbowali i dostali kosza. Nic dziwnego, że Rozamunda zachowuje się tak dziwnie. To samo dostrzegam u ciebie, Angeliko. Mam nadzieję, że wszystko już sobie wyjaśniłyśmy. Życie na prowincji jest takie skomplikowane! Po tych słowach żwawym krokiem ruszyła przed siebie, z koszykiem w rękę, lśniąco blond włosami - egzotyczna, a jednocześnie swojska piękność, przekonana o swojej dobroci i nieodpartym uroku.

Lady Rice postanowiła zadzwonić do Rozamundy. Uznała, że to najwłaściwsza rzecz, jaką może zrobić.

- Ty i Lambert? - zdziwiła się Rozamunda. - Nigdy tego nie powiedziałam, Susan lubi intrygi. Ktoś nazwał ją nawet Wielką Ladaczną z Barley. Myślę, że Roland rzeczywiście jest dzieckiem Lamberta, chociaż Lambert przestał interesować się Susan, odkąd zaczęła romansować z twoim mężem. Nie jestem tego całkiem pewna, ale wiesz przecież, że Lambert potrafi wmówić sobie różne rzeczy. Jest przekonany, że Susan go zdradziła, ale teraz nie ma to już żadnego znaczenia.

Lambert wrócił do Rozamundy. Wirus o nazwie Susan - jak to ujęła Rozamunda - zaraził trzy rodziny, czwórkę dzieci, w tym dwoje jej własnych, dwoje Natalie i jedno nie narodzone. Plotki wkrótce ucichły i w miasteczku wszystko wróciło do normy. Rozamunda znów otworzyła klinikę, choć straciła prawie wszystkich pacjentów.

- Angeliko - powiedziała Rozamunda - jestem w ciąży. Może ty i Edwin też zdecydujecie się na dziecko?

- Wątpię - rzuciła oschle Lady Rice, choć Angelika chętnie powiedziałyby „Tak, to dobry pomysł”. Jednak nowa Lady Rice zaczęła się panicznie bać wszelkich zmian, bała się seksu, bólu, opuchniętego ciała i dzielenia go z drugim człowiekiem. Dziecko rośnie w brzuchu jak potwór. Lady Rice była drobna, miała wąskie biodra. Edwin był wielki. Jeśli dziecko odziedziczy po nim budowę, jak zdoła wydostać się na zewnątrz? Wszystko to ją przerażało. Dla przygnębionej Lady Rice macierzyństwo było najgorszym rozwiązaniem.

Czas mijał zatrważająco szybko. Pałac Rice'ów został umieszczony w katalogu turystycznym jako trzygwiazd-kowy hotel rodzinny.

Susan zaprosiła ich na urodziny Rolanda.

- W sobotę skończy cztery lata. Zaprosiłam też Roza-mundę i Lamberta. Nie możemy przecież gniewać się na siebie w nieskończoność. Humphrey nie chce przyjść. Ależ z niego gbur!

Wydawało mi się, że nawet jeśli nie chce zrobić tego dla mnie, mógłby przynajmniej pomyśleć o dziecku, ale odmówił.

Susan udekorowała ogród. Miała dar upiększania rzeczy. Wśród kwiatów wiły się sznury kolorowych lampionów. Na stole stały pięknie ozdobione lukrowane torciki. Był nawet szampan. Susan zapomniała kupić soki dla dzieci, więc musiały pić wodę. Lady Rice zauważyła cierpko, że nie przypomina to przyjęcia dla dzieci, ale ucztę na cześć utraconego dzieciństwa Susan.

- Wy, kobiety, jesteście wobec niej takie złośliwe - powiedział Edwin. - Zawsze musicie mieć kozła ofiarnego.

Rozamunda nie przyjęła zaproszenia, choć na przyjęciu pojawili się wszyscy wpływowi mieszkańcy Barley. Susan uznała, że Rozamunda jest źle wychowana. Lambert przyszedł więc sam. Miał na sobie koszulę rozpiętą do pępka, a zamiast paskiem spodnie opasał rzemieniem. Zapomniał o sznurowadłach do butów, ale całe to niechlujstwo podkreślało jedynie jego radosny nastrój, choć wydawało się, że powinien być przygnębiony. Jego oczy błyszczały. Robił wrażenie bardzo podnieconego.

- Dobrze się czujesz, Lambercie? - spytała Lady Rice.

- Nawet lepiej - odparł Lambert. - Dzisiaj rozstałem się z Rozamundą.

Położył jej ręce na swych ramionach i zajrzał głęboko w oczy.

- Każdy ma prawo do szczęścia - stwierdził.

Przyjaciele zgodnie uznali, że Rozamunda chciała zmusić Lamberta, by się ustatkował i zaczął zachowywać jak szacowny ojciec i głowa rodziny, podczas gdy on jest uduchowionym artystą.

- Nigdy do niej nie wrócę - oznajmił Lambert. - Ona mnie niszczy. Dzisiaj przeprowadzam się do Susan. Nie może tu mieszkać sama, czuje się samotna i zaczyna się bać.

Susan rozmawiała wesoło z gośćmi, trzymając za rękę Rolanda. Przebrała go w dziewiętnastowieczny kostium, koszulę z falbanami, wąskie spodnie i czarne lakierki. Roland był cichym, spokojnym dzieckiem. Zdaniem Angeliki Susan wcale nie przypominała wystraszonej samotnej kobiety, ale nie zaprzeczyła. Lambert i tak nie dałby się przekonać.

- A co z Rozamundą? - spytała.

- Chciałbym cię prosić, żebyś ty jej to powiedziała - odparł Lambert. - Jesteś jej przyjaciółką. Rozamunda szybko dojdzie do siebie, jestem tego pewien. I tak mnie nie lubi, a Susan za mną szaleje.

Rzeczywiście, kiedy Susan patrzyła na Lamberta, jej spojrzenie łagodniało. Podeszła do nich i stanęła obok Lamberta.

- Co za dzikus! - rzekła, głaszcząc go po mocno wysuniętym podbródku. - Prawdziwa bestia, dzikie zwierzę! Widzę, że będę musiała cię nieco okiełznać.

Lambert zaryczał jak lew. Ludzie spojrzeli na nich zaskoczeni. W obecności Rozamundy Lambert zachowywał się o wiele spokojniej. Roland przestraszył się i rozplakał. Susan mocno ścisnęła go za rękę, żeby się uspokoił. Może chwyciła go jednak za mocno, gdyż chłopiec płakał coraz głośniejsze. Lambert wziął go na ręce i podrzucił do góry.

- Nie płacz - powtarzał - tatuś jest z tobą! - ale dziecko nie przestawało szlochać.

- Przestań - syknęła Susan - wcale nie jesteś jego ojcem! Zdecydowany protest dziecka zmusił Lamberta, by postawić je na ziemi.

- Przepraszam - rzekł zmieszany.

Kiedy emocje opadły, Lady Rice zaciągnęła Lamberta w zarośla w rogu ogrodu, kiedyś biegły tam tory kolejowe. Susan była zajęta gośćmi.

- A co się stanie z dziećmi? Pomyślałeś o tym? Przecież Rozamunda jest w ciąży - zapytała Lady Rice.

- Kiedy będziesz rozmawiać z moją żoną, poradź jej, żeby zrobiła sobie skrobankę - odparł Lambert. - Chyba że jakoś da sobie radę. Wszystko zależy od niej. Ale prawda jest taka, że Rozamunda z niczym nie potrafi sobie poradzić. Żaden mężczyzna nie byłby w stanie tego długo znosić. Susan to wspaniała kobieta, potrafi stworzyć prawdziwą rodzinę. Mam zamiar odrobić stracone lata. Już zacząłem. Nie mów nikomu, ale Susan jest w ciąży.

- Cóż, sam to wszystko powiedz Rozamundzie. Ja tego nie zrobię - zdecydowała Lady Rice.

- Witajcie - odezwała się Jelly. - Pani pozwoli, że się przedstawię. Nazywam się Jelly White.

Przepraszam, że się wtrącam, ale jestem po pani stronie. Przyjmuję za to całkowitą odpowiedzialność.

- Dobrze się czujesz? - spytał Lambert. Wrócili do gości. Lambert podtrzymywał ją pod ramię.

- Miałam wrażenie, jakbym słyszała jakieś głosy - odezwała się Lady Rice. - To chyba ten upał. Po chwili podszedł do nich Edwin.

- Wyglądacie na bardzo zajętych rozmową. Gruchacie jak gołąbki - zaczął.

- Nie mów tak - zaproponowała ostro Lady Rice.
 - Masz rację - wtrąciła Jelly. - Nie daj się!
 - Jak na dżentelmena potrafisz być bardzo nieuprzejmy - zauważył Lambert.
 - Jej też mógłbyś zrobić dziecko, ale na szczęście dzięki Rozamundzie jest niepłodna - ciągnął nie zrażony Edwin.
 - Zawsze z trudem wyobrażałem sobie ciebie w roli głowy rodziny. Za dużo ćpałeś. Ale zapomniałem, że potrzebujesz dziedzica.
 - Przynajmniej miałby co po mnie dziedziczyć - odciął się Edwin, ale nim skończył Lady Rice zemdliała. Nie była przyzwyczajona do tak ostrej wymiany zdań w towarzystwie. Lambert musiał widocznie opowiedzieć wszystko Susan, która, oczywiście, powtórzyła to Edwinowi. Któż inny, jak nie ona? Tego było już za wiele.
- Kwiaty ogrodowe ostróżki, ~#iałwy, lilie zwykle wyrastają wysoko. Lady Rice upadła, łamiąc łodygi i pąki. Niskie kwiaty miały większą szansę, by przetrwać ten kataklizm. Później, poza wieloma innymi rzeczami, Susan nie mogła jej darować zniszczonego ogrodu. Lady Rice czuła się tak winna, że zgodziła się przekazać Rozamundzie wiadomość o odejściu Lamberta i powiedzieć, że Susan spodziewa się jego dziecka. Szok, jaki przeżyła Lady Rice, na pewien czas uciszył Jelly White. I tak nic tu nie mogła zdziałać.
- Cztery domy i sześcioro dzieci - skwitowała wiadomość Rozamunda. - Susan nieźle sobie poczyną. Natalie ze swoją dwójką, Humphrey i jego syn - przynajmniej oficjalnie - ja ze swoimi i do tego jeszcze jedno w drodze. Chyba nie dotrwam do końca ciąży. Obawiam się, że

Lambert szybko wróci, kiedy będzie musiał zmieniać pieluszki i znosić ciągle wrzaski dziecka. Susan nie potrafi zajmować się niemowlętami. Gdy nikt nie widzi, bije je po pupie. Boże, ilu ja mam dziś pacjentów!

Wiadomości szybko się rozeszły. Odezwały się krytyczne głosy. Mężczyzna pracujący na poczcie nie chciał sprzedać Susan znaczka i nazwał ją dziwką, która rozbija szczęśliwe małżeństwa. Edwin szepnął słówko Robertowi Jellico i urzędnik ten wkrótce stracił posadę. Powiedziano mu, że jest niegrzeczny wobec klientów i nie nadaje się do pracy w urzędzie publicznym. Do Barley przyjeżdżało wielu turystów, by podziwiać wieżę kościelną, starą studnię na rynku i wiejskie domy. Miasto potrzebowało ludzi młodych. Po tym wydarzeniu Susan była wyraźnie roztrzęsiona.

- Dlaczego mówią o mnie takie rzeczy? - pytała. - Nie zrobiłam nic złego poza tym, że dokonuję niewłaściwych wyborów, bo za bardzo kocham. Czy nie mam prawa walczyć o własne szczęście? Nie mogę odpowiadać za innych!

Rozamunda pozbyła się dziecka i wcale tego nie ukrywała. Ludzie w miasteczku ostro ją za to skrytykowali. Coraz większą sympatią zaczęto darzyć Susan i Lamberta. Biedny Lambert, mówili, jaką ma straszną żonę! Zabiła dziecko, żeby się na nim zemścić! Za to Susan jest taka urocza, pełna życia, inteligentna i po uszy w nim zakochana. Rozamunda nigdy nie kochała Lamberta. Każdy wie, że ambitne kobiety są złymi żonami.

Susan urodziła dziewczynkę, której nadano imię Serena. Miała takie same okrągłe oczy jak jej brat i Lambert. Ludzie na ulicy pozdrawiali ich z uśmiechem i życzyli

szczęścia. Kochająca się rodzina znów razem! Roland był z natury cichym dzieckiem, a w domu na stacji panował spokój, więc po raz pierwszy od dłuższego czasu Lambert mógł pisać. Mieszkanie nad kliniką było bardzo głośnie. Prawie skończył już pisać sztukę, ale po urodzeniu Sereny musiał na jakiś czas zapomnieć o pracy. Dziecko płakało, kwiliło, darło się, trzęsło z zimna, wciąż trzeba było wzywać lekarza. Pojawiała się wysoka gorączka, puchnięcie powiek, dziewczynka zaciskała czerwone piąstki.

Susan wchodziła wówczas do jego gabinetu i oddawała mu małą.

- To twoje dziecko - mówiła. - Jesteś ojcem, więc zajmij się nią, wezwij lekarza, nie zwalaj wszystkiego na mnie.

Lambert robił co mógł, ale miał kłopoty ze znalezieniem pediatry. Koledzy Rozamundy okazali się nad wyraz lojalni. Przerywał więc pisanie i jechał z dzieckiem na pogotowie, które znajdowało się trzy kilometry dalej. Jednak na miejscu wszystko wracało do normy, Serena przestawała się dusić (a dusiła się nieraz, gdyż Roland był tak zazdrosny o młodszą siostrę, że próbował się jej pozbyć). Z chwilą gdy na horyzoncie pojawiał się zielony albo biały fartuch lekarski i zaczynało się delikatne osłuchiwanie pacjenta, temperatura spadała i zniknęły trudności z oddychaniem. Miało się wrażenie, że Serena z mlekiem matki wysłała miłość do medycyny i że pomiędzy nią a ludźmi tej profesji nawiązywała się nie porozumienia, mimo iż z Rozamundą nie miała nic wspólnego. Zaczęto mówić, że duch Rozamundy naprzykrza się mieszkańcom domu na stacji, choć fizycznie przebywała ona w swojej klinice i z dumnie podniesioną głową stawiała czoło światu.

Któregoś wieczoru Lady Rice odwiedziła Natalie. Większość czasu Angelika spędzała teraz samotnie, ponieważ Edwin zajęty był prowadzeniem spraw majątkowych. Pojechał na tropikalne wyspy odwiedzić braci, ale nie chciał zabrać jej ze sobą.

- Będziemy rozmawiać tylko o interesach - zapewniał ją i Lady Rice dała się przekonać. Poza tym nie należało pozostawiać domu bez opieki, kiedy przyjeżdżało tu tylu turystów. Ktoś mógłby podać kwaśne mleko zamiast śmietanki i nie byłoby wyśmienitej herbaty, którą wszyscy tak lubili. Trzeba dopilnować, by podłogi były wypastowane i prowadzić rachunki, a poza tym turyści lubili popatrzeć z bliska na utytułowaną osobę, niekoniecznie szlachetnie urodzoną. Mignięcie powiewnego szala za rogiem, szelest spódniczki. Nie, Lady Rice nie mogła opuścić pałacu.

- Tytułu nie otrzymuje się za darmo - żartował Edwin.

Natalie zaczęła zwierzać jej się ze swoich problemów.

- Kiedyś naprawdę byłam miła. Teraz jestem okropna. Zdradzona żona staje się jędzą. Nie życzę ci, żebyś doświadczyła tego na własnej skórze. Mój prawnik zapewnił sobie dostęp do wszystkich rachunków Clive'a, żeby wynegocjować dla mnie wyższe alimenty. Clive poradzi sobie. Poza tym jego romans z Susan trwa nadal. Dzwoni do niej co tydzień o dziewiątej dwadzieścia, kiedy Lambert zawozi Rolanda do szkoły. Rozmawiają do dziesiątej, bo wtedy Lambert wraca do domu. Wydaje mi się, że Susan potrzebuje Lamberta jako niańki i imponuje jej, że wystawi swoją sztukę w Teatrze Narodowym, a do tego przysporzy im to trochę pieniędzy. Clive jest dobrym kochankiem, ale na co dzień jest beznadziejny. Susan dobrze o tym wie. Lubiłam Clive'a, nawet go kochałam.

Był moim mężem. Nie mam nic przeciwko nudnym i przyziemnym mężczyznom. Ale kiedy Susan zauważy gdzieś szczęśliwą parę, natychmiast zaczyna kręcić się tam i niszczyć. Z nami też musiało się tak stać. Myślisz, że powinnam powiedzieć Lambertowi, że Susan zaczyna się nim nudzić?

- Tak, to dobry pomysł - odezwała się Jelly White, znów na swoim miejscu. - Powiedz jej to.
- Wydaje mi się, że Clive jest dla niej lekarstwem na Lamberta - powiedziała Natalie. - Lambert ma wielkie, wiecznie spocone stopy. Jest jak dzika bestia. Co byś zrobiła, gdyby co noc przygniatał cię swoim ogromnym białym brzuchem? Należy do mężczyzn, którzy nie przepuszczą żadnej okazji. Rozamunda była tym wyczerpana. A Clive jest taki grzeczny i układny, nie śmierdzi, prawie nie oddycha i potrafi zrobić ze swoim ptaszkiem dosłownie wszystko. Kochałam go, a teraz zostałam sama.

Natalie rozplakała się. Trudno pogodzić się z myślą, że po tylu latach uprawiania miłości z człowiekiem, którego zna się na wskroś, kiedy jest się tak pewnym swej pozycji, można nagle wszystko stracić.

Lady Rice skwapliwie powtórzyła rozmowę z Natalie Edwinowi, a on natychmiast powtórzył to Lambertowi. Lambert zostawił Susan i wrócił do Rozamundy, zwalniając stanowisko kochanka w domu na stacji. Miejsce to szybko zajął Clive, czego Natalie nie przewidziała.

- Och, gdybym mogła cofnąć czas - płakała w objęciach Lady Rice - wróciłabym do dnia, kiedy znalazłam Clive'a za krzakiem dzikiej róży. Zrobiłabym mu herbatę, opanowałabym się i nie wyrzuciła go z domu. Teraz

muszę pozwalać dzieciom jeździć w sobotę do Susan. Czuję się, jakbym umierała!

- Widzisz, co zrobiłaś - Lady Rice skarciła Jelly.

- Przepraszam! Biedna Natalie - powiedziała Jelly- Dobrze, że przytrafiło się to Natalie, a nie nam. Powinnaś się z tego cieszyć. Równie dobrze mógłby to być Edwin - odezwał się nagle nowy głos.

- Bzdura - obruszyła się Lady Rice. - A właściwie kim ty jesteś? Jak śmiesz sugerować takie rzeczy!

- Mam na imię Angelique - odparło nowe wcielenie. - Jestem tą, którą mogłaś być.

- Więc znikaj! - krzyknęła nieoczekiwanie Lady Rice. - Wpędzisz mnie tylko w depresję.

- Spokojnie, już mnie nie ma. Ale potem nie mów, że cię nie ostrzegałam - mruknęła Angelique i odeszła. - Związek z Lambertem okazał się nieporozumieniem

- zwierzyła się Susan, kiedy znów spotkała Lady Rice.

- Zaczęliśmy się nawzajem niszczyć. Dwojgu artystom trudno jest mieszkać pod jednym dachem. Kiedy odrzucono mu sztukę, stał się nieznośny. Zazdrosny, władczy, nawet niebezpieczny. Jeśli Rozamunda potrafi sobie z tym poradzić, proszę bardzo. Jego gabinet zajął teraz Clive. Jest moim lokatorem. Dobrze jest mieć kogoś obok siebie, szczególnie w nocy. Czasem odnoszę wrażenie, że w tym domu straszy. Chyba mam zbyt wybujałą wyobraźnię, jak wszyscy ludzie sztuki.

- Chyba tak - potwierdziła Lady Rice.

- Czy to Natalie tu idzie? - spytała Susan, obejmując nagle Lady Rice swoim kościstym ramieniem.

- Nie, wydaje ci się.

- Wszędzie ją widzę - tłumaczyła się Susan. - Chociaż wcale tego nie chcę. Nigdy nie przyjaźniłyśmy się. Spójrz, co zrobiła z Clive'em. Ludzie wszędzie wietrzą seks. A między mną a Clive'em wcale nie jest tak, jak wszyscy myślą. Mam nadzieję, że to wreszcie zrozumieją. Powiesz im, prawda?

- Oczywiście - zapewniła Lady Rice.

I tak w kółko. Susan działała jak komin lokomotywy, wypluwając i polykając raz Natalie, to znów inną osobę z kręgu znajomych, kobietę, mężczyznę, kogokolwiek, tylko po to, by mieć partnera.

221

Przyjęcie

Lady Rice była zajęta. Lady Cowarth spadła z konia i dostała silnych bólów krzyża. Była całkiem pijana, ale wbrew zasadzie, że alkohol chroni przed groźnymi upadkami, nie uniknęła jednak dotkliwego potłuczenia. Nie mogła się nawet samodzielnie myć, choć tuż po wypadku zdołała się jakoś wgramolić z powrotem na konia i dotrzeć do końca polowania.

- Może nie potrafię się pieprzyć, ale nadal umiem polować - zwierzyła się młodej Lady Rice.

Lord Cowarth znów czuł się gorzej i dłubał w zębach, które mu jeszcze zostały, a na nieszczęście były to tylne zęby, musiał więc szeroko otwierać usta, żeby się do nich dostać.

Lady Rice jeździła do zamku Cowarth cztery lub pięć razy w tygodniu. Była pielęgniarką, robiła zakupy, odbierała telefony, znosiła obelgi i sprośne żarty Lorda Cowartha, a do tego wszystkiego przygotowywała przyjęcie na cześć braci bliźniaków, którzy, aczkolwiek niechętnie, zgodzili się odwiedzić rodzinny dom, przy okazji załatwiając parę spraw w kraju. „Gdybym miała dziecko - myślała Lady Rice - życie rodzinne skupiłoby się w naszym domu. Nie byłabym taka zmęczona”. Ale teraz

było za późno. Edwin powiedział, że nie chce mieć dzieci. Nie chciał przekazywać następnym pokoleniom choroby psychicznej.

Rozamunda Plaidy nie mogła jej pomóc. Ostatnio nikomu nie chciała dawać prozaku.

Postanowiła zrezygnować z kariery zawodowej i zająć się dziećmi.

Lambert rozpowiadał wszystkim, że Rozamunda ma masochistyczne skłonności i że robi to dlatego, aby go pognębić. Chociaż mieszkali razem, Rozamunda nie rozmawiała z nim.

Odzywała się tylko wtedy, gdy uznała to za konieczne. Zachęcała dzieci, by brały z niej przykład. Mówiła im, że Lambert jest tylko tymczasowym ojcem i mężem. Dziś jest, jutro go nie ma. Nie warto się do niego przyzwyczajać, bo i tak ucieknie. Twierdziła, że jest niedojrzała uczuciowo. Starła się znaleźć naukowe wytłumaczenie dla swoich teorii[^] Lambert mówił, że ta domowa cisza nawet mu odpowiada, ponieważ pozwala pracować. Dziwne to, ale wszyscy sprawiali wrażenie zadowolonych. Kiedy pojawił się człowiek przeprowadzający ankietę wśród rodzin lekarskich i kazał im określić poziom zadowolenia z życia rodzinnego, wszyscy odpowiedzieli, że są szczęśliwi.

- Zaprośmy Clive'a i Susan na kolację - zaproponował kiedyś Edwin. - Ostatnio rzadko się widzimy. Może zaczniemy znowu prowadzić dom otwarty? Wszystko zależy od nas.

Noblesse oblige.

Edwin przytył i stał się mrukliwy. Całe przedpołudnia spędzał w łóżku, kładł się spać później od Angeliki. Był opryskliwy i wciąż zwracał jej uwagę. Któregoś dnia nagle zrobił się czuły i objął ją ramieniem, jakby w geście

pojednania. Angelika promieniała szczęściem. Uwierzyła, że wracają dobre czasy. Niebo chmurzy się powoli, choć często tego nie zauważamy. Tak samo nieoczekiwanie może pojawić się słońce.

- Ludzie zaczną plotkować - zauważyła Angelika. Mimo to zrobili listę gości. Decydowały się losy znajomych. Teraz od nich zależało, kogo się pognębi, a kogo wyniesie na piedestał, kogo połączy w pary, a kogo rozdzieli.

Humphrey,

Rozamunda, Lambert oraz ich dzieci, Matty i Pierre,

Natalie, mała Jane i Jonathan,

Roland, który tęskni za Humphreym, Serena, w którą podobno wcieliło się nie narodzone dziecko Rozamundy,

X - tak Angelika nazwała dziecko, które poroniła Susan.

- Nie możesz za wszystko winić Susan - sprzeciwił się Edwin.

- Ale to jej wina.

- Robisz z niej bohaterkę. Femme fatale, Wielką Ladacznicę Barley.

Ponieważ Edwin nalegał, Clive i Susan zostali wkrótce zaproszeni na kolację. Jednak daremnie ludził się, że można wskrzesić dawny krąg przyjaciół.

- Kochana Angelika - powiedziała Susan - myślałam, że już nigdy mnie nie zaprosi. Ostatnio ludzie przestali się odwiedzać. A może powrócimy do starych zwyczajów? Zaprosimy Rozamundę, Natalie, Lamberta, całą paczkę. Zrobię mus czekoladowy. Można by zaprosić tego nowe-

go proboszcza Hossle'a? Urządzimy wykwintną kolację, a potem wypowiadamy się publicznie i pogodzimy przy filiżance herbaty. W Ameryce wszyscy tak robią. Ale ostatnio nasi przyjaciele stali się nie do zniesienia. I pomyśleć, że kiedyś łączyła nas taka zażyłość!

Lady Rice zaprosiła starych znajomych i kilkoro nowych znajomych. Pominęła jednak Rozamundę, Lamberta i Natalie. Na to było jeszcze za wcześnie.

Lady Rice podawała właśnie zupę z krabów, gdy ktoś zdecydowanie i ostro zadzwonił do drzwi. Po chwili pani MacArthur wpuściła do jadalni Natalie. Była w czarnej sukience, miała podkrążone oczy i zapadnięte policzki. Nie przypominała pulchnej, tryskającej życiem, pogodnej kobiety. Większość jej znajomych uważała, że Natalie nazbyt pogrąża się w nieszczęściu. Niektórzy twierdzili nawet, że maluje sobie sińce pod oczami, żeby gorzej wyglądać. „Męża nie można mieć na własność - mówiono w Barley. - W dzisiejszych czasach ludzie żyją ze sobą, bo mają na to ochotę. Kiedy ktoś ma dość, odchodzi i tyle. Żadnych zobowiązań! A dzieci i tak szybko o wszystkim zapominają”.

Jednak zwolennicy tej tezy na ogół nie mieli rodzin, wspólnego majątku, nie doświadczyli zazdrości, nie utracili ukochanej osoby, nie odchodzili od zmysłów i nie stracili wiary w sens życia.

I oto stanęła przed nimi Natalie, przytłoczona ciężarem ich oskarżeń, na środku jadalni Sir Edwina i Angeliki. Podeszła do Susan, wyrwała jej łyżkę z ręki i wylała gorącą zupę na twarz pięknej artystki. Edwin podskoczył do Natalie, próbując odciągnąć ją od stołu.

- Ty suko! - wrzeszczała Natalie.

Clive podbiegł do niej i próbował wyzwolić ją z objęć Edwina.

- Zostaw ją, ty draniu! - warknął na Edwina.

Oczy Susan zrobiły się okrągłe z wściekłości, białka świeciły wokół rozszerzonych źrenic.

Spąsowiała, a jej podbródek trząsał się ze zdenerwowania.

- Sparzyłaś mnie - syknęła przez zęby, uderzając niechcący Edwina. W tej samej chwili została spoliczkowana przez Clive'a i wstała. Edwin puścił Natalie, która usiadła na zwolnionym przez Susan krześle.

- To wspaniale, że można rozmawiać przez telefon bez końca i umacniać więzy rodzinne.

Kiedy zabierasz dzieci Lamberta na przejażdżkę - choć nie wiem, czy to są naprawdę jego dzieci - powiedziała Natalie do swego męża - Susan wisi na słuchawce. Zgadnij, z kim rozmawia? Ze swoim pierwszym mężem, Alanem Adlissem. Spotykają się w każdy wtorek po południu na parkingu przy Roystead Station. Kochają się na tylnym siedzeniu samochodu.

Alan Adliss będzie miał niedługo wystawę retrospektywną w Tate Gallery. Jesteś dobry jedynie jako przerywnik w życiu Wielkiej Ladacznicy. Po tobie będzie następny. Szkoda mi pani Adliss. Co tym razem dla niej szykujesz, Susan? A może ona jest w ciąży, choć to pewnie nie po twojej myśli.

- Nawet w piekle nie ma tyle nienawiści co w tobie - powiedziała Susan, choć jej słowom zabrakło powagi, gdyż straciła swoje krzesło i stała niepewnie na środku jadalni. - Jesteś pośmiewiskiem, Natalie. Łżesz jak z nut! Parking przy Roystead Station, dobre sobie!

Natalie rzuciła na stół fotografie. Oto samochód na parkingu. Jasna głowa Susan ukryta między kolanami słynnego artysty, na którego twarzy maluje się błogi zachwyty.

- Clive - powiedziała Natalie - proszę, odwieź mnie do domu.

Clive ujął pod rękę Natalie i wyszli bez słowa, nie patrząc na Susan, która była bliska płaczu. Nie wiadomo, czy ze złości, bólu, czy zdenerwowania. Edwin objął ją ramieniem. Próbował ją pocieszyć. Lady Rice zdołała dostrzec spojrzenie Susan, zanim jej przyjaciółka skryła głowę w ramionach Edwina. Miała triumfalne spojrzenie, uświadamiając Lady Rice, że poniosła klęskę, o jakiej jej się nawet nie śniło.

- Zawieź mnie do domu - zwróciła się Susan do Edwina, który przeprosił żonę oraz gości, po czym razem wyszli.

- Powinnaś wystąpić o rozwód - odezwała się Jelly.

- Bzdury - odparła Lady Rice. - Tak zachowałby się każdy gospodarz domu.

Podawała gościom pieczone jagnię z purée ziemniaczanym przyprawionym rozmarynem. Edwin nie wracał.

Wkrótce goście zaczęli się rozchodzić. „Kochanie, jaki uroczy wieczór! Nic tak dobrze nie robi jak mały dramat przy kolacji! Ucałowania dla Edwina, kiedy (krótka pauza oznaczająca „jeśli”) wróci” - mówili. Po tych kurtuazyjnych pożegnaniach Lady Rice po raz pierwszy w życiu zdała sobie sprawę, że sympatia znajomych spleciona jest nierozzerwalnie z zawiścią i pogardą. Była zbyt ładna, zbyt

młoda, miała za dużo szczęścia i pieniędzy (teraz mogła o nich jedynie pomarzyć). Było jej za dobrze z mężem (to też dawne dzieje, wszystko zaczęło jej się mylić, Lady Rice nie potrafi już oddzielić przeszłości o chwili obecnej. Jak to się stało, że teraźniejszość stała się przeszłością?). Kiedy straciła bezinteresowne poparcie przyjaciół, zrozumiała, że nie spoczna, dopóki nie ujrzą jej upadku.

Lady Rice zalewała się łzami, podczas gdy pani MacArthur pomagała jej się rozebrać. Po raz pierwszy Angelika cieszyła się z obecności gosposi.

- Mówiłam pani, że ona przynosi pecha - zaczęła pani MacArthur. - Wy, młode kobiety, jesteście takie naiwne. Niektóre baby rodzą się po to, żeby zabierać innym mężów. Takie trzeba kamienować.

- Ale wszyscy lubią Susan - wykrztusiła przez łzy Lady Rice. - Ludzie lubią z nią przebywać. Dlaczego Edwina jeszcze nie ma?

- Bo on też lubi z nią przebywać - odparła z kwaśną miną pani MacArthur. - Jak na mój gust ona przychodzi tu zbyt często, szczególnie kiedy pani nie ma w domu.

Edwin wrócił do domu o trzeciej nad ranem.

- Musiałem ją uspokoić - powiedział. - Jest na ciebie bardzo rozgniewana.

- Na mnie? - Angelika otworzyła szeroko oczy ze zdziwienia.

- Twierdzi, że to ty uprzedziłaś Natalie, że zapraszasz Susan i że wszystko ukartowałaś.

- Nic podobnego! Bzdura! Przecież to Susan prosiła mnie, żebym zaprosiła Natalie. Robiłam wszystko, czego sobie oboje życzyliście.

- Nie staraj się zwalić na mnie winy - rozzłościł się Edwin. - Ktoś musiał o tym donieść Natalie.

Mam wraże-

nie, że uwzięłaś się na Susan. Ubzdurzyłaś sobie, że z nią sypiam. To ją bardzo boli, a mnie obraża. Wyrządziłaś Susan i jej dzieciom wielką krzywdę. Jak masz zamiar po tym wszystkim się zachować?

Edwin rozebrał się i położył obok żony. Ciało, które powinien mieć zmarznięte po długiej podróży, było rozgrzane. Przez chwilę leżał nieruchomo, po czym wywlókł ją nagle z łóżka, przygniótł do ściany i wszedł w nią, jakby to zrobił z pierwszą lepszą dziewczyną spotkaną w barze, a ich sypialnia była ciemnym przejściem podziemnym. Lady Rice tak to zaskoczyło, że nie protestowała.

- Kiedy oddajesz się innym, nie masz oporów. Dlaczego teraz jesteś taka sztywna?

Oszołomiona nie mogła wykrztusić słowa. Czowała się zbyt upokorzona i wystraszona, by przyznać się przed sobą, że sprawiło jej to przyjemność, że prawie osiągnęła orgazm.

Wrócił do łóżka i położył się na krawędzi, z dala od niej.

- Ależ z ciebie dziwka - mruknął i po chwili zasnął. Angelika też wkrótce zasnęła, choć potem zupełnie nie

mogła zrozumieć, jak mogła być tak spokojna.

Ulegając namowom Jelly White następnego dnia Lady Rice zadzwoniła do Susan.

- Susan, co ty wyprawiasz? - spytała. - Sądziłam, że jesteśmy przyjaciółkami. Jak możesz mówić, że to ja wszystko ukartowałam? Ja wierzę tobie, więc dlaczego ty mnie nie wierzysz?

Nie oponowałam, kiedy Edwin wyszedł z tobą w połowie kolacji i wrócił do domu nad ranem. Czy uczyniłam ci coś złego poza tym, że zawsze mogłaś na mnie liczyć, że zawsze broniłam cię i wspierałam? Jak mogłaś po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiłam?

- Nie rozumiem, co znaczy „po tym wszystkim” - przerwała Susan znudzonym głosem, choć ten telefon nieco ją zaskoczył. - Nigdy nie potrzebowałam twojej pomocy. Obie zmieniłyśmy się. Każda z nas ma prawo do własnych wyborów, nie uważasz? Niektórzy przyjaciele dobrzy są tylko na jakiś czas. Potem przestają być potrzebni. Mam nadzieję, że nie czujesz się urażona. Ale to, co zrobiłaś wczoraj, nie bardzo mi pomogło.

- Mam nadzieję, że Edwin też nie jest ci już potrzebny.

- Znowu zaczynasz - powiedziała Susan. - O to właśnie mi chodzi. Stałaś się zazdrosna i podejrzliwa. Co zaś do Edwina, kobietę i mężczyznę może łączyć bliska przyjaźń bez seksu. Ale ty tego nie rozumiesz. Na szczęście w dzisiejszych czasach nie trzeba przyjaźnić się z mężem i żoną równocześnie. Edwin jest moim przyjacielem, ty nie. Mam nadzieję, że zrozumiałaś. Jeśli spotkamy się w towarzystwie, możemy oczywiście uśmiechać się do siebie i zamienić kilka słów, ale to wszystko - zakończyła Susan i odłożyła słuchawkę.

Lady Rice zastanawiała się, czy uda jej się zebrać grupę ludzi, by szturmem wziąć dom Susan i spalić ją na stosie jako czarownicę. Albo ukamienować ją, jak to niegdyś robiono z ladacznicami. Powiedziała o tym Edwinowi, który zmierzył ją lodowatym spojrzeniem i ostrzegł, żeby przestała spiskować, bo i tak narobiła już wystarczająco dużo zamieszania. Następnego dnia Edwin pojechał załatwiać sprawy z Robertem Jellico, Lady Rice siedziała w biurze zajęta rachunkami i trzęsła się nadal ze zdenerwowania, nie mogąc dojść do siebie po ostatnich zajściach. Nagle ujrzała przed sobą Antheę. Weszła bez pukania i spytała:

- Gdzie jest Edwin? Obiecał, że będzie w Wellesley Hall o dziesiątej.

Nie kryła irytacji. Pachniała wiatrem i świeżym powietrzem. Całe biuro wydało się naraz otwartą przestrzenią. Anthea miała na sobie zielone ocieplane kalosze, czarną futrzaną kurtkę, a na głowie mokrą od deszczu chustkę. Włosy opadały jej na oczy. Jak zwykle trzymała w ręku szpicrutę.

- Edwin jest niemożliwy. Miał obejrzeć z kupcem Henry'ego Cabota.

- Kto to jest Henry Cabot? - spytała zdziwiona Angelika.

- Kochanie, to koń z nowej stajni.

- Jakiej nowej stajni?

- Biedactwo - rzekła współczująco Anthea - Edwin mówił mi, że jesteś bardzo roztargniona i miał rację. Co to za papiery?

Odciągnęła Angelikę od biurka, komputera i faksu. Choć Lady Rice protestowała, zaprowadziła ją do salonu, bez oporów przesuwając barierki, które miały powstrzymać turystów przed wtargnięciem do prywatnych apartamentów. Po drodze zrzucała tabliczki z napisami i przewracała słupki. Zawołała panią MacArthur i kazała jej rozpaść ogień w kominku muzealnego salonu. Drewno ułożono na palenisku, ale dotąd nikt nie robił z niego użytku. Pani MacArthur niechętnie wypełniła polecenie.

- Jesteś Lady Rice, a nie zwykłą sekretarką - zaczęła z odcieniem irytacji Anthea. - To ciągle przesiadywanie w biurze doprowadza Edwina do szału. Powinnaś o tym wiedzieć. Co to za typy, z którymi zaczęłaś się zadawać? Dzieją się tu dziwne rzeczy. Ty i Edwin powinniście spotykać się z ludźmi z waszej sfery. Z naszej sfery. Na

początku może wydawali wam się ciekawi i oryginalni, trochę świeżej krwi nigdy nie zaszkodzi, ale ty zmieniłaś się w ospałą kure domową, a co gorsza, jeszcze nie urodziłaś dziecka. Po co to wszystko? Edwin nie może tego pojąć.

Anthea zdjęła kalosze i kurtkę. Siedziała w skórzanym fotelu z nogami wyciągniętymi w stronę kominka. Miała na sobie stary wytarty sweter. Angelika zauważyła, że Anthea jest bardzo zgrabna. Cera jej była wprawdzie zniszczona wiatrem i słońcem, wysuszona przez brak odpowiedniej pielęgnacji, ale twarz promieniała optymizmem i siłą.

- Powinnaś też wiedzieć, kochanie - ciągnęła Anthea - że niewierność Rice'owie wysysają z mlekiem matki. Kobiety wykorzystuje się, a potem wyrzuca jak pestki. Niezależnie od pochodzenia, również i te z wyższych sfer. Ty pragnęłaś, żeby było inaczej. Pochodzisz z niezamożnej, szanowanej rodziny i chciałaś wprowadzić Edwina w normalne życie. Ale to się nie powiodło i próbujesz teraz zapomnieć o wszystkim, zajmując się domem i biurem. A on wziął sobie na kochankę Wielką Ladacznicę Barley, i zaczyna rozglądać się za następną żoną. Powinnam cię chyba ostrzec. Wszystko wskazuje na to, że ma mnie na oku. Myśli, że łącząc swój majątek z moją stajnią zapewni sobie przyszłość. Mówię to, bo cię lubię. Prawdopodobnie czujesz się tu jak ryba bez wody, ale to zrozumiałe. Twój ojciec prowadził przecież chór parafialny, do tego amatorski.

- Znowu piłaś - przerwała Angelika. - Boże! Jak wy wszyscy pijecie!

Rzeczywiście, Anthea wypila dużo whisky. Nawet wygłaszając swój monolog, dolewała sobie do kieliszka.

- Wlałaś whisky do zaplamionej karafki - zauważyła Anthea i z niesmakiem spojrzała na brudne szkło. Ręce miała pokryte błotem i brunatną mazią niewiadomego pochodzenia, więc Angelika nie przejęła się specjalnie tą uwagą.

Lady Rice grzecznie zauważyła, że dopóki ona jest żoną Edwina, trudno, by została nią Anthea. Dodała jeszcze, że sama wie, jak żyć, i że rzekomy romans z artystką - jeśli dobrze rozumie, Anthea ma na myśli Susan - to plotki, a ona, Lady Rice, całkowicie ufa Edwinowi. Żałuje, ale musi teraz wracać do pracy dokończyć rachunki, w czym przeszkodziła jej Anthea. Poprosiła ją o opuszczenie domu i zaproponowała, że mogą wrócić do tej rozmowy, gdy Anthea wytrzeźwieje.

- Boże! Edwin miał rację, ty zupełnie nie potrafisz się zachować - skrzywiła się Anthea. - Mam już tego powyżej uszu!

Wychodząc dodała, że Edwin nie zamierza matkować nieślubnym dzieciom. Kiedy po awanturze rodzinnej Wielka Ladacznica zamieszkała w ich pałacu, Edwin zawiózł ją na skrobankę, twierdząc, że bękarty zawsze stają się zarzewiem groźnych walk o spadek.

Lady Rice wróciła do biura siadła przed komputerem i rozplakała się. Edwin wciąż nie wracał.

- Mam nadzieję, że była pani dla niej uprzejma - zainteresowała się pani MacArthur. - Nie powinno się zadzierać z ludźmi z jej sfery. Mają władzę.

Lady Rice wsiadła do swojego małego samochodu, w sam raz na przejażdżki za miasto - mercedes i range rover były zarezerwowane dla Edwina - i pojechała do Susan. Dom ział pustką. Drzwi, zwykle szeroko otwarte, tym razem zamknięto. Przez okno zobaczyła, że w środku jak zwykle panował porządek, było ładnie i miło, lecz wazony stały puste, bez kwiatów. Powycierane naczynia leżały na parapecie do góry dnem.

Lady Rice zatrzymała się niezdecydowana na środku zadbanego ogrodu. Zauważyła, że w jej stronę zmierza sąsiad Susan, Andrew Nellor - emerytowany, zgrzybiały pastor, utyskujący i gderający bez przerwy. Teraz płakał. Miał na sobie stare spodnie i podobnie jak Lambert rzemień zamiast paska. Jego malutka żona z niepokojem wyjrzała przez okno na poddaszu. Starsza pani wyglądała równie schludnie jak jej ogród.

- Wyjechała - zaszlochał Andrew Nellor. - Susan wyjechała. Pocałowała mnie, powiedziała, że mnie kocha i że nigdy o mnie nie zapomni. Kochałem ją, pożałowałem jej. Boże, wybacz mi! Chciałem posiąść jej ciało, bo duszy nie miała. Modliłem się, moja żona się modliła, ale wciąż jej pragnąłem. Miała w sobie tyle siły i była pełna życia. Nie wstydziła się swego ciała, była z niego dumna. Nie przejmowała się, że może ją ktoś zobaczyć, ja albo moja żona. Rozbierała się przy zapalonym świetle, opalała nago w ogrodzie. Nie widziała w tym nic zdrożnego. Chciała mi sprawić przyjemność. W głębi duszy chyba mnie kochała i pragnęła. W tajemnicy malowałem jej portret. Moja żona nie potrafiła tego zrozumieć. Najchętniej by ją ukamienowała. Dlatego Susan odeszła. Chciałem przebaczyć mojej żonie, ale nie potrafię. Nie

obchodzi mnie, co powie, powieszę sobie portret Susan w gabinecie.

- Z kim wyjechała? - spytała Lady Rice. - Na pewno nie wyjechała sama.

- Z malarzem Alanem Adlissem - odparł pastor. - Susan mnie kochała, ale nie mogłem jej nic dać. Adliss jest sławny i bogaty, lecz nikt nie potrafi jej zrozumieć lepiej ode mnie.

- A Roland? - spytała Angelika. - Co się stało z Sereną? Zabrała ich ze sobą?

- Wzięła Serenę, a Rolanda oddała ojcu, bo doszła do wniosku, że syn potrzebuje męskiej ręki. Lady Rice udała się do kliniki, w której Rozamunda bywała dwa razy w tygodniu przez cztery godziny. Gabinet jednak był nieczynny, a drzwi zamknięte. Ostatnio zdarzało się to coraz częściej. Na murku po drugiej stronie ulicy siedzieli Lambert i mały Roland, który zanosząc się od płaczu, powtarzał: „Chcę do mamusi!”. Mimo to nie budził litości. Jego płacz wskazywał raczej na rozdrażnienie, nie rozpacz. Ale cóż Lady Rice mogła wiedzieć o dzieciach? Własnych nie miała.

- Powinnaś się cieszyć, że ta dziwka wyjechała z miasta sama, a nie z Edwinem. Prędzej czy później ich romans wyszedłby na jaw - odezwała się Jelly White.

- Sama jesteś dziwką - powiedziała Lady Rice. - Wynoś się stąd!

- Rozamunda wyrzuciła mnie z domu - odezwał się Lambert. - Kiedy przyjechałem z Rolandem, zabrała dzieci, zamknęła dom i zniknęła. Roland ma mokre majtki i śmierdzi.

- Wylam drzwi - poradziła Lady Rice.

- Nie mam siły - głos mu się załamał. Nie można go było w takim stanie tu zostawić. Podobnie jak Andrew Nellor był nie umyty i nie ogolony. - Ostatnio źle się czuję. Większość czasu spędzam w łóżku. Nie winię za to Rozamundy, lecz siebie. Trudno przewidzieć skutki, kiedy po raz pierwszy rznie się żonę sąsiada. Zawiozła Serenę do Clive'a i Natalie. Mówi, że Clive jest jej ojcem.

Lady Rice nie wiedziała, co zrobić. W końcu zabrała Lamberta i Rolanda do domu. Edwin jeszcze nie wrócił. Zaczęła się niepokoić.

Lady Rice umieściła Rolanda i Lamberta w wolnej sypialni na ostatnim piętrze, po czym sama wsunęła się pod kołdrę obok nich. Pomyślała, że w ten sposób ogrzeje się trochę, a im doda otuchy. Roland zaszył się pod pościel na brzegu łóżka, żeby być jak najdalej od dwojga obcych mu dorosłych ludzi. Zarówno Lady Rice jak i Lambert mieli na sobie ubrania. Noc była chłodna, wolna zaś sypialnia nie dogrzana, ponieważ kominek od lat nie działał. Remont nie objął tej części pałacu, więc o piecu można tu było tylko pomarzyć.

- Gdzie jest Edwin? - spytał Lambert, trzęsąc się z zimna pod kołdrą. Nadal nie bardzo zdawał sobie sprawę, co tu robi, ale próbował być grzeczny. Na tle jasnej pościeli jego twarz wyglądała niezdrowo. Czerwona skóra pokryta rzadkim jasnym zarostem obsypana była krostami.

Ostatnie przeżycia sprawiły, że wyglądał jak nastolatek z trądzikiem.

- Nie mam pojęcia, ale za to wiem, że Susan jest z Alanem Adlissem. Czasem zastanawiam się, czy ona nie romansuje z Edwinem.

- Susan nigdy nie zdołała usidlić Edwina - zapewnił Lambert. - Próbowwała, ale jej się nie udało. Spała ze wszystkimi facetami w okolicy, poza Edwinem, którego najbardziej pragnęła, bo miał tytuł, dom i był odporny na jej wdzięki. Susan nigdy cię nie lubiła, ale podziwiała. Nie mogła zrozumieć, skąd masz nad nim taką władzę.

- Kocham go - powiedziała Lady Rice i w tej samej chwili usłyszała podniesiony głos Edwina na korytarzu. Była zbyt dumna, by wyskoczyć z łóżka, poza tym zrobiło się straszliwie zimno. Edwin wpadł do pokoju, krzycząc i kopiąc po drodze - w co popadnie, jakby drzwi były zabarykadowane, co oczywiście nie miało miejsca. Dobrze wiedział, że stara klamka czasem się zacina. Znalazł ich w łóżku ubranych w tyle warstw, że raczej trudno było podejrzewać Angelikę o rozwiązłość. Edwin jednak miał na ten temat inny pogląd. Lady Rice nie chciała wyciągać spod kołdry Rolanda w roli małej przyzwoitki. Po co? Uznała, że byłoby to nie na miejscu.

- Suka, dziwka, kurwa! - wrzeszczał Edwin, wyciągając ją z łóżka i bijąc na oślep po twarzy. Lamberta zostawił w spokoju, jak to zwykle czynią mężowie, gdy znajdują swoje żony w łóżku z innym mężczyzną. Biją kobietę, ale czują respekt wobec rywala.

Lady Rice natychmiast opuściła pałac i pojechała do matki. W miasteczku wszyscy uznali to za dowód jej winy i orzekli, że nie jest już w stanie pełnić obowiązków reprezentacyjnych w pałacu Rice'ów. Stracili przecież ulubioną Susan, która organizowała im życie towarzyskie, z której opinią liczyli się najbardziej. Kiedy Susan przychodziła do kogoś z niezapowiedzianą wizytą, przynosząc słoik marmolady pomarańczowej, nobilitowało to jego

gospodarzy, jeśli omijała czyjś dom, uważali to za klęskę. A niezależnie od swego wyroku po drodze zabierała cudzych mężów jako haracz.

Zaczęto mówić, że to Lady Rice wypędziła Susan przez zazdrość i nienawiść. Szala sprawiedliwości chwiała się i przechylała, raz na korzyść winnego, raz na odwrót. Dziwnym jednak trafem, jak w zepsutym kompasie, oskarżycielka wskazówka nigdy nie wskazała na Susan, ani razu jej nie postawiła w stan oskarżenia. Gdy tylko zbliżała się do Susan, od razu odbijała w drugą stronę, jakby to miejsce było namagnesowane.

- Angelika nie jest niczemu winna - tłumaczył Edwin swojej macosze Lady Venturze Cowarth.
- Pochodzi z niższych sfer i nie potrafiła udźwignąć ciężaru odpowiedzialności, połączyć roli żony, gospodyni i kochanki. I pomyśleć, że cały ten czas miałem pod nosem Antheę! Jesteśmy dla siebie stworzeni. Małżeństwo z Angeliką to wybryk młodości. Nie rozumiem, dlaczego nikt mnie nie powstrzymał.

Lady Cowarth powtórzyła wszystko Angelice.

I na tym kończy się cała historia.

Morituń te salutant

Na tym kończy się cała historia. Koniec opowieści.

Idący na śmierć pozdrawiają cię. Ja, Ajax, wykonałem swoje zadanie. Zajrzałem w przeszłość, zamiast Lady Rice, zbyt pochłoniętej śledzeniem rozpadu swej osobowości. Złożyłem zeznania pod przysięgą i teraz mogę odejść. Jestem normalnym, odpowiedzialnym mężczyzną, a moja tragedia polega na tym, że muszę żyć w ciele kobiety. Mógłbym z nią zrobić, co mi się żywnie podoba, kazać jej wdzięczyć się i stroić jak paw, a może zmusić ją, żeby nosiła krawat jak lesbijka. Kto wie, może uwiodłaby Antheę. Byłoby to jakieś rozwiązanie, ale najpierw należałoby pozbyć się tej puszczalskiej Angel. Jestem jednak dżentelmenem i muszę dać tej dziwce trochę swobody. W końcu Lady Rice ma serce anioła, a nie mściciela Ajaxa.

Różne odcienie osobowości, oddzielne stany świadomości zaczynają się łączyć w całość, miejsca, gdzie istnieją, nabierają znaczenia.

Kamienica przy Lodestar Avenue przez jakiś czas stoi pusta. Potwory, które nawiedzały Conga, wreszcie go dopadły. Którejś nocy przedarły się przez barykadę utworzoną z mioteł i schwytały go. Uduszony przez piratów, ścięty na szafocie przez rewolucjonistów, zagłodzony

przez komunardów, zdradzony przez własne serce. Zresztą jakie to ma znaczenie?

Upokorzenie może, ale nie musi towarzyszyć śmierci. Sposobu, w jaki umieramy, nie możemy zapewnić sobie dobrym lub złym życiem. Grasz z umiarem, kończysz jak niewolnik, grasz na całość i wszystko uchodzi ci na sucho. Śmierć jest niesprawiedliwa. Niewolnik ginie spalony żywcem na autostradzie i świat zapomina o nim po tygodniu. Do złoczyńcy śmierć przychodzi we śnie, gdy leży przytulony do swojej żony, a świat prześciga się w pochwałach. Jeśli niczego nie można oczekiwać od życia, skąd przekonanie, że można spodziewać się czegoś po śmierci?

233

CZEŚĆ CZWARTA
Puste domy

1

Nerwy

Kiedy Sara udała się na Lodestar Avenue z kolejną krucjatą na cześć własnego egoizmu, gotowa znów uzalać się nad własnym losem, zastała Conga i Wendy martwych. Dzwoneczek zdołał wreszcie rozpaść iskrę w ciele Wendy. Dostała wylewu. Co do Conga, kat zlitował się nad nim i zamiast użyć gilotyny, sznura lub brzytwy pozwolił mu umrzeć na atak serca. Koroner nie potrafił stwierdzić, kto zmarł najpierw, ale z pewnością śmierć Wendy przyspieszyła zgon Conga. W takich przypadkach uważa się, że starsza osoba zmarła wcześniej, co jest istotne przy podziale majątku.

Po zakończeniu śledztwa Tully od razu zadzwonił do Briana Mossa. Próbował namówić koronera do zmian w zeznaniach, ale to mu się nie udało. Wendy zapisała cały majątek mężowi, który z kolei zapisał wszystko swej siostrzenicy. Kamienica przy Lodestar Avenue miała przejść w ręce podstarzałej właścicielki klubu tenisowego, lesbijki starej daty, która hodowała wilczury, nosiła fular i piła whisky z gwinta. Tully wykrzykiwał, że prędzej ją zamorduje, niż dopuści do zajęcia domu, i groził, że oskarży Briana o niekompetencję.

- Niekompetencję? Mnie? - zdziwił się Brian.

235

- Należało zamordować starą, zanim sama zeszła z tego świata - zauważyła ironicznie Jelly, wyjmując z ust jego członek. - Pozwoliłeś, by kamienica wymknęła im się z rąk, tak jak życie Wendy. Musimy przestać robić to tak często. Za dużo czasu spędzasz ze mną, zamiast pracować.

- Masz rację, nie powinienem dalej zdradzać żony, nie mogę! - jęknął Brian. - Jeśli natychmiast z tym nie skończę, za bardzo się zaangażuję, a żaden szanujący się szef nie zakochuje się we własnej sekretarce. Gardzę takimi facetami.

Tak się tym przejął, że nie miał erekcji. Posłał Jelly do zakurzonego archiwum po teczkę Wendy. Po chwili wróciła i wręczyła mu „przypadkowo” znalezione dokumenty dotyczące kamienicy przy Lodestar Avenue. Brian przejrzał je i stwierdził, że skoro posesja wraca do rąk córki Wendy, Uny Musgrave, wszystko jest w porządku.

- Dzięki Bogu, domu nie dostanie ani siostrzenica Tully'ego, ani rodzina Conga - ucieszył się i zatarł ręce z radości. - Przeciagniemy sprawę w sądzie. O Unie nikt nie słyszał od lat.

- Czy mam dać ogłoszenie w *Timesie* i poprosić ją o kontakt?

- W ten sposób tylko narobimy sobie kłopotu - rzucił zniecierpliwionym tonem Brian. - Co ci ostatnio chodzi po głowie?

- Ty - odparła Jelly, klękając znów przed Brianem. Wszystkie trzy wcielenia dały się uwieść Mossowi, każda mając na uwadze swoje ewentualne korzyści. Było im to na rękę, chętnie dostarczały mu rozkoszy fallicznych w godzinach pracy. Obie strony czerpały z tego przyjemność bez osobistych zobowiązań.

- W ten sposób nie krzywdzimy jego biednej żony - zapewniła Angelika. - Takie rzeczy właściwie się nie liczą. Dajesz, a w zamian nic nie bierzesz.

- Lepsze to, niż żyć bez seksu - wtrąciła się Angel. - Ja też to lubię. Jak się nie lubi kawy, trzeba ją pić ze śmietanką.

- Lubię patrzeć, jak traci panowanie nad sobą - przyznała Jelly. - Wtedy jestem górą. Chyba poproszę go o podwyżkę.

- To ci tylko zaszkodzi - zauważyła Lady Rice. Miała rację.

- To obrzydliwe - oburzył się Brian, człowiek z natury skromny, który w kwestiach finansowych stawał się nadęty - ohydne! Podwyższać ci pensję akurat teraz, kiedy mamy romans? W ten sposób uczyniłbym z ciebie zwykłą dziwkę. Pomyśl, pewnie kiedyś zapragniesz wyjść za mąż. Chciałabyś mieć nieczyste sumienie? Trudno żyć, ukrywając przeszłość. Prędzej czy później i tak wszystko wychodzi na jaw. Ja też mam parę grzeszków na sumieniu.

Naprawdę, lepiej jest nie mieć żadnych tajemnic. Seks nie powinien chodzić w parze z pieniędzmi. Nikomu nie wychodzi to na dobre. Wywieszę tabliczkę z napisem PRZERWA OBIADOWA, żeby nikt nam nie przeszkadzał. Tobie to chyba też sprawia przyjemność, bo inaczej byś się nie godziła.

Na co Angel odpowiedziała w duchu:

- No pewnie.

- Niech ci będzie, chociaż jeśli o mnie chodzi, mam pewne wątpliwości - przyznała Angelika.

- Czuję się wykorzystywana i napastowana - zaprotestowała Jelly.

Ale na szczęście miały w ustach przekrwiony i pulsujący członek Briana. Wyraziwszy swój pogląd w kwestii pieniędzy, szef odzyskał znów świetny humor i wcale nie

oczekiwał odpowiedzi. Jelly nabierała coraz większej wprawy. Brian pochlebiał sobie, że to dzięki niemu usta dziewczyny stały się teraz bardziej przystosowane do seksu niż do mówienia. Utwierdzały go w tym przekonaniu wszystkie wcielenia Lady Rice. Lepiej, żeby Brian Moss nie dowiedział się, jak zaciekle walczą między sobą o głos. Dziś trudno o pracę. Jeśli sprawa rozwodowa państwa Rice'ów skończy się niepomyślnie, Lady Rice zostanie zmuszona sama zarabiać na życie. A w obecnych czasach pracę otrzymują ludzie zdrowi na umyśle i przeciętni, a nie rozzarci i z rozdziwojeniem jaźni.

- Szybciej, mocniej! - instruował Brian. - Pospiesz się! Myślisz, że mamy na to cały dzień? Niecierpliwił się, że jest taka niedoświadczona, i z satysfakcją okazywał swoją wyższość w tych sprawach.

- Nie tak! Na litość boską, klient na mnie czeka!

Tully Toffener przechadzał się nerwowo po korytarzu, denerwując się każdą straconą chwilą. Brian Moss powinien być wdzięczny losowi, że tak miło spędzał czas. A może nie lubił kawy ze śmietanką? Bał się, że sprzątaczką zacznie coś podejrzewać, gdy zauważy zmiany w harmonogramie jego pracy.

- Czemu się tak denerwujesz? - spytała Angel ustami

Jelly.

- Kocham moją żonę. Gdyby się o nas dowiedziała, załamałoby ją to. Muszę o nią dbać - odparł Brian, ale jego członek stawał się coraz bardziej czerwony, zaprzeczając tym deklaracjom. - Zauroczyłaś mnie.

- Dokąd idziesz? - spytał jak zwykle, gdy po chwili poprawiał spodnie, a Jelly szykowała się do wyjścia po wypełnieniu obowiązku.

- Do toalety - odpowiadała - przepłukać usta.

- Nie mamy czasu - zatrzymał się Brian. - Siadaj i pisz. Jelly usiadła potulnie i wzięła do ręki notes.

„Stosunki między zatrudniającym mężczyzną a zatrudnioną kobietą mają zwykle podłoże erotyczne - zanotował w swoim dzienniku Ajax. - On ma władzę, ona jej podlega, on zaczyna umizgi, ona je przyjmuje, on jest władczy, ona uległa. Kiedy skrywany erotyzm stanie się jawny, z czasem w naturalny sposób związek zaczyna opierać się na masochistycznych skłonnościach kobiety. Rozkosz przynosi jej jedynie władczość mężczyzny. Dlatego nie sprzeciwia się, kiedy on zabrania jej pójść do toalety przepłukać usta i pozbyć się smaku jego nasienia. Na wszystko się zgadza. Czyż nie skradła mu na chwilę władzy? Musi ją teraz zwrócić”.

W tym czasie Lady Rice Znajdowała się w hotelu Claremont. Na zmianę spała i płakała, pogrążona w smutku - tak przynajmniej jej się wydawało, chociaż każdy dociekliwy fotograf mógł ją zastać w firmie Catterwall & Moss, zrobić jej zdjęcia i użyć ich jako dowodu jej zepsucia podczas rozprawy sądowej.

Lady Rice była jednak na tyle zainteresowana wydarzeniami w pracy, że przysłuchiwała się rozmowie Angel, Angeliki i Jelly. Nie miała z tym nic wspólnego, więc nie denerwowała się, że nie dopuszczają jej do głosu. Jak długo przyprowadzały jej ciało z powrotem, całe i zdrowe, nic jej nie obchodziło. Pewnie czuły się tym zawiedzione, ale trudno. - Martwię się o ciebie - zwróciła się Angel do Lady Rice. - Ciagle jesteś nieobecna. Nawet seks nie jest w stanie sprowadzić cię na ziemię.

- Dla mnie seks to miłość - westchnęła ze łzami w oczach Lady Rice. - Cała reszta jest obrzydliwa. Zrozum wreszcie, że z natury jestem spokojna, chciałabym być dobra. Nie mamy ze sobą nic wspólnego. Jesteś podrzutkiem i marzę, żebyś zniknęła.

- Powinnaś wykazać odrobinę dobrej woli i zająć się własnym życiem - weszła im w słowo Angelika, opowiadając się po stronie Lady Rice. - Angel za dużo sobie pozwala. Przez nią Jelly i ja musimy klękać przed Brianem Mossem, kiedy mu tylko przyjdzie na to ochota. A do tego on jest żonaty. Ma rację, obawiając się, że ktoś nas przyłapie. Nie chcę, żeby Oriola przeze mnie cierpiała. Musimy pozbyć się Angel.

- Ciebie, Angeliko, poznaję - odparła Lady Rice. - Taka byłam przed ślubem - energiczna, klótliwa, inteligentna, miła, pewna siebie. Nie mam ci nic do zarzucenia poza tym, że jesteś beznadziejnie powierzchowna. Ale Angel nie jest częścią mnie. To niemożliwe. Jedyne co mogę zrobić, to być blisko was i odwracać głowę, aż Angel się znudzi i wróci na swoje miejsce. Bez was czułam się samotna, ale przynajmniej wiedziałam, kim jestem, nawet jeśli bujałam w obłokach.

- Chwileczkę - przerwała Jelly. - To dzięki Angel mamy romans z Brianem Mossem. Gdybym się na to nie zgodziła, dawno już by mnie wyrzucił. Za twoją namową zerwałam z Ramem. Nawiasem mówiąc, naprawdę ma na imię Ramzes, bo rodzice poczęli go podczas wycieczki po Nilu. Teraz facet ma złamane serce, ale przynajmniej wozi mnie do

pracy za darmo. Wiem, droga Lady Rice, że mnie nie lubisz, ponieważ myślisz, że jestem wulgarna, pospolita i łasa na pieniądze, a do tego pochodzę z niższych sfer. Ale mnie potrzebujesz, bo zarabiam i wypełniam czeki. A żadna z was nie ma ochoty zawracać sobie głowy pracą. Dlatego sędzę, że jednak powinnaś nam towarzyszyć, kiedy obsługujemy Briana, a nie trzymać się z dala, obarczając wszystkim nas. Nie życzę sobie, żebyś narzekała na Angel. Ma charakter, umiejętności i doświadczenie niezbędne do robienia minety.

- Umiejętności! - wykrzyknęła oburzona Lady Rice, ale Jelly wytłumaczyła jej, że gdy robi się to nieumiejętnie, zaczynają boleć wargi, drętwieje szyja i można podrażnić sobie język. Ponadto trzeba zakrywać zęby wargami, ale niezupełnie, gdyż inaczej zabraknie dreszczyku emocji.

- Powinnaś się nad tym zastanowić - dodała Jelly, na co Lady Rice odparła, że wolałaby nie zastanawiać się nad takimi sprawami.

- Tere-fere - przerwała Angel. - Jelly, ty chyba zwariowałaś. Tu nie liczą się umiejętności, lecz instynkt. Poza tym nie mówi się mineta, lecz seks oralny. Minetą nazywa się to w żargonie prostytutek, i robią to wyłącznie dziwki najgorszego sortu za ciężką forszę. Zaczyna mnie nudzić siedzenie w hotelu. Brian Moss się nie liczy, po prostu chcę się rozerwać. Zobaczycie, dokąd was zabiorę następnym razem.

- Dokąd? - spytały nerwowo Lady Rice, Jelly i Angelika, Angel tylko się roześmiała, naciągnęła pończochy z czarnej siatki i przymocowała podwiązki do koronkowego pasa.

- Lubię mieć ściśniętą talię - oświadczyła - i czuć na nogach opinające pończochy. Nie rozumiem, jak możecie nosić rajstopy, mimo iż są takie praktyczne.

Angelika i Jelly nie odpowiedziały, pozwalając ich najodważniejszemu i najbardziej upartemu wcieleniu przejąć inicjatywę. Wkrótce, zamiast pójść spać, wszystkie, nie wyłączając Lady Rice, zeszły na dół do baru. Angel zamówiła potrójny dzin i puściła oko w stronę włoskiej pary, która najwyraźniej przebywała na wakacjach i nerwowo szukała trzeciej osoby do łóżka. Angel zawsze wiedziała, do kogo puścić oko i czyj uśmiech odwzajemnić.

Następnego dnia Lady Rice była na siebie wściekła i czuła się tak nieszczęśliwa, że zagroziła, iż otruje się środkami nasennymi i wreszcie położy wszystkimu kres. Angel obiecała poprawę. Jelly musiała wziąć wolny dzień, żeby ochłonać po nocnych ekscesach, co również uciszyło Angel. Angelika zaczęła narzekać, że świat zakazanego seksu ma w sobie zbyt wiele niedomówień i jest niebezpieczny. „Wspólna noc z kochającą się parą” - brzmiało niewinnie, pachniało białym prześcieradłem i kojarzyło się z rozleniwiającym ciepłem. W rzeczywistości jednak powiało chłodem zdzieranych ubrań, chłostaniem i kajdankami. Najwidoczniej żona postanowiła odegrać się na mężu za jego erotyczne fantazjowanie w ciągu ostatnich dziesięciu lat, a mąż potwierdził swoje prawa właściciela, biorąc obie kobiety, jak i kiedy chciał.

Powiew wiatru

Una Mus grave odpowiedziała na zamieszczone w gazecie ogłoszenie. Pojawiła się w biurze niczym odpowiedź na modlitwę, gwałtowny podmuch wiatru. Jelly była właśnie zajęta szukaniem następczyni na stanowisko Lois, która złożyła wymówienie.

- Jest we mnie zakochana - zwierzył się Brian. - Chyba jest o ciebie zazdrosna. Pamiętasz, jak otworzyła drzwi, kiedy ja sądziłem, że są zamknięte?

- Myślę, że jest po prostu przepracowana i za mało zarabia - zauważyła szorstko Jelly. - Nie ma to ze mną nic wspólnego.

Brianowi spodobała się jej oschłość. Im bardziej wybrzydzała, tym większą przyjemność sprawiało mu uspo-kojanie jej i tym słodsze były późniejsze doznania.

Jelly stała teraz przed nim blada i smutna, z potrójnym łańcuchem pereł od Fenwicksa i w jasnoróżowym kaszmirowym sweterku, który kupiła na przecenie, bo miał wyciągniętą nitkę (Lady Rice przerwała nawet swój bojkot, żeby ją wciągnąć). Włożyła też czerwoną plisowaną spódnicę, nieco zniszczone, ale wypolerowane buty (całodobowy serwis hotelu Claremont) i grube rajstopy. Jej gładko zaczesane do tyłu włosy podkreślały wyjątkowo

piękną cerę (Brian Moss tkwił w przekonaniu, że to jego zasługa) i lśniące delikatnie zarysowane usta.

- Wtedy nagle otworzyły się drzwi - opowiadała z przejęciem Jelly po przyjściu z pracy. - Zrobił się przeciąg i papiery z biurka zaczęły fruwać po całym pokoju, a moje włosy wirowały w powietrzu. Powstał bałagan nie do opisania. Od razu wiedziałam, że to musi być Una. Ma dobrze po sześćdziesiątce, ale należy do kobiet bez wieku; duże oczy, koścista twarz i żadnych zmarszczek.

- Pewnie zrobiła sobie lifting - wtrąciła Angel, której pozwalano jedynie wyszumieć się przy obsłudze Briana Mossa, żeby uniknąć innych przykrości. Ostatnio jednak po „włoskiej nocy” Angel była przybita i roztrzęsiona.

- Nie bądź taka złośliwa - ofuknęła ją Jelly.

- No proszę! Gdybyście się zaraz na mnie nie rzuciły z pazurami, powiedziałabym, że zakochałaś się w tej Unie - zauważyła Angel.

Lady Rice, która właśnie przeglądała się w lustrze, zrobiła się pałowa.

- Jak śmiesz mówić o Jelly takie rzeczy! - zdenerwowała się Angelika. - Nigdy nie miałyśmy lesbij-skich skłonności. Jesteśmy na wskroś heteroseksualne. Natychmiast ją przeproś! - ale po chwili namysłu dodała: - Chociaż dopiero teraz widzę, że chyba czułam do Susan coś więcej niż powinnam. Dlatego chyba miałam skrupuły wobec Lamberta i Edwina.

Lady Rice po raz pierwszy przyznała się do czegoś otwarcie.

- Tere-ferre! - prychnęła Angel. - Jak się ma niezdrowe ciagoty, nie liczą się żadne powinności.

Osobiście uważam, że płeć nie ma tu żadnego znaczenia. Niektórzy ludzie mnie podniecają, inni nie, zależnie od sytuacji, to wszystko.

- Jesteś wulgarna - skrzywiła się Angelika. - Wynoś się!

Wszystkie zgodziły się, że mają jej dość, więc Angel wyszła.

Kiedy młodsza siostra oddaliła się, Lady Rice ciągnęła:

- Ja nawet lubiłam Antheę. Podobał mi się jej wyzywający sposób bycia. Podziwiałam ją.

Chciałam, żeby traktowała mnie jak równą sobie, ale w najlepszym razie mogłam liczyć tylko na współczucie z jej strony. I to o nią byłam zazdrosna, a nie o Edwina. Jeśli mam być szczerą, przestałam go kochać wiele lat temu. Gdyby naprawdę tego chciał, dawno mielibyśmy dziecko. Prawda jest taka, że kiedy go poznałam, uważałam, że jest dla mnie dobrą partią. Piosenkarki często wchodzą do wyższych sfer poprzez małżeństwo, chociaż potem zawsze okazuje się, że jest to arystokracja pośledniejszego gatunku. Ale wtedy jest już za późno.

- Uważaj - przestrzegła ją Jelly - bo minie ci złość i wtedy stracisz alimenty. Ciagle sobie powtarzaj: „Z każdym dniem Edwin pognębia mnie coraz bardziej”.

- Nic z tego - powiedziała Angelika. - Wyszło szydło z worka. Nie spodobało się naszej kurze domowej, że mężulek wybrał Antheę. Poczula się upokorzona. Ubrudziła sobie piórka.

Pamiętacie? „Więcej w tobie nienawiści niż w piekle”.

- Przestańcie szeptać za moimi plecami! - zdenerwowała się Lady Rice i wybuchnęła płaczem.
- Kura domowa! Jak możesz!

Jelly nie pozostało nic innego jak wrócić do sprawy nagłego, tajemniczego pojawienia się Uny.

- To kobieta, której można powierzyć swoje życie - przekonywała Jelly. - Emanuje z niej pewność siebie. Miała na sobie skórzane buty za kolana, krótką plisowaną spódniczkę i czarne pończochy. Wysoka talia w stylu lat pięćdziesiątych. Perłowe kolczyki, naszyjnik i do tego turban. Perły były prawdziwe różnej wielkości. Przez chwilę miałam wrażenie, że to mężczyzna w przebraniu, ale to chyba niemożliwe. Jest przecież matką Sary. W każdym razie wyglądała bardzo elegancko.

- Zaczynasz mówić i myśleć jak sekretarka - zauważyła kwaśno Angelika.

- Co za niewdzięczność! - oburzyła się Jelly. - Uważasz się za lepszą? Jesteś tylko podstarzałą gwiazdką. Nie możesz przeboleć, że byłaś sławna przez pięć minut! Ja przynajmniej wiem, co znaczy uczciwie przepracowany dzień.

- Po co te frazesy? - spytała Angelika. - Możesz doprowadzić człowieka do szału.

- Przestańcie - błagała Lady Rice, okładając się pięściami po głowie. - Zaczyna mnie boleć głowa. Jestem taka zdenerwowana. Chyba zaraz oszaleję. Wstydzę się wrócić do pracy. Nie mogę spojrzeć Brianowi w oczy. Jeśli tego nie przerwiecie, podetnę sobie żyły. Zamówię stek, przyniosą mi na tacy ostry nóż, lepszy od tego nożyka do owoców, który

nie nadaje się do niczego. Zawołajcie Angel. Ona przynajmniej potrafi pożartować od czasu do czasu. Przez nią możemy wprawdzie nabawić się choroby wenerycznej, ale bez niej popełnię samobójstwo, a wy się nawzajem pozabijacie. Zaczynam się rozpadać! Czuję, że pękam w szwach. Nad niczym już nie panuję. Sądziłam, że wszystkie kłopoty pochodzą z zewnątrz, ale widzę, że to jest we mnie. Pomóżcie mi!

- Sprowadź Angel - rzuciła zdecydowanym tonem Angelika.

- Sprowadź Angel - zawołała Jelly, wpadając w panikę. - Szybko!

Angel wstrzymała ruch ręki, która próbowała przeciąć żyły tępym nożykiem wyjętym z kosza z owocami.

- Milczenie oznacza zgodę na zło - stwierdziła Angel.

Angelika zaśmiała się, Jelly zachichotała, Lady Rice wróciła do rzeczywistości. Istne~czary.

Angel podciągnęła spódnicę, żeby rzucić okiem na swoje nogi. Były szorstkie od nieogolonych włosków.

- Wy naprawdę mnie potrzebujecie. Jestem tu najważniejsza. Dlaczego mnie odtrącaacie?

Kazała im udać się do całodobowego gabinetu kosmetycznego na Bond Street. Nogi zostały pozbawione włosków w tradycyjny sposób, za pomocą podgrzanego wosku pszczelego, który rozprowadza się szpatułką, czeka aż wystygnie i zrywa razem z włoskami. Dzięki temu skóra staje się gładza i dłużej pozostaje bez zarostu, niż po mniej bolesnym i szybszym zabiegu przy użyciu środków depilacyjnych dostępnych w drogeriach.

Powrót matki

Sara i Tully siedzieli naprzeciw siebie przy mahoniowym stole. Nowa służąca wniosła półmisek ze sznyclami cielecymi, puree ziemniaczanym oraz marchewką z groszkiem. Nazywała się Nawal i była ładną, pulchną Persjanką. W agencji dano Sarze jeszcze jedną szansę. Powiadomiono ją, że Ayla odeszła do lepszych i bardziej zrównoważonych pracodawców, co stanowiło kolejny argument, jeżeli takowe w ogóle na coś się zdawały, przemawiającym na korzyść służącej. Zatluszczone palce Nawal zostawiły ślady na półmisku z warzywami. Sara powstrzymała się od komentarza. Tully powąchał otwarte wino, zanim nalał go do kieliszków.

- Sądysz, że dołala wody? - spytała Sara z nutką nadziei w głosie.

- Niemożliwe, butelka jest pełna - odparł Tully.

- Mogła trochę upić i uzupełnić wodą - nie dawała za wygraną Sara. - Jeśli wszyscy w rządzie są tacy naiwni, nic dziwnego, że ten naród zmienia się w bandę złodziei. Czy przed wypiciem wina zawsze trzeba je wcześniej otwierać? To takie nierozsądne.

- To wino jest bardzo drogie - rzekł Tully. - Musi nabrać bukietu.

Obojgu humor nie dopisywał. Trudno uwierzyć, ale po śmierci Wendy Tully wydawał się przygnębiony. Stracił wroga, co jest poważnym ciosem.

- Urodziłam się przy Lodestar Avenue, a teraz zamieszka tam ktoś obcy - żaliła się Sara.

Pochyliła się nad sznycem cielęcym, wbijając nóż i widelec w twarde jak podeszwa mięso. Jej łzy kapwały na grubą warstwę bułki tartej i masła. Tully zauważył, że płacze.

- Przynajmniej nie musisz solić - zauważył czule.

- Wendy była moją ostatnią krewną - chlipała Sara. - Teraz nie mam nikogo. Nie miałam nawet matki.

- Masz mnie - obruszył się Tully.

- Wiem, kochanie. Odnalazłam cię.

Wstał, wziął talerz ze sztućcami i usiadł obok żony. Dotknęli się kolanami.

- To błąd, że czekaliśmy, aż umrą. Należało się tam przenieść i zaopiekować nimi - powiedziała Sara. - Ja bym się wszystkim zajęła. Dom był duży, choć większość pokoi od dawna już stała zamknięta, dlatego wcześniej nie przyszło mi to na myśl. Bałam się, że jeśli otworzę któryś pokój, wylecą stamtąd nietoperze i zaplącą mi się we włosy.

- Zupełnie jak w Izbie Gmin - zauważył ponuro Tully. Tyle tajemniczych korytarzy, którymi od wieków chodzą ci sami ludzie. Pałka, zapalka, dwa kije, kto umarł, a kto żyje - trudno powiedzieć. Mężczyźni w obcisłych kamizelkach - Tully poklepał się czule po pełnym brzuchu.

Rzadko zdarzało im się prowadzić takie rozmowy.

- Nie trzeba było grymasić - ciągnęła Sara. - Chcieliśmy zrównać dom z ziemią, zacząć od nowa i zbić

majątek. A teraz wszystko diabli wzięli. To niesprawiedliwe, ale może zasłużyliśmy na to. Sara przegrała walkę ze sznyclem cielecym. Oddała mężowi lepszy, miękki kawałek. Tully docenił jej gest i teraz wprawnie kroił mięso na jej talerzu jak dziecku. Sara z wdzięcznością zaczęła jeść.

Nagle chłodny podmuch wdarł się do pokoju, poruszając ciężkimi, zakurzonymi zasłonami. Spojrzeli na siebie zdziwieni.

- Ktoś otworzył drzwi wejściowe - rzekła Sara.

- Nie słyszałem dzwonka - odparł Tully.

- Może to ta nowa dziewczyna wpuszcza złodziei - zauważyła Sara. Oboje zamarli, a po chwili zaczęli przysuwać się do siebie coraz bliżej, ogarnięci dziwnym nieznanym uczuciem. W takiej pozie zastała ich Una.

- No, no, Saro, nigdy bym się tego po tobie nie spodziewała, zważywszy, jaka byłaś kiedyś.

- Mamo! - zawołała Sara.

Zapach skóry

Jelly poszła do pracy nie tylko z gładkimi nogami, ale i ogolonym wzgórkim łonowym. Mimo iż zachęcała Briana, by włożył jej rękę pod spódnicę, nie wyrażał na to zbytnej ochoty.

- Nie chcę, żeby nasz romans nabrał zbyt osobistego charakteru - tłumaczył. - Wiesz, jak bardzo kocham Oriolę. Nie kocha się ze mną dlatego, że jest za bardzo zmęczona, biedactwo. Każdy miałby ręce pełne roboty z dwojgiem małych dzieci. Wychowujemy je w sposób nowoczesny, starając się rozwijać ich osobowość, dlatego tak źle sypiają. Ja czuwam przy nich w nocy. Elsie ma koszmary, a Annie kolki. Kiedy wreszcie wracam do łóżka, nie jestem może ognistym kochankiem, ale potrafię być czuły. Niestety, Oriola odsuwa się ode mnie, nawet we śnie. Jakby się mną brzydziła. Mówi, że cuchną mi nogi i że nie lubi mojej skóry, bo jest lepka. Ale kocham ją. Chyba Oriola ma rację. Jestem nieudacznikiem.

- Sprawdź, jaką gładką mam skórę - zachęcała sekretarka. - Spodoba ci się. Gładka, choć lekko szorstka tuż pod powierzchnią. W tym miejscu jest wyjątkowo blada, bo słońce rzadko dociera między nogi.

Brian nie dał się jednak skusić ani słowami, ani opisem, ani gdy ujęła jego rękę, dotknęła nią gładkiej skóry i próbowała pokierować nią w głąb ciepłego i wilgotnego ciała.

- Co się z tobą dzieje? - wykrzyknął Brian Moss. - Nigdy przedtem tak się nie zachowywałaś. Boże, czyżby to z mojej winy?

Otworzył szufladę, w której znalazł paczkę papierosów. Zapalił.

- Widzisz, przez ciebie znowu zacząłem palić! - poskarżył się. - Kiedy Oriola była w ciąży, rzuciłem palenie. Wdychanie dymu może zaszkodzić nawet nie narodzonym dzieciom.

- Tobie też może zaszkodzić - zauważyła Angel - ale twojej żony pewnie to w ogóle nie interesuje.

- Nie masz dobrej opinii o żonach - zirytował się Brian. Miał wrażenie, że jego sekretarka zachowuje się dziś wyjątkowo wyzywająco. Powinien się jej pozbyć, dal się wplątać w romans z nie zrównoważoną młodą kobietą. No cóż, będzie za nią tęsknił, ale musi się z tym jakoś pogodzić.

- Oczywiście, że nie mam - odparła Angel. Siedziała na krawędzi biurka i zdejmowała sznurowane nad kostką buciki, które Jelly kupiła w sklepie Marks & Spencer. Rzuciła je na ziemię. Najpierw prawy but, potem lewy. Nie spuszczała wzroku z Briana. - Tym bardziej że twoja żona należy do najgorszych. Z tego, co mówisz, wydaje mi się, że jest typem kotki.

- Co to znaczy? - spytał, choć zdawał sobie sprawę, do czego może doprowadzić ta rozmowa.

- Zona kotka szuka mężczyzny, który utrzymywałby dom, i ojca dla swoich dzieci, a kiedy już to wszystko zdobędzie, zaczyna prychać i wyrzuca go. A jeśli w dodatku może popsuć mu humor, nie przepuści takiej okazji.

Angel rozpięła sweterek, zdjęła stanik i wysliznęła się ze spódniczki.

- Nie rób tego - błagał Brian. - Ktoś może wejść.

Z nagim, podskakującym biustem podbiegła do drzwi, zamknęła je i wyrzuciła klucz przez okno. Brian usłyszał tylko przytłumiony dźwięk metalu uderzającego o chodnik dwa piętra niżej. - Dobrze znam takie żony - ciągnęła Angel, wyciągając mu pasek i rozpinając spodnie. - I chwała im za to! Gdzie dwóch się bije, tam trzeci korzysta.

- Błagam, nie rób tego - powtórzył Brian. - Źle się czujesz, jesteś przepracowana. Ubierz się i każ Lois przynieść klucze i wypuścić nas.

- Nic z tego, dopóki się nie zabawimy - odparła Angel.

- Ja też mam tu coś do powiedzenia. To moja przerwa obiadowa. Rób, co ci każę, bo inaczej opowiem o nas Orioli. - Wszystkiemu zaprzeczę. Nie boję się szantażu.

- Powiem jej, że masz pieprzyk na ptaszku - zachichotała Angel. - Czasem jest duży, a czasem prawie go nie widać, to kwestia pozycji.

- Wytłumaczę jej, że zobaczyłaś go przez przypadek

- powiedział Brian, ale ponieważ był już nagi od pasa w dół, jego argumenty straciły siłę przekonywania. Stał przy ścianie, obie ręce miał przywiązane do uchwytów szafki wiszącej nad głową. Jego członek powoli się podnosił.

- Coś ty ze mną zrobiła? - jęknął. - Uwolnij mnie! Zauważył, że wyraz twarzy jego sekretarki nagle się zmienił. Zniknęło mgliste spojrzenie, znów była sobą.

- Boże! - krzyknęła Jelly, cofając się przerażona.

- Przepraszam, panie Moss. Nie wiem, co się ze mną dzieje.

Ktoś nerwowo poruszał klamką.

- Panie Moss, nie mogę otworzyć drzwi - usłyszeli głos Lois, która nachyliła się do dziurki od klucza.

- Chyba się zatrzasnęły. Przyszła Lady Musgrave. Co mam jej powiedzieć?

Po policzkach Jelly zaczęły spływać łzy. Jej głos zabrzmiał nienaturalnie i bezbarwnie.

- Proszę mi wybaczyć - odezwała się zamiast Jelly Lady Rice. - Obawiam się, że miałam ciężki dzień. Tak naprawdę nie jestem sekretarką, choć posiadam odpowiednie kwalifikacje, których nabyłam jako żona Sir Edwina. Czuję się, jak lunatyczka. Nie mogę w to uwierzyć!

Jej twarz nagle stężała, przybierając wyraz determinacji. Głos stał się chłodny i ostry.

- Co do mnie uważam, że zasłużył pan na to - oświadczyła Angelika i zawołała Lois. - Wejdz, proszę. Dodatkowy klucz leży w prawej szufladzie mojego biurka.

- Pożaluje pani tego, panno White - wykrztusił Brian, próbując uwolnić się z więzów. - Zwalniam panią!

- Na szczęście - odezwały się wszystkie wcielenia naraz głosem, w którym ostatnio coraz częściej pobrzmiwała zmysłowa nuta. Brian Moss uznał to również za swoją zasługę.

Interesy

Una wkroczyła do pokoju, mijając w drzwiach Jelly. Obejrzała się za nią, nie kryjąc podziwu, a potem uwolniła Briana Mossa.

- Nie wiem jak pani dziękować - powiedział Brian, masując zdrętwiałe nadgarstki, po czym szybko się ubrał. - Moja sekretarka jest ostatnio bardzo przepracowana. Załamanie nerwowe. Może wolałaby pani odłożyć nasze spotkanie?

- Ależ skąd! - zaprzeczyła Una, nadal trzymając w ręku krawat Briana. Wyprostowała go i zawiązała Mossowi na szyi, zaciskając węzeł może nieco zbyt mocno. Krawat był żółty w różowo-czerwony deseń. Jednak nie wywoływał wrażenia, jakiego oczekiwał po nim Brian. Marzył, by widziano w nim człowieka o artystycznej fantazji, wbitego z konieczności w szary garnitur.

- Może jednak byłoby lepiej, gdybyśmy przelożyli to spotkanie? - upierał się Brian. - To był bardzo niemiły incydent.

Jednak Una pozostała niewzruszona. Zwierzyła mu się, że długo rozmyślała o całej sprawie. Przejmie kamienicę przy Lodestar Avenue na osiemnaście miesięcy. Zrobi z niej użytek, jaki będzie chciała, po czym zanim wygaśnie umowa o dzierżawę, odda ją córce Sarze. Sara i Tully będą

mieli jeszcze dostatecznie dużo czasu, by zbić na kamienicy majątek, na co tak niecierpliwie czekali.

- To miło z pani strony - powiedział Brian Moss. Lois przyniosła mu filiżankę herbaty.

- Biedna mała - westchnęła Una. - Gryzła się przez całe lata, myśląc, że opuściłam dom z jej winy. Miała rację. Nie mogłam jej znieść. Nikt nie mógł. W ogóle nie powinna się była urodzić. Jest dzieckiem mojego ojczyma, drugiego męża Wendy. Dziewczyną zupełnie pozbawioną uroku osobistego. Nasze stosunki rodzinne są tak skomplikowane, że trudno się w nich połapać. Kiedy urodziła się Sara, miałam szesnaście lat. Szybko oddałam ją do przedszkola, ale przedszkole miało tyle przerw, że w końcu zostawiłam ją matce.

Brian Moss widział przez uchylone drzwi jak Jelly wyjmuje rzeczy z biurka. Trzaskała i rzucała wszystkim, co miała pod ręką. Starał się skoncentrować na tym, co mówiła Una.

- Może być pani ze mną najzupełniej szczerą - zapewniał z fałszywym uśmiechem. - Najlepiej wypłakać się na ramieniu prawnika. Rozumiem, że stała się pani ofiarą ojczyma. To straszne, ale niestety coraz bardziej nagminne.

- To ja byłam okropnym dzieckiem - oburzyła się Una. - On nie miał przy mnie żadnych szans. O ile pamiętam, głównie wyżywałam się na matce. Nie chciałam, żeby Sara robiła to samo ze mną. Pewien klient wyjaśnił mi, że dobrze zrobiłam, uciekając przed dzieckiem. Gdybym została, stałoby się takie samo jak ja.

Brian widział jak Lois pochyła się nad Jelly i pomaga jej opróżnić niższe szuflady. Może uda mu się namówić

sekretarkę, by została. Dopiero widząc je razem zauważył, jaka Lois wydaje się pospolita przy Jelly, choć wiedział przy tym, że takie dziewczyny są bardziej zrównoważone i spokojniejsze.

- Ludzi nie obchodzą nasze osobiste cierpienia i rozterki - powiedziała Una. - Ale pan mnie nie słucha. Fakt że w moim życiu znów pojawiła się kamienica przy Lodestar Avenue świadczy jedynie o tym, że nic nie jest dziełem przypadku. Czytał pan kiedyś Junga?

- Nie - odparł Brian.

- Jeśli nie przestanie pan myśleć o swoim kutasie, nie zapłacę za tę wizytę - zagroziła Una. Brian oprzytomniał.

- Taki przestronny dom to wspaniała rzecz - ciągnęła Una. - W naszych snach każdy pokój symbolizuje pewien aspekt osobowości. Wiedział pan o tym?

- Ostatnio rzadko mi się coś śni - odparł Brian. - Jestem zbyt zmęczony. Mam dwófe małych dzieci.

Wychodząc zamaszystym krokiem z biura Briana Mossa Una zatrzymała się przy biurku Jelly White.

- Jeśli szukasz pracy, zadzwoń. Jesteś w moim typie.

- To znaczy? - spytała Jelly.

- Skromna, a zarazem występna - odrzekła Una. - Potrafisz działać z zaskoczenia. Jak prawdziwa kobieta. Mam rację? Wyglądasz mi na osobę, która chciałaby zapomnieć o przeszłości, kiedy wychodzi z domu. Pewnie nawet nie pamiętasz, co robiłaś wczoraj w nocy.

- Czasem jest to niewygodne i komplikuje sprawy - przyznała Jelly.

- Przed świtem zawsze najciemniej. Rozmazała ci się szminka - dodała Una. Wyjęła z kieszeni chusteczkę higieniczną i wytarła Jelly kącik ust. - Masz ładne usteczka.

Angel wraca do domu

- Chcę zobaczyć Rice Court - powiedziała Angel do Lady Rice, dawnej właścicielki wspaniałej, opisywanej w przewodnikach rezydencji. - Może poprosimy Ramzesa, żeby zawiózł nas tam w sobotę. Wreszcie będę mogła stanąć twarzą w twarz z Edwinem. Dlaczego nie?

- Powiem ci dlaczego - odparła Lady Rice. - Dlatego że złamałabyś mi serce, czułabym się upokorzona i zawstydzona. Zachowuję się jak większość odrzuconych kobiet, które wolą potulnie odejść jak zbity pies i marzą, by zapaść się pod ziemię, zamiast walczyć o swoje prawa. Po czym Lady Rice dostała kolejnego napadu histerycznego płaczu, zmuszając Jelly, by zrobiła kompres na oczy i zamówiła w recepcji filiżankę herbaty.

- Poza tym na Ramzesie nie można polegać - dorzuciła po chwili Lady Rice. - Raz się pojawia, raz znika. Mam wrażenie, że nas zdradza.

- A może nas po prostu przejrzał? - odezwała się Jelly.

- Albo niepokoi go nasza złożona natura - wtrąciła Angelika.

- Może po prostu się zmęczył - zauważyła Angel.

Angelika i Jelly poparły Angel. Uważały, że należy jej się nagroda za dobre zachowanie w ciągu ostatnich tygodni, co w końcu przekonało Lady Rice. I tak w następną sobotę Angel stała na rogu ulicy, czekając na Rama. Miała na sobie sukienkę w stylu „łachmaniarskim” uszytą z kawałków ciemnego materiału i skrawków koronki, męskie skarpetki i buty wojskowe kupione na straganie z używaną odzieżą. Spod zniszczonej skórzanej kurtki wystawała kamizelka ciasno opinająca jej wydatny biust.

Eleganckie volvo pojawiło się na Davies Street. Ram ujrzał ją stojącą na rogu ulicy, opartą o słup i wypuszczającą w powietrze kłęby dymu jak Marlena Dietrich. Samochód zwolnił i przejechał przez podwójną ciągłą linię na drugą stronę.

- To moda czy przebranie? - spytał Ram.

- Ani jedno, ani drugie - odparła Angel. - Znów jestem sobą.

Otworzył jej drzwi. Nie miał na sobie służbowego ubrania. Przechodnie oglądali się z ciekawości.

- Lubię kobiety o wielu twarzach - stwierdził, gdy samochód mknął szosą na północ. - Nikt inny by mnie do tej wyprawy nie zmusił. W sobotę gram w piłkę.

- Każda kobieta ma wiele twarzy - zauważyła Angel. - To mężczyźni mają tylko jedną.

- W tobie wszystkie mi się podobają - odrzekł z uśmiechem Ram, ale Angel nie zachęcała go do poufności. Pociągał ją fizycznie, to wszystko. Ram zadowolił się więc stwierdzeniem, że na jej miejscu nie jechałby na spotkanie z byłym mężem w takim stroju, na co Angel odparła, że na szczęście nie jest na jej miejscu i zapadło milczenie. Kiedy na stacji benzynowej Angel zaprosiła go na tylne siedzenie, grzecznie odmówił. Widać było, że

Angel przeżywa podróż. Czasem zerkał w lusterko wsteczne i widział jak gestykuje, robi miny, mruży coś pod nosem, a nawet uderza się po rękach. Odzywała się do niego różnymi głosami, wydając sprzeczne rozkazy. Zorientował się, że przemawiają przez nią cztery kobiety. Jednak entuzjazm i otwartość Angel najbardziej go pociągały, szczególnie w warunkach, kiedy mieli mało czasu i niewielkie szanse na intymność. Nie lubił, kiedy jego kochanki pozostawały nienasycone, co często zdarzało się Angelice. Jelly wzbudzała w nim jednocześnie żądzę i poczucie winy, co spędzało mu sen z powiek. Lady Rice domagała się czułych słów, więc spełniał jej oczekiwania, ale robił to nieszczerze, gdyż ona również nie była z nim szczerą. Trudno oczekiwać, że ktoś da z siebie wszystko w zamian za część drugiej osoby. Mógł swej klientce ofiarować ciało, jeśli tego właśnie pragnęła, choć teraz, zważywszy stan, w jakim się znajdowała, nawet i z tym się ościagał.

Zbliżając się do posiadłości Rice'ów, Lady Rice miała nadzieję zastać pałac w opłakanym stanie. Jednak dobrze utrzymane trawniki lśniły w blasku letniego słońca, a konie spokojnie pasły się na polu, jakby natura zmówiła się przeciwko niej, wskazując: „Patrz jak dobrze sobie bez ciebie radzimy!”. Świeżo pomalowane znaki wskazywały drogę do stajni, obór i hodowli psów, pałacu, ogrodów z czasów restauracji i labiryntu, sklepu z pamiątkami, do parku klasycznego, galerii i do toalet. Zauważyła nawet pewien postęp.

Przed domem przechadzały się całe rodziny, które przyjechały tu na zwiedzanie. Grzeczne dzieci kończyły swoje lody przed wejściem do środka i wrzucały papierki do jednego z licznych koszy na śmieci. Dało się zauważyć,

że dom odwiedzili wreszcie szklarze. Stare popękane szyby z cienkiego delikatnego szkła, chronionego przez Angelikę ze względu na wartość historyczną - niektóre miały ponad dwieście lat - zostały zamienione na nowe, solidnie wyglądające gładkie szkło. Poza tą jedną bolesną zmianą Lady Rice nie dostrzegła większych zmian. Poczula się zawiedziona.

Przedstawiła się nowej kasjerce, widocznie wymieniono część personelu. Zauważyła, że ceny biletów podwójnie wzrosły. Powiedziała, że jest przyjaciółką rodziny i że chce zobaczyć się z Sir Edwinem. Bileterka popatrzyła na nią z niedowierzaniem, ale podniosła słuchawkę i połączyła się z prywatnymi apartamentami. Usłyszawszy głos w słuchawce powiedziała: - Lady Anthea? Sir Edwin ma gościa.

Angel zatrzęsła się z oburzenia. Każda niewtajemniczona osoba gotowa była pomyśleć, że Anthea jest żoną Edwina i stąd ma tytuł. Pozbawiono ją ostatniej rzeczy, która różniła ją od innych porzuconych kobiet.

Lady Rice czekała. Turyści przyglądali się jej z zaciekawieniem. Zauważyła, że cena herbaty ze śmietanką również wzrosła. Parkiet z dębowej klepki, który własnoręcznie pastowała, został pokryty warstwą błyszczącego lakieru. Wywieszono nawet informację: „Podłogi w pałacu Rice polakierowała firma Polyserve”, dzięki czemu na pewno obniżono koszty robocizny. Trzeba przyznać, że Anthea oszczędzała, gdzie mogła, ale nie szczydziła środków tam, gdzie to było konieczne.

Lady Rice poczuła nagle, że opuszcza swoje ciało i unosi się w górę, skąd obserwuje siebie stojącą u wejścia do

pałacu. Teraz była przerażoną Angeliką. Patrząc na nią z bezpiecznej odległości, zastanawiała się nad przyczyną tak głębokiego wzruszenia Angeliki. Dlaczego stoi tutaj w śmiesznym przebraniu nastolatki, na progu pałacu, który nigdy nie był jej domem, gdzie zadała sobie tyle trudu, by nie zejść w ciążę z mężczyzną, który stał się jej zupełnie obcy? Czego szukała? Szacunku, którego nigdy nie miała? Liczyła, że coś się zmieni? A przyjaciele? Wszyscy ją zdradzili. Chcieli znaleźć w niej kozła ofiarnego. Lady Rice pomyślała, że Angelika musi czuć się jak pokonany żołnierz, który walczył o słuszną sprawę. Cierpiał nie z powodu bólu, przegranej i osobistego upokorzenia, ale dlatego, że jako jeden z kilku szlachetnych ludzi został pokonany przez horde barbarzyńców, siejących zniszczenie i śmierć.

Do Lady Rice wkrótce dołączyły Jelly i Angel. Z tego miejsca obserwowały spotkanie Angeliki z Antheą, która właśnie zamykała za sobą zielone drzwi, oddzielające prywatne apartamenty od muzeum.

Anthea była w ciąży. Angelika nie potrafiła ocenić, który to miesiąc, ale miała pewność, że tak jest, choć przyszła matka nie dawała tego po sobie poznać. Brakowało jej dostojeństwa, z jakim poruszają się ciężarne żony. Była zwinna i tryskała energią.

- W czym mogę pani pomóc? - spytała.

- Słyszycie? Nawet mnie nie poznała - mruknęła pod nosem Lady Rice. - Zostałam odprawiona, nie istnieję. Należę do przeszłości, bezpłodna żona, która już się nie liczy.

- Cała praca, którą włożyłam w ten dom, poszła na marne - westchnęła Jelly. - Czuję się jak czło-

wiek, który nagle tonie i świat przestaje o nim myśleć.

- Ona jest w ciąży? - odezwała się Angel. - To straszne, jak ona mogła!

- Tylko bez hysterii - skarciła ją Lady Rice. - Nie przed Antheą.

Twarz Angeliki zmieniała się, gdy kolejne wcielenia powracały na swoje miejsce. Kobieta przy okienku spoglądała na nią współczująco, z rosnącym zaniepokojeniem. Anthea nie okazała cienia zniecierpliwienia. Angelika zobaczyła swoje odbicie w lustrze. Wariatka w dziwnym przebraniu, z rozczochranymi włosami, strojąca miny i mamrocząca pod nosem, niezdolna odpowiedzieć na najprostsze pytanie.

Anthea z ulgą powitała Edwina, który wszedł przez obite zielone drzwi. Wyglądał rześko, jakby przed chwilą wstał z łóżka, choć dawno minęło południe. Biała rozpięta koszula ukazywała czarne włosy na piersiach. Schudł. Na oczach Angeliki zaczął zapinać koszulę. Anthea odciągnęła na bok kochanka i ojca swego dziecka, by zdecydować, co zrobić z dziwnym gościem.

- Wydaje się taki bliski, a jednocześnie obcy

- zwróciła się Angelika do pozostałych wcieleń.

- Wiem o nim wszystko i nic. Ta mała cząstka, jaką może dać kobiecie, teraz należy do innej.

Całą resztę zachowa tylko dla siebie. Zmienił się. Jestem przekonana, że już nie chrapie, kiedy leży na wznak, je margarynę zamiast masła, czyta inne gazety, najpierw doniesienia sportowe, a dopiero potem dodatek kulturalny. To tak, jakbyśmy kiedyś stanowili jedno drzewo, z którego zaczęły wyrastać nowe

pędy i wkrótce tak się rozrosły, że w nich skupiła się cała siła. Stare drzewo jest słabe, nowe kwitnie. Teraz rozumiem, dlaczego ogrodnicy obcinają młode pędy wyrastające z korzeni urodzajnych drzew.

- Angeliko, uspokój się - powiedziała Lady Rice. - Teraz nie możesz już uciec.

- Jest przystojniejszy niż mi się wydawało - odezwała się Jelly. - I pomyśleć, że go straciłam. Nikt mi go nie ukradł. Po prostu go straciłam. Nie winię za to Anthei. Straciłam go na własne życzenie.

- Jesteście bandą masochistek - zezłościła się Angel. - Czy musimy mamrotać i robić z siebie widowisko? Czy nie lepiej zabić Antheę? Rzućmy się na nią i rozszarpmy na strzępy, wyciśniemy z niej dziecko i wyrwijmy serce z jej obrzydliwego ciała!

- Boże! Angeliko, czy to ty? - zdumiał się Edwin. Anthea z niedowierzaniem przyjrzała się żonie Edwina.

- Nie obawiaj się, kochanie - uspokoił Antheę Edwin.

- Kiedy poznałem Angelikę, często tak się ubierała. Wystarczyło, że ktoś kichnął albo żeby powąchała trochę kleju, a już zachowywała się jak nawiedzona. Dziesięć lat temu było to całkiem normalne. Ona często miewała takie napady. Potem udawała kurę domową, a najchętniej pokrzywdzoną żonę. Trzeba było długich starań, by dotrzeć do prawdziwej Angeliki, a w końcu okazało się to niewarte zachodu. Ale na szczęście pojawiłaś się ty.

- Mówcie do mnie, a nie o mnie! - przerwała mu Angelika. - Ja naprawdę istnieję!

- Nie mówię do ciebie, bo przestałaś się dla mnie liczyć

- odparował Edwin. Zarówno jego głos, jak i wygląd wydawały jej się bliskie i znajome, choć zabarwione uczuciem do innej kobiety.

- Widzisz, on mnie nienawidzi - powiedziała Jelly.
- Ludzie szybko się zmieniają - zauważyła ze smutkiem Angelika. - Zobacz, w jaki sposób trzyma głowę, jaki stał się nieuprzejmy. W małżeństwie wszystko się zlewa i miesza. Dzielić łóżko to dzielić dusze.
- Tylko wtedy, kiedy się często pieprzysz - wtrąciła Angel. - Czy możemy wrócić do sprawy?
- Zachowujesz się jak wariatka - zgromił ją Edwin. - Mam tego dosyć!
- Nie jestem wariatką - Angelika zwróciła się do swego byłego męża. - Po prostu jestem przez ciebie nieszczęśliwa. Zniszczyłeś mnie - ale nie była już całkiem pewna, czy mówi do swych siostr, czy na głos.
- Proszę cię, bądź dla niej miły - odezwała się Anthea do męża Lady Rice. - Widzisz, że jest zdenerwowana. Poza tym nie jest groźna.
- Dla mnie tak - powiedział Edwin. - Ona chce moich pieniędzy. Wiesz, jak ją poznałem? Nieszczęśliwy przypadek. Kolega zabrał mnie po występie za kulisy. Nazywała się wtedy Angelika Barley. Od nazwy wioski, naszej wioski, mojej wioski. Choć nikt nas nie pytał o zgodę. Na krótko stała się sławna. Gwiazdka sezonu z przebojem „Szalona dziewczina”. Do tego się to sprowadzało. Do dziewictwa. To był jej atut na rynku. Wybacz wulgarność, ale wszyscy, którzy przychodzili na jej koncerty, mogli na odległość, byle nie bezpośrednio, osiąść ją, wykorzystać, zrobić z nią wszystko. Ja też dołączyłem do wielbicieli Szalonej Dziewicy. Byłem wtedy niewinny i żądny wrażeń. Prawdopodobnie mnie pierwszemu udało się ją zdobyć, jak to mówią, po bożemu. Niestety, żeby to zrobić, musiałem się z nią ożenić.

- Nie wierzę własnym uszom - powiedziała Jelly.

- Może tak naprawdę tego nie słyszymy - zauważyła Angel. - Może to nam się tylko zdaje. Prawdę mówiąc, dobrze pamiętam te czasy i niczego się nie wstydzę. Nie żałuję nawet sekundy. Mam to, czego chciałam, więc nie przeszkadza mi, że pozostawałam w cieniu. Żadna z was nie wiedziała, że istnieję, póki chronił mnie płaszcz cnoty. Ale już wtedy byłam z wami.

- Kłamiesz! - oburzyła się Lady Rice. - Zmyślasz. Wychodząc za mąż, miałam dziewicze nie tylko ciało, ale i umysł. Byłam niewinna i czysta. Wszyscy o tym wiedzieli. Wynika to nawet z wywiadów, jakich wtedy udzieliłam. Dziewica! W tych czasach to dopiero sensacja.

- Szalona dziewczina - zanuciła Angel. - Czy nazwa zespołu wzięła się od ciebie czy od tytułu przeboju? Szalona dziewczina. Jestem Fiołkiem. Zerwij mnie!

- Zamknij się - krzyknęła Angelika. - Zamknij się, ty suko!

- Opanuj się! - syknęła ostro Jelly.

- Zerwij mnie - nuciła dalej Angel. - Nietknięty kwiat. Bierz mnie, pieść mnie. Jestem Fiołkiem. Usycham. Zjedz mnie, tul mnie. Okręć mnie, zakryj. Szalona dziewczina, jak fiołek, nietknięty kwiat.

- Nic takiego sobie nie przypominam - stwierdziła Lady Rice. - Słowa były zupełnie inne. Nie chcę tego słuchać!

Angelika wydała stłumiony okrzyk, jakby chciała zagłuszyć muzykę, zniszczyć wstydlive i bolesne wspomnienia, które inni traktują jako wciąż obowiązujące fakty.

- Wariatka! - mruknęła Angel. - Pamiętam każdy szczegół, każde słowo. Wtedy spotkałam Edwina.

Siedziałam na aksamitnej kanapie, którą wszędzie ze sobą woziliśmy. Dziwne, że nasz zespół trzymał się tak długo.

- Zabiłaś naszego ojca - wtrąciła Lady Rice, korzystając ze sposobności. - Nie mógł tego wytrzymać! Jego ukochana Angel.

- Czy mam wezwać lekarza? - dopytywała się bileter-ka. - Ona zachowuje się coraz dziwniej. Rzeczywiście, Lady Rice wydawała z siebie niezrozumiałe dźwięki, brzmiące jak modlitwa, jak pieśń, którą trzeba powtarzać niczym błaganie o boskie wsparcie. Dobry Boże! Kimkolwiek i Czymkolwiek jesteś, pomóż mi, pomóż! Usta poruszały się jak we śnie, gdy zdławione łkanie wyrывa nas z koszmaru, a wydaje się, że jest to rozdzierający krzyk. Tyle uczucia, tyle wysiłku, by wydać z siebie jedynie dźwięk podobny do kwilenia niemowlęcia.

- Nie trzeba. Porozmawiam[^] nią - uspokoił ją Edwin. - Nic jej nie będzie. Często miewała takie napady.

- Musiał to być dla ciebie koszmar, kochanie - zauważyła Anthea. - Straszne!

Edwin zaprowadził Angelikę na trawiaste zbocze, skąd za dawnych dobrych czasów obserwowali walący się komin. Wydarzenie to zmieniło ich życie. Na gruzach starego powstało wówczas nowe. Edwin wyjął czystą, wyprasowaną, bawełnianą chusteczkę i wytarł żonie oczy. Nie ulegało wątpliwości, że będzie dobrym ojcem, i zrozumiała, że popełniła błąd, latami odmawiając mu dziedzica.

- Angeliko - poprosił Edwin - przestań się tak zachowywać. Nie powinnaś była tu przyjeżdżać. To cię tylko wyprowadziło z równowagi.

Lady Rice zauważyła Antheę stojącą na schodach przed wejściem. Udawała, że wyszła zawołać do domu psy.

- Nic na to nie poradzę - odparła Lady Rice. - Kocham cię i jestem twoją żoną.

- Posłuchaj, zażądałaś rozvodu i nie bez racji. Anthea jest w ciąży. My nie mamy już ze sobą nic wspólnego. Przepraszam, jeśli przed chwilą cię uraziłem, ale musimy spojrzeć prawdzie w oczy. Stanowiliśmy wyjątkowo niedobraną parę. Oboje byliśmy zbyt młodzi. Próbowaliśmy i nie udało się. Rozstańmy się w zgodzie. Dzieci tylko skomplikowałyby sprawę. Przecież możemy pozostać przyjaciółmi, prawda?

Lady Rice milczała. Edwin zapiął jej sukienkę i kurtkę, próbując poprawić jej wygląd. Czula się, jakby dotykała jej pielęgniarka, a nie dawny kochanek.

- Przyjaciółmi! Bardzo chciałabym, żebyśmy pozostali przyjaciółmi - zwróciła się Lady Rice do swych sióstr. - Czy to nie byłoby miłe?

- Chwileczkę - powiedziała Angelika.

- On chce nas nabrać - odezwała się Jelly.

- Nie ufaj mu, nie zakochuj się! - strofowała Angel. - On chce się wykręcić od zobowiązań.

Dziś przyjaźń, jutro nici z alimentów.

- Może zamiast tyle mówić o przyjaźni, pomówmy o pieniądzach? - powiedziała do męża Lady Rice.

- Kiedy związałam się z tobą, byłam bogata, a teraz nie mam nic.

- Stałaś się materialistką - zauważył z żalem Edwin.

- Kiedyś nie dbałaś o pieniądze.

- Wtedy je miałam - odparła.

- Nie mogę ci nic dać - powiedział Edwin. - Wiesz, ile kosztuje mnie utrzymanie domu. Dlaczego odwlekasz nasz rozwód?

- Ja?

- On ma rację - powiedziała Jelly. - Jesteś rozdarta między rzeczywistością a swoją wizją sprawiedliwości. Nie chcesz wypuścić z rąk atutów, dopóki nie dobijesz targu, i masz rację. Mam w tym swoje zasługi.

- Nie zapominaj, że Edwin chce się ożenić z An-theą, bo ona jest w ciąży, więc możesz go szantażować - dodała Angelika.

- Dlaczego wy ciągle coś knujecie za moimi plecami? - krzyknęła Lady Rice.

- Dlatego, że ciągle siedzisz w domu i płaczesz - odparła Angelika.

- To wcale nie dzieje się za twoimi plecami - zauważyła Angel.

- Ty źmijo! Nic dziwnego, że nie masz przyjaciół. Edwin ma rację. Jesteś zachłanną dziwką. Wyszłaś za mąż tylko dla pieniędzy. Masz to, na co zasłużyłaś. Cieszę się, że jesteś nieszczęśliwa.

- Rozpadam się! - krzyknęła Lady Rice. - Nie jestem w stanie utrzymać wszystkiego razem. Szwy zaczynają puszczać. Przepraszam wszystkich, przepraszam!

- Problem w tym, że twoja prawa ręka nigdy nie wiedziała, co robi lewa - stwierdził Edwin.

- Czy mógłbyś nie mówić o mnie w czasie przeszłym? - poprosiła błagalnym tonem Lady Rice.

- Inaczej zaraz rozplnę się.

- To wykaż przynajmniej trochę szacunku dla Anthei

i jej dziecka. Nie traktuj mnie jak karty przetargowej - odparł jej mąż i ojciec cudzego dziecka.

- Zastanowię się nad tym - odparła Lady Rice. - Mam wrażenie, jakbym spisywała swoje życie na gorąco, a ktoś wycinał najlepsze kawałki i zostawiał tylko chłam.

Samochód Rama objechał powoli trawnik, co rozproszyło uwagę Lady Rice. Obiecywał przecież, że da jej przynajmniej pół godziny, a dopiero potem przyjedzie.

- To upokarzające, że zmuszone jesteśmy traktować szofera jak członka rodziny tylko dlatego, że się z nami pieprzył - rzuciła z oburzeniem Angelika.

- Na miłość boską! Skoncentruj się na tym, co mówi Edwin - wtrąciła Jelly. - Nie możesz się teraz rozpraszać i przestań kłąć, bo wrócimy do czasów, kiedy jeszcze nie byłyśmy żoną Edwina.

- Nigdy nie zachowywałaś się jak dama - zauważyła Angel. - Zawsze byłaś tylko szaloną dziewczyną.

- Dziwi mnie, że możesz pozwolić sobie na szofera, skoro jesteś bez grosza, jak twierdzi twój adwokat. Pewnie przez lata odkładałaś sobie na boku pieniądze w jakimś szwajcarskim banku. Tak przynajmniej twierdzi Robert Jellico. W końcu mogłabyś też zacząć zarabiać jako szalona rozwódka.

- Tyle że z inną średnicą obrączki - zauważyła oschle Angelika.

- Znów jesteś sobą - uśmiechnął się z zadowoleniem Edwin. - Zastanawiałem się, gdzie się podziałaś. Chodziłaś, mówiłaś, kochałaś się z innymi, ale przestałaś być sobą. Grałaś kolejną rolę: Lady Rice. Głowa do góry. Zgódź się na rozwód. Majątek potrzebuje dziedzica. A ty masz przed sobą całe życie. Poznasz kogoś tak jak ja.

Urodzisz dzieci, zamieszkasz gdzieś na przedmieściach. I będziesz błogosławić dzień, gdy zastałem cię w łóżku z Lambertem.

- Angeliko, twoje życie z Edwinem było straszne

- odezwała się Jelly. - Posłuchaj go! Co z tego, że jest ironiczny? Zawsze taki był.

- Raz do góry, raz do dołu, pozycja misjonarska

- zauważyła Angel. - Lepiej bawiłam się jako dziewczica. Żal mi Anthei z dzieckiem i całym tym majdanem na głowie. Widzę, że niewiele straciłam.

- Poza małżeństwem, miłością i sprawiedliwością

- odparła Angelika. - Pamiętaj! Nie podchodź do tego tak lekko, bo cała nasza przeszłość straci sens.

- A jeśli on i tak niczego nie zrozumie? Po co się kłócić? Do szczęścia trzeba dwojga ludzi.

- Punkt dla diabła, dwa dla Boga - odezwał się nagle Ajax, wyłaniając z otchłani. Wysoki Sądzie, nie przyznajemy się do zbrodni przeciw próżności. To Edwin jest winien, a nie Lady Rice. Sąd sumienia rozważy werdykt.

- Angel, czy to ty mówiłaś przed chwilą? - spytała Angelika.

- Nie.

- Słyszałam głos mężczyzny - zastanawiała się Jelly.

- To tylko mój przyjaciel - odezwała się Angel.

- Masz z nim romans! - oburzyła się Angelika.

- Kiedy my śpimy! Jak śmiesz! Kim on jest?

- To mój brat, nasz brat - odparła potulnie Angel, przestraszona ich atakiem. - Słowo daję.

- Angel, to obrzydliwe, że jest wśród nas mężczyzna - skrzywiła się Angelika. - Jak długo to trwa? To straszne, okropne. Nie zniosę tego!
- To zapomnij o tym - poradziła Angel, na co Angelika ochoczo przystała. - Zapomnij, że w ogóle go słyszałaś - i Jelly zapomniała. - Ja zdecyduję, co z nim zrobić. On opowiada naszą historię. Ktoś musi to robić, bo inaczej powstałby bałagan. Dzieli nas i odrywa, żeby nie dopuścić, by Lady Rice przedawkowała proszki. Sytuacja jest naprawdę groźna.
- Nie kocham już Edwina - odezwała się Lady Rice. - Ulżyło mi. Próbowałam odnaleźć w sobie miłość i nie znalazłam jej.
- Dzięki Bogu - zawtórowała jej reszta zgodnym chórem.
- Jednak tylko Angel usłyszała głos Ajaxa. Wiedziała, że nie należy innym o tym mówić.
- Ja jestem narratorem, przemierzam wieki - mówił Ajax. - Jestem początkiem wszystkiego. Rozpanoszyłyście się zbytnio, wyczerpujecie mnie. Przynajmniej dwie z was muszą zniknąć. Bez narratora wszystkie znikniecie. Nadchodzą ciężkie czasy.
- No więc, co ty na to? - spytał Edwin. - Pięćset funtów miesięcznie to bardziej niż przyzwoita suma jak na alimenty. Nie oczekujesz chyba, że podzielimy się domem! W końcu nasza posiadłość znajduje się pod kuratelą rządową.
- Zastanowię się - powiedziała Lady Rice.
- To więcej niż zasiłek dla bezrobotnych. Bądź rozsądna. Dam ci siedemset pięćdziesiąt. Docień, jaki jestem hojny.

Mówił jak kierowca, który nie czuje się winny spowodowania wypadku, zachowuje się grzecznie, choć z pewną pogardą, wzdychając w duchu, no, może nie całkiem w duchu, że traci czas i pieniądze. Chce okazać drugiej stronie swą wielką wspaniałomyślność. Lady Rice była zadowolona. Pocałowała go w policzek, aby przypieczętować transakcję.

Po chwili podeszła do nich Anthea.

- Zastanowię się nad twoją propozycją - zapewniła Lady Rice.

- Chodźmy stąd, zanim kogoś zamorduję - mruknęła Angel.

- Chodźmy - powtórzyła Jelly. - Trzeba się przebrać. Wyglądamy idiotycznie.

- Chodźmy - zgodziła się Angelika.

- Przy najbliższej okazji pozdrów matkę - poprosił Edwin, szarmancko zamykając drzwi limuzyny. Nigdy nie przepadał za panią White, kobietą pozbawioną smaku i pieniędzy, która pozwoliła szesnastoletniej córce wydać płytę zatytułowaną „Szalona dziewczica”. Edwin dawno już przestał mówić to, co myśli. Dlaczego wcześniej tego nie zauważyła?

- Obludnik - wymknęło się Lady Rice.

- Mówiłaś, że jest przystojny - odezwał się Ram, kiedy jechali do nowego domu pani White. - A tymczasem to niezbyt groźny rywal, choć mieszka w ładnym miejscu.

Im bardziej oddalali się od pałacu, tym gorsze samopoczucie ogarniało Lady Rice. Miała pustkę w głowie, czuła się słabo, jakby zniknął powód usprawiedliwiający jej

istnienie. Była jak tekturowa figurka, z której wypędza się demony, potem wrzuca do morza i oddaje na pożarcie syrenom. Nagle poczuła, że traci grunt pod nogami, że wypędzono ją z domu. Rozpłynęła się w Morzu Rozpaczy jak ledwo widoczna pianka na powierzchni fal, chwytająca okruchy światła, by po chwili rozprysnąć się bez śladu.

- Odchodzę - szepnęła. - Zabierają mnie syreny - ale nikt jej nie usłyszał.

Siostry natychmiast zapomniały o niej i nie dowiedziały się, że istnieją syreny.

Angel przebrała się na tylnym siedzeniu. Dziwaczny strój zamieniła na spódniczkę i podkoszulek. Nie mogła zabronić Ramzesowi zerkać w lusterko, ale jej siostry nie pozwoliły mu na dalsze poufalości. Trzymały ją mocno w garści, przypominając o szacunku wobec siebie, tłumiąc wszelkie żądze poza chęcią zdobycia pieniędzy.

- Musimy wreszcie znaleźć trochę czasu i przestrzeni dla siebie - tłumaczyła Angelika.

Angel wzruszyła ramionami i ustąpiła siostrze, które tym razem były zgodne. Twierdziły, że muszą wszystko rozważyć. Po spotkaniu z Edwinem musiały dojść do siebie. Dlatego tym razem Ram pozostał za kierownicą.

Krótką wizyta u pani White

- Mamo - powiedziała Jelly do byłej pani White, obecnie pani Haverley - tak mało pamiętam z dzieciństwa.

- Wcale mnie to nie dziwi - odparła pani White.

- Narkotyki, alkohol, seks. Na twoim miejscu w ogóle wyrzuciłabym dzieciństwo z pamięci.

Do czasu gdy twój mąż wziął na siebie obowiązek opiekowania się tobą, byłaś okropna.

- Dlaczego wtedy mi tego nie powiedziałaś? - spytała

Jelly.

Pani White spojrzała na nią zaskoczona.

- Uważałam, że nie wolno mi tego robić. Wydawało mi się, że jesteś szczęśliwa w swoim pałacu. Patrzyłaś na nas z góry i zatrudniałaś koleżanki z klasy jako służące. Zadzierałaś nosa. Nawet mnie nie odwiedzałaś. Wszyscy mówili, że się mnie wstydzisz. Czy nie powinnaś zaprosić tego młodego człowieka do środka? Siedzi sam w tej wielkiej limuzynie.

- Niech czeka - rzekła jej córka z wyższością w głosie.

- To tylko szofer. Jeśli się nudzi, może się przejechać po okolicy.

Pani White zamieszkała w rodzinnym domu państwa Haverleyów. Pierwsza pani Haverley zmarła na zawał wkrótce po rozwodzie, zanim jeszcze obie strony zdążyły

podzielić majątek. Dlatego cały dom przeszedł w ręce Geralda. Ich córka, Mary, nie wyszła jeszcze za mąż, z czego była bardzo dumna. Mieszkała z ojcem i macochą. Nastąpiło między nimi zawieszenie broni i od tej pory Mary delectowała się kuchnią bylej pani White. Poznała też zwyczaj prasowania ubrań, zanim włożyło się je do szafy, czego nigdy nie robiła jej matka. Po wypraniu i wysuszeniu ubrań wrzucała je do kosza z bielizną i każdy wybierał sobie to, czego potrzebował. Zdarzało się, że trzeba było uprać coś ponownie, zanim nadawało się do włożenia.

- Nie czujesz się tu dziwnie? - spytała Jelly.

- Bo piję z jej kubka i śpię w jej łóżku? Myślisz, że straszy mnie po nocach jego była żona? Sądząc po minie, pani White czuła się tu dobrze.

- Miło jest mieszkać w domu innej kobiety - stwierdziła. - Mam wrażenie, że inni ludzie nie mają kłopotów ze znalezieniem odpowiedniej liczby kontaktów i gniazdek elektrycznych, a do tego wszystko do siebie pasuje. Żona Geralda nie dbała o pieniądze. Trwonila prawie wszystko, co mieli, i wcale się tym nie przejmowała!

Ciasto pani White było tak twarde, że Angelika ułamała sobie kawałek zęba. Pewnie zbyt długo stało w piekarniku.

- Cholera! - zaklęła.

Pani White uniosła brwi ze zdziwieniem.

- Jeśli ci nie smakuje, nie jedz. To ciasto powinno być twarde.

- Powiedz mi, czy jako dziecko często rozmawiałam ze sobą?

- Bez przerwy - odparła pani White. - Doprowadzałaś tym ojca do szaleństwa. Rano budziło nas szczebiotanie

bawiących się dzieci. Różne głosy, no wiesz. Ale potem okazywało się, że jesteś sama.

- Czy słyszeliście też głosy chłopców?

- O tak - zapewniła pani Haverley. - Chłopców, dziewczynki. Wszystkich!

Jak zwykle podała wyśmienite placki pszenne i okropną galaretkę. Jednak od czasu gdy zmieniła nazwisko, Angelika przestała traktować ją jak matkę. Poczuli się jak sierota. Pani White zmieniła się w panią Haverley i straciła dawną pozycję matki. Stała się jedną z podstarzałych gospodyń domowych zamieszkujących Barley. Miała opuchnięte nogi w grubych pończochach, zaniedbane, zwiędłe policzki i obwisłe piersi. Jak wiele innych kobiet w jej wieku nauczyła się ukrywać swoje upodobania i marzenia. Starzejące się gospodynie robiły to tak dobrze, że po pewnym czasie zapomniały, że miały jakiegokolwiek pragnienia. Wszystko co indywidualne ginęło niepostrzeżenie w szarej masie podobnych kobiet, które stroiły się tylko na wesela, pogrzeby i Wigilie. Zdarzało się jednak, że tłumione żądze dawały o sobie znać i wtedy następowało błyskawiczne przetasowanie partnerów i rozwody. Czasem pojawiały się plotki o kazirodztwie. Szare kobiety ożywiały się, zajmowały strategiczne pozycje, wygłaszały swoje zdanie i stawiały czoło niecnym zarzutom.

- To prawda, chłopcy i dziewczynki w jednym ciele

- powtórzyła pani Haverley. - Cóż to był za widok!

- Nikomu o tym nie mówiłaś?

- Nie, przynajmniej nie przeszkadzałaś nam, kiedy rano wylegiwaliśmy się w łóżku. Wyglądałaś na całkiem normalną. Razem z tatą często żartowaliśmy na ten temat. „Jelly nie będzie sprawiać nam kłopotu jako jedynaczka”

- mawiał ojciec. A ja na to: „A co się stanie za kilkanaście

lat? Wszystkie głosy podziela się w pary i pouciekają". Ale wkrótce przestałaś rozmawiać sama ze sobą. Zostałaś sama jak palec i niestety, choć przykro mi to powiedzieć, nie było to najprzyjemniejsze twoje wcielenie.

- Suka! - warknęła Angel. - Jak ja nienawidzę tej tłustej krowy! Mogłabym ją zabić. Czy nie możemy już wracać do domu? Nie zniosę dłużej jej widoku!

- Poczekaj - uciszyła ją Angelika.

- Mamo - odezwała się znów Jelly, choć słowo to z trudem przeszło jej przez gardło. - Pamiętasz śmierć taty? Jak do tego doszło? Jaka wtedy byłam? Mam wrażenie, że nic nie pamiętam.

- Wolalabym o tym nie mówić - odparła pani Haverley. W tej chwili wkroczył do pokoju rozpromieniony pan Haverley i przyłączył się do podwieczorku. Prawą ręką jadł kanapki z serem, lewą zaś obmacywał pulchną nogę żony. Mary, jego córka, co jakiś czas wychodziła z jadalni, wynosząc jedzenie dla psów, to znów dla świnek morskich lub rybek, które były i tak za grube. Miała na palcu diamentowy pierścionek zaręczynowy. Jelly jak przez mgłę przypominała sobie czasy, gdy stały obok siebie w chórze parafialnym. Mary zawsze fałszowała.

- Pozwól mi dokończyć, kochanie - zwróciła się do męża pani Haverley, starając się uwolnić nogę. Jednak jej mąż nie dał za wygraną i dalej ścisnął jej kolana.

- Jesteś zaręczona, Mary? - spytała Jelly, żeby odwrócić uwagę od umizgów matki i ojczyma, ale Mary zaprzeczyła. To prezent od ojca na trzydzieste urodziny.

- Dlaczego nie powiesz swojej córce prawdy? - spytał Gerald Haverley. Skończył właśnie jeść kanapkę i teraz

również jego prawa ręka znalazła się pod stołem. Nagle złapał za nogi córkę. Wszyscy troje zaczęli pisać z radości.

- No dobrze - zgodziła się pani Haverley. - Kiedy dorosłaś, przestałaś zwracać uwagę na ojca. Traktowałaś go jak powietrze. Skończyłaś szesnaście lat i nagrałaś tę okropną płytę. Stałaś się sławna. Ojciec na pewno przelknąłby to jakoś, gdyby ktoś nie przysłał mu słów piosenki. Po przeczytaniu tego listu umarł, siedząc w swoim fotelu. Wiesz, kochanie - zwróciła się do Geralda - kiedyś sądziłam, że zrobiła to twoja żona. Potrafiła być okrutna i nigdy nie lubiła Jelly, bo w czasie prób chóru rozmawiała z Mary o seksie. Mówiła, że Jelly ma na Mary zły wpływ. Ale ja wiedziałam, że się myli, że w głębi serca Jelly jest dobrą dziewczyną.

- Teraz sobie przypominam - przerwała Jelly. - Pamiętam, kiedy powiedziałaś mi, że ojciec nie żyje, a ja spytałam: „Skąd wiesz? Przecież zawsze wyglądał jak trup”. Zaczęłam się śmiać i wtedy mnie uderzyłaś. Teraz rozumiem, że miałaś rację. To nie była właściwa chwila na żarty.

- Cóż, kochanie, rzeczywiście zachowałaś się nieładnie

- zgodziła się pani Haverley i znów pisnęła, gdyż pan Haverley zaczął łaskotać ją w łydkę.

- I mnie, i mnie też! - upomniała się Mary.

- Ale przecież i tak nie był twoim prawdziwym ojcem

- dodała matka Jelly.

Okno pokoju wychodziło wprost na ulicę. Ram zaparkował tuż przy wejściu, więc mógł z bliska obserwować Jelly w otoczeniu rodziny.

- Ale o tym pewnie wiedziałaś, co? - spytała pani Haverley.

- Nie.

- Kiedyś może miało to jakieś znaczenie, ale teraz? Prawda, kochanie? Jeśli nie masz nic przeciwko temu, wolałabym o tym zapomnieć - stwierdziła pani Haverley, niegdyś pani White. Jelly poczuła, że jej życie nagle straciło sens, jakby osoba pracująca dla Briana Mossa przestała istnieć i został po niej tylko język owinięty wokół jego członka. Nie, nawet to nie było gwarancją jej istnienia, nawet jego nasienie wypełniające usta nie mogło utrzymać jej przy życiu. Jelly zaczęła znikać. Żegnajcie, żegnajcie, wołała do swych sióstr, ale na próżno. Nie słyszały. Rozpłynęła się bez śladu.

- Więc kto był moim ojcem? - spytała Angelika.

- Zrozum, musiałam wyjść za Stephena. Nie mogłam iść na żebry. Byliśmy szczęśliwi, naprawdę, choć on był ode mnie starszy. Niestety tak kończą wszystkie panny z dzieckiem. Wychodzą za mąż za starszych mężczyzn, żeby znaleźć dach nad głową i święty spokój. Nie myślą wtedy o seksie, bo jak dotąd przynosił im tylko pecha. Tak im się przynajmniej wydaje. Oczywiście, z perspektywy czasu wszystko się zmienia.

- Nigdy mi o tym nie mówiłaś.

- Sądziłam, że się domyślasz. Ale nie ma o czym mówić, kochanie. Nic więcej nie musisz wiedzieć.

- Muszę. Powiedz, kto był moim prawdziwym ojcem.

- No cóż, przynajmniej nie był dawcą z banku nasienia. Tego bym się wstydziła. Kiedyś po meczu zostałam zgwałcona przez piłkarzy jednej z drużyn. Nie powinnam była pójść na ten mecz sama. Nie lubiłam sportu, ale myślałam, że będzie wtedy grał Georgie Best. Nie było to najmiłsze

przeżycie, ale i nie tak straszne, jak opowiadają. To wszystko, co ci mogę powiedzieć, Jelly.

- Nie nazywaj mnie Jelly.

- To twój ojciec nastawał, żeby nazwać cię Angelika. Zupełnie nie mogłam zrozumieć dlaczego. Wiadomo, że osobę o takim imieniu każdy zacznie nazywać po swojemu. Mówiłam mu, ale nie usłuchał.

- Nie nazywaj go moim ojcem.

- To był dobry człowiek i wspaniały ojciec. Będę go nazywała tak, jak mi się podoba. Nie obrażaj mnie.

- Kto wtedy grał? - spytała Mary. - Pewnie jakieś szumowiny z Norwich i Tottenham. I to sami rezerwowi. Boże, Jelly może być dzieckiem każdego z nich! I po co zawsze tak zadzierała nosa?

- Przestań, Mary! Czasem zachowujesz się jak twoja matka - zwróciła jej uwagę pani Haverley.

- Widzisz, że Jelly jest zdenerwowana. Żałuję, że jej to powiedziałam. Niektórych spraw nie warto odgrzebywać po latach.

- Wszystko, co robisz, jest słuszne, kochanie - wtrącił Gerald Haverley, niegdyś czołowy działacz komitetu rodzicielskiego, obecnie na emeryturze. Wsunął rękę pod spódnicę żony tak głęboko, że pani Haverley znów pisnęła, a Mary bąknęła speszona:

- Tato, nie przy Jelly!

Ale Jelly zniknęła. Byli sami. Na placu boju zostały już tylko Angelika i Angel.

Ruina

Schody wejściowe do kamienicy przy Lodestar Avenue rozpadały się. Deski w pokoju w wieżycze całkiem spróchniały. W domu pachniało zgnilizną i pleśnią. Okna tak zarosły brudem, że światło ledwo docierało do środka. Pomiędzy pęknięte szyby i ramy okienne wdzierał się bluszcz. Ze ścian odpadał tynk, a tapety łuszczyły się rdzawymi płatami, które porywał wiatr wpadający przez puste otwory okienne i drzwi. Dach przeciekał, a pokoje zajmowane niegdyś przez Wendy i Conga ziały pustką, odstraszały brudem i pozostawionymi tam odchodami.

Brian oprowadzał Unę po jej posiadłości, a właściwie odważył się wejść jedynie na pierwsze piętro, powtarzając bez przerwy:

- Istna tragedia, istna tragedia. Nie powinno się było dopuścić do takiej dewastacji tego miejsca. Zajmę się tym. Dotrę do paru osób, załatwię wyburzenie domu, nawet jeśli jest zabytkiem klasy zerowej.

Jednak spoglądając z góry na klatkę schodową, Una stwierdziła, że jej adwokat przesadza. To ona się wszystkim zajmie. Tu się urodziła. Trzeba doprowadzić kamienicę do „stanu używalności”, posługując się terminologią inżynierów. Wynajmie fachowców. Jej również zależało

na czasie. Chciała urządzić tu siedzibę swojego zespołu. Od czasu do czasu dobrze jest zgromadzić wszystkich pracowników, aby umocnić poczucie wspólnoty. Zapobiega to kryzysom. Trudno znaleźć profesjonalistów, szczególnie w jej branży.

Brian zauważył z satysfakcją, że nawet ta kobieta o stalowych nerwach boi się wspinać wyżej. Podejrzanie dużo mówiła.

- Nie wierzę w duchy - oświadczył Brian - ale to miejsce jest przerażające.

- Tym lepiej - odparła Una. - Umarli są natchnieniem dla żywych, a poza tym moi ludzie niedługo przeprowadzą tu egzorcyzmy. Dziwne, że matka pozwoliła, aby dom zamienił się w taką ruinę.

I jakby dźwięk własnego głosu dodał jej odwagi, ruszyła dalej.

- Mamo, Wendy, jesteś tam? - zawołała. Briana przeszył dreszcz. Zszedł na dół i czekał na progu, ale nawet tam powietrze zdawało się mieć słony posmak, a z sufitu kapnęła mu na nos kropla wody. Przestraszył się. Chciał znaleźć się z powrotem w biurze, pomstował na starego Catterwalla, który wziął sobie za klientów rodzinę Musgrave. Wszyscy byli stuknięci. Musiał jednak czekać.

Po chwili z ciemności wyłoniła się uśmiechnięta twarz Uny.

- Mama ucieszyła się, że odremontuję dom - powiedziała. - Sama zamierzała się kiedyś tym zająć - a gdy Brian spojrział na nią przerażony, dodała: - Żartowałam!

To go jednak nie uspokoiło. Poczul się urażony. Spojrział na zegarek. Okazało się, że stoi.

Podjechała taksówka i wysiadła z niej młoda kobieta. Mała, krępa, z niskim czołem otoczonym ciemnymi lokami. Miała duże oczy, wąskie usta i wydatny biust. Brianowi od razu poprawił się humor. - To Maria - przedstawiła Una - moja asystentka zajmująca się sprawami administracyjnymi. - A pan jest tym adwokatem, w którego objęciach można się wyplakać - dodała Maria, bez wahania, kładąc mu małą dłoń na ramieniu. - Kiedyś należałam do zespołu, ale Una często odwoływała mnie do różnych innych prac. Przyzwyczaiłam się, choć początkowo ciężko to przeżywałam. Jestem bardzo znerwicowana i nie mogę opędzić się od nieboszczyków. Una ma rację, że mogłoby to wpłynąć niekorzystnie na moją pracę. Mówiąc to zajrzała przez uchylone drzwi do wnętrza kamienicy.

- Ojej! - westchnęła.

- Prawdziwa rudera, nawet jak na tak starą kamienicę

- przyznała Una.

- To mi raczej wygląda na dom z zaświatów - zauważyła Maria. - Jego mieszkańcy chcą się przedostać na naszą stronę. Ale na pewno znów stanie się wspaniały. Naprawdę tutaj się urodziłaś?

- Mieszkałam tu od czasu do czasu, kiedy byłam dzieckiem. W końcu wyrzuciła mnie stąd matka - odparła Una.

- Ale już się z nią pogodziłam.

- Co to za zespół, o którym mówicie? - spytał Brian, bardziej po to, by ukryć zdenerwowanie, niż z ciekawości. Szybko odsunął się od Marii i stanął w bezpiecznej odległości.

- Weseli chłopcy i dziewczęta - odparła Maria. - Tęsknię za tą pracą, ale Una tu rządzi. Jest twarda, a mimo to wszyscy ją uwielbiamy.

Po tych słowach Una i Maria weszły z powrotem do domu, a Brian pojechał do biura. Tam czekała na niego Lois. Dała się uprosić i nie złożyła wymówienia.

285

Remont

Angelika i Angel były skazane na siebie. Straciły pracę i czuły się zagubione, ale duma nie pozwalała im na łzy. Zniknęły zbędne dodatki do osobowości, cienie, które przez pomyłkę brano za prawdziwe postacie. Mimo iż Lady Rice miała za sobą ponad dziesięć lat istnienia, okazała się odpryskiem pałacu Rice'ów, jakby to nie Edwin, ale ten stary dom ją stworzył i zniszczył, powołał do życia zjawę (być może obudzoną dźwiękiem walącego się komina), której zadaniem było odmalować zagrzybione ściany, odremontować kuchnię i zrobić porządek. Spojrzenie złowrogiego pałacu spoczęło na bezkształtnej magmie, jaką była wówczas Angelika. Zdecydował, że daruje jej życie, dopóki nie znajdzie kogoś lepszego. I tak zmienił ją w quasi-Lady Rice. W rzeczywistości grała niewielką rolę w dramacie rozgrywającym się w pałacu, epizod. Wkrótce pojawiło się coś lepszego - Anthea, niewolnica gotowa wychować nowe pokolenia pokornych sług. Lady Rice stała się już niepotrzebna, po prostu wyparowała, rozplynęła się we własnych łzach.

Co do Jelly, ta zawsze uważała siebie za córeczkę tatusia, uosabiała wszystkie cechy, które mogły zadowolić wielkiego nudziarza - pana White'a. Kiedy jednak uwolniła się od niego, odkryła prawdę o swym wieloosobowym

ojcu, zrozumiała, że nie sprostą oczekiwaniom wszystkich naraz i nie potrafi żyć w zgodzie ze sobą. Wtedy zniknęła - nieśmiały głos stawał się coraz cichszy, bardziej piskliwy, aż wreszcie została po nim kupka ubrań ze sklepu Marks & Spencer i głęboka cisza.

Tak to wyglądało w oczach Angeliki i Angel, które nie mogły wyjść z podziwu, przypominając sobie ostatnie wydarzenia. Żadna nie przypuszczała, że to właśnie im przypadnie w udziale pokierować losem.

Najpierw nowa sytuacja wprowadziła je w doskonały humor. Potem jednak zaczęły się martwić. Zawdzięczały życie lękom i stresom, a więc równie dobrze te same siły mogły je zniszczyć. Angelika zaczęła narzekać, że czuje w środku ogromną, powiększającą się pustkę. Wszystko stało się zbyt nagle.

- Wcale za nimi nie tęsknię - rzekła pocieszająco Angel. - Gadu, gadu i po balu. Panienki z okienka! Zapomnij o nich.

Angelika tęskniła za Brianem i było jej przykro, że tak łatwo pozwolił jej odejść. Nie sprawiało jej przyjemności ich pożycie, ale myślała, że doświadczenie to może wzmocnić łączące ich więzy. Czula się bezpieczna. Uważała, że Brian jest człowiekiem, za którego powinna wyjść za mąż.

Angel zagwizdała szyderczo. Nie tęskniła za Brianem ani odrobinę.

- To wszystko twoja wina. Nie należało wpuszczać Lois. To twój pomysł, nie mój. Obiecuj, że nigdy więcej tego nie zrobisz. Nie potrafisz znaleźć się w trudnych sytuacjach.

- Przede wszystkim to nie ja zaczęłam - odparła Angelika. - No i mamy problem. Gdy było nas

cztery, mogliśmy podejmować decyzje większością głosów. A teraz zostałyśmy same i Bóg jeden wie, co się jeszcze może wydarzyć. Chciałabym poznać jakiegoś miłego faceta.

- Zwariowałaś? - zawołała Angel. - Z doświadczenia wiem, że „jakiś miły facet” to zwykle niepozorny nudziarz, który patrzy ci na ręce i zabrania robić to, na co masz ochotę. Jeśli facet odchodzi, to nie należy się martwić, że był niemily. Poza tym tacy są lepsi w łóżku. Każdy to wie.

Pojawiły się również problemy natury praktycznej: z czego będą żyć?

- Nie możemy nadal korzystać z pieniędzy Edwina - oświadczyła Angelika. - To było dobre dla Lady Rice, ale nie dla nas. Jeśli o mnie chodzi, uważam, że to małżeństwo było dziełem przypadku. Przerwa w życiorysie i znów wróciłyśmy do punktu wyjścia.

- Nie jest tak źle, przecież możemy poderwać jakiegoś faceta z klasą w hotelu - zaprotestowała Angel. - Łóżka tam są takie miękkie i wygodne!

- Tylko nie to. O łajdaczeniu nie ma mowy - odparła Angelika. - I tak już obracamy się w nieodpowiednim towarzystwie. Osobiście lubię wygodne i ciche życie, marzy mi się mały domek z ogrodem gdzieś na przedmieściach. Taka już jestem. Posiadam doskonałe kwalifikacje na sekretarkę, mam zdolności organizacyjne. Kto wie, może znów wyjdę za mąż i urodzę dzieci.

- Nie uważasz, że małżeństwo to zalegalizowana prostytutka? - spytała Angel. - Zony to niewolnice, które za darmo pracują w domu i w łóżku. Gdybym

wtedy była, nigdy nie dopuściłabym do małżeństwa z Edwinem. Harówka bez zapłaty. Istne szaleństwo.

- Wychodząc za mąż, możesz sobie przynajmniej wybrać właściciela - powiedziała Angelika. - Puszczanie się na prawo i lewo wytrąca mnie z równowagi, a następnego dnia zawsze wpadam w depresję. Czuję, że uzależniam się od przypadku. Sypiać z każdym, kto się nawinie. Do tego się to sprowadza.

- I to mi się właśnie podoba - odparła Angel. - To mnie podnieca. Brak możliwości wyboru. Angelika uznała to za masochizm. Szczyciła się, że jest zdolna do subtelnych uczuć. Uważała, że chęć wyboru jest objawem jak najzdrowszym, a do tego cechą typowo kobiecą. To natura wymyśliła, że kobieta odpowiada jedynie na sygnały erotyczne tego mężczyzny, z którym mogłaby mieć dziecko, nawet jeśli jest ono ostatnią rzeczą, o jakiej myśli.

- Bzdury - przerwała Angel. - Dziś seks nie ma już nic wspólnego z dziećmi.

Jednak Angelika upierała się przy swoim. Nie godziła się przystać na życie pozbawione naturalnych praw, gdzie instynkt nie ma racji bytu. To by ją wyczerpało. Wkrótce miałyby puste spojrzenie zwykłej dziwki, co od razu zauważyłaby jej matka.

- Znowu opowiadasz bzdury - rozzłościła się Angel. - Badania wykazały, że nie można stwierdzić, kto nadaje się na ojca, a kto nie. A co do twojej matki, wydawało mi się, że nie chcesz jej więcej widzieć.

Od tych sprzeczek rozbolała jej głowa. Zaczęły brać zbyt dużo paracetamolu i tabletek nasennych. Angel

sypiała lepiej od Angeliki, nie przeżywała wszystkiego tak intensywnie, dlatego Angelika budziła się zawsze pierwsza. Korzystała z wolnej chwili, by zrobić rzeczy, które uważała za konieczne. Któregoś ranka napisała list do Barneya Evansa, by oświadczyć, że zgadza się na skromną kwotę proponowaną przez Edwina i przestaje dalej walczyć z mężem. Daje zgodę na rozwód. Nie ma już ochoty walczyć o sprawiedliwość. Zeszła na dół i wrzuciła list do skrzynki.

298

Rozłam

Gdy ktoś otworzy jedne drzwi, drugie od razu się zamykają. Im mocniej zatrzaśnie się pierwsze, tym podmuch wiatru jest silniejszy i tym szerzej otwierają się następne.

- Lady Rice, telefon do pani - zawołał ktoś z recepcji, kiedy Angelika wrzucała list do skrzynki.

- Proszę podejść do telefonu. Nie zastaliśmy pani w pokoju.

Dzwoniła Una. Poprzedniej nocy, siedząc w barze z przyjaciółmi, zauważyła Lady Rice. Una rozpoznała w niej sekretarkę Briana Mossa i dowiedziała się, że jest gościem hotelu Claremont oraz że występuje tu pod innym nazwiskiem. Postanowiła więc zadzwonić do niej dziś rano.

Nie chciała się wtrącać, ale jeśli Lady Rice lub osoba ukrywająca się pod tym nazwiskiem szuka pracy, Una z chęcią jej w tym pomoże.

Angelika zgodziła się zadzwonić do Whitehall, gdzie mieściło się biuro Uny. Nie przypomniała sobie jednak, by spędziła wieczór w barze. O ile pamięta, siedziała w pokoju i oglądała telewizję, chociaż nie mogła sobie dokładnie przypomnieć programu.

- Angel - zdenerwowała się Angelika. - Nic nas już nie łączy. Jesteśmy zupełnie innymi osobami.

Nikt nie odpowiedział.

292

CZEŚĆ PIĄTA

Weseli chłopcy i dziewczęta Uny

1

Lista mutantów

Una wierzyła, że:

- na początku świata bezwzględna przyroda podzieliła ludzi na dwa rodzaje, męski i żeński. Mężczyźni mieli kutasy, kobiety cipki. Idźcie i rozmnażajcie się, to było jedyne przykazanie matki natury;

- teraz podział na kutasy i cipki jest już przestarzały. Pożądanie i prokreacja stały się zupełnie odrębnymi sprawami. „Mężczyzn” przestały wyróżniać kutasy, a „kobiety” cipki. Pomiędzy nimi powstała długa lista mutantów. Nieważne, czy chodzi o zwisający członek czy o pochwę. Una twierdziła, że osobowość kształtuje się w momencie poczęcia, zgodnie z przypadkowym połączeniem i kombinacją dziedziczonych genów. Dopiero potem określa się płeć. Jest to sprawa chromosomów, wszystko zależy od tego, czy przeważy estrogen czy testosteron. Nie ma to nic wspólnego z *nami*. Społeczeństwo działa w zмовie z przyrodą, rzecz zgoła straszna i okrutna, zmuszając nas do prokreacji wbrew naszej woli. Ludzie cierpią, gdyż starają się wypełnić stawiane im zadania, i zmuszają się do koncentracji na swym wystającym lub schowanym organie. Beznadziejna sprawa;

294

- ona jednak stara się mieć zdrowe podejście do tej kwestii, uważa, że każdy może być tym, kim chce, lub wszystkimi naraz.

Una postanowiła zmienić kamienicę przy Lodestar Avenue w burdel. Nie przepuściłaby takiej okazji, a jeśli, zgodnie z zapewnieniami Marii, dom miał służyć również zmarłym, mogła się z tego tylko cieszyć. Una miała nadzieję, że w nagrodę za to czeka ją wieczność. Nie można przecież oczekiwać, że nieboszczyk zapłaci gotówką, a zresztą Una się tym nie przejmowała.

Pieniądze nie stanowiły problemu. Dzięki szczodrości męczonych poczuciem winy i wdzięcznych klientów w ciągu kilkunastu lat udało jej się zgromadzić pokaźną kwotę.

Zbawienie Uny miało również praktyczny wymiar. Dobrze mieć znajomych wpływowych ludzi nie tylko tu, na ziemi, ale i w zaświatach. Maria nie miała co do tego żadnych wątpliwości.

Una nie czuła się winna z powodu swej profesji i była gotowa dowieść, że jej usługi okazały się pożyteczne w zaspokajaniu potrzeb społecznych, przynosząc ulgę przygnębionym mężom, zbawienie umęczonym żonom i bezpieczeństwo młodym kobietom, które dzięki takim jak ona przestaną być narażone na ataki wygłodniałych seksualnie przechodniów. Przykłady mogła mnożyć. Jednak sprawiała jej przykrość panująca w społeczeństwie niechęć. Uważała, że ma prawo do szacunku, jak każdy pracujący człowiek.

Ludzie w rozkoszach cielesnych szukali spokoju, szczęścia, spełnienia i wolności, by w ten sposób uwolnić się od poczucia winy i niepokoju.

- Mario, czy nie sądzisz, że nieboszczykom nic już po tym? - zapytała Una. - Przecież to szkielety. Ocierające się o siebie kości wydają nieprzyjemny dźwięk, a potem zamieniają się w biały proszek. Gdzie tu przyjemność?

Jednak Maria uważała, że nigdy nie jest za późno. Była w stałym kontakcie z umarłymi i wiedziała, co myślą. Odczuwali przyjemność natury estetycznej, mimo wszystko prawdziwą. Zresztą Maria przysięgała, że zmarli są zawsze tam, gdzie żywi uprawiają miłość. To dla nich prawdziwa uczta. Dlatego żywi powinni jak najczęściej łączyć się w cielesnym tańcu. Una skwapliwie się z nią zgodziła. Omdlewający okrzyk orgazmu w domu publicznym działał jak szyba - zmarli patrzyli, żywi byli obserwowani w najbardziej dramatycznych momentach swej egzystencji, byli jak magnes. W takich chwilach powietrze wokół kochającej się pary wypełnia ektoplazma, ale kto wtedy zwraca na to uwagę?

Maria gotowa była przysiąc, że kamienica przy Lodestar Avenue jest pełna rozochoconych duchów. Oskar, Violet, Wendy, Congo. Maria powiedziała, że widziała też małego chudego mężczyznę, który wyglądał jak kat, a także postać podobną do pirata i wróżkę z bajki o Piotrusiu Panie, choć bardziej złośliwą jej wersję, a za bocznymi drzwiami kłębił się tłum Arabów.

- Zupełnie zwariowałaś - ofuknęła ją Una. - To już przesada - ale Maria wzruszyła ramionami i odparła, że nie obchodzi jej, czy ktoś wierzy w to, czy nie, bo duchy i tak robią swoje.

Talent stręczyciela

Zespół Uny liczył dwanaście dorodnych dziewcząt i dwunastu wesołych chłopców. Teoretycznie były wśród nich trzy kobiety o skłonnościach heteroseksualnych, dwie lesbijki, jeden transseksualista, jeden transwestyta, dwaj homoseksualiści (przynajmniej za takich się podawali). Una wymagała od nich umiejętności znalezienia się w sytuacjach charakterystycznych dla przynajmniej trzech innych kategorii bez oporów i zahamowań. „Zahamowania” mogły się pojawić w trakcie pracy i trudno było je wtedy ukryć, a to z kolei komplikowało wiele spraw. W przypadku Marii chodziło o jej kontakty z zaświatami - klient mógł się poczuć wytracony z równowagi przez nieoczekiwane pojawienie się ekto plazmy. Chłopiec w jasnej peruce i na wysokich obcasach miał inne kłopoty. Jeśli nie był do końca przekonany co do swej płci, on/ona mógł zdenerwować siebie, a w najgorszym wypadku wyprowadzić z równowagi klienta nagłym atakiem agresji podczas aktu płciowego. „Co ja tutaj robię? Czy jestem lesbijką, czy pedałem?” Takie wątpliwości mogły nawet doprowadzić do rękoczynów, zbudzić uspione głęboko najprymitywniejsze instynkty. Zarówno klienta, jak i pracownika Uny ogarniała szaleńcza myśl, że przez nieuwagę partnera cenne nasienie zostanie zmarnowane i padnie na

jałowy grunt. W takich chwilach wszyscy tracili głowę. Na szczęście były to sytuacje wyjątkowe. Kiedy przestrzegano dobrych manier, wszystko odbywało się w miłej, przyjaznej atmosferze.

- Plany wyglądają zachęcająco, ale przebudowa kamienicy, przywrócenie jej do dawnej świetności i tchnięcie w nią życia pochłonie mnóstwo pieniędzy - narzekła Una. - Lepiej było wynająć jakiś duży dom w Mayfair, przystosowany do naszych celów.

- Wiele stracisz, jeśli tego nie zrobisz - rzuciła obojętnie Maria, a jej twarz wydała się stara i smutna, jakby należała do jej babki. Słowa Marii, starej czy młodej, brzmiały jednak na tyle przekonująco, że Una przyznała jej rację.

Wieczorem siedziały w barze hotelu Claremont, rozmawiając o sprawach całkiem niewinnych, kiedy Maria nagle szturchnęła Unę łokciem.

- Patrz! To się nazywa rozdwojenie jaźni! Spojrzały na szczupłą, długonogą blondynkę w obcisłej

czarnej sukience, która oparta o kontuar baru radośnie gawędziła z barmanem. Nie różniła się niczym od wielu innych dziewcząt lekkich obyczajów.

- O co ci chodzi? Skąd wiesz, że ona ma rozdwojenie jaźni? - spytała Una.

- Czuję to. Są w niej przynajmniej trzy osoby.

- Tak jak ty i twoja babka?

- To co innego - odparła spokojnie Maria. - Moja babka odwiedza mnie tylko wtedy, kiedy potrzebuję pomocy. To nie to samo. W tej dziewczynie są przynajmniej dwie kobiety i jeden facet. Mogłaby zająć moje miejsce w zespole.

- Poznaję ją - rzekła Una i zastanowiła się. - To była sekretarka Briana Mossa. Podeszła do barmana upewnić się, czy ma rację. Odparł, że dziewczyna jest mieszkanką hotelu i używa nazwiska Lady Rice. Trudno uwierzyć, prawda? Ale niektórzy ludzie ciężko przeżywają rozwody. Jeśli nie opamięta się w porę, pewnego dnia znajdą ją w łóżku martwą. Barman zmierzył Unę krytycznym wzrokiem, jakby dobrze znał ten typ kobiet, lecz po chwili nabrał do niej zaufania i dodał:

- Niech pani się nią zajmie. Trzeba ją ocalić przed nią samą. Lepiej będzie, jeśli ktoś zajmie się tym zawodowo. Za dużo pije.

Renowacja

- Istnieje różnica pomiędzy profesjonalistą i amatorem - wyjaśniła Una, rozmawiając z Angel w biurze w Whitehall. - Szczególnie kiedy pracuje się w mojej firmie. Klient ma zawsze rację.

- Zgadzam się - odparła Angel.

- Musisz zapomnieć o sobie - ciągnęła Una. - Moi klienci płacą, żebyś stawała się tym, kim oni zechcą. W ten sposób odkrywają swoją prawdziwą naturę. Ty nie jesteś ani po jednej, ani po drugiej stronie i nigdy nie staraj się tego zmienić. Kiedy zaczniesz szukać swego ja, wpadniesz w tarapaty.

- To mi nawet odpowiada - stwierdziła z przekonaniem Angel, choć nie wiedziała, skąd ma tę pewność.

- Angel - błagała ją Angelika - nie gódź się na to, to nie dla nas.

Angel jednak zdawała się nie słyszeć. Angelika była wściekła i próbowała doprowadzić ją siłą do wyjścia, przy okazji uderzyła głową w drzwi. Angel zachwiała się i złapała za czoło. Na szczęście nabiła sobie tylko guza, miała zdartą skórę, ale nie krwawiła.

- Masz problemy z koordynacją ruchów? - spytała ze zdziwieniem Una, kiedy Angel doszła do siebie.

- Nigdy mi się to nie zdarzyło - odparła Angel. - Nie zauważyłam, że drzwi są zamknięte.
- To jej druga połowa - szepnęła obecna przy tej rozmowie Maria. - Jest zła. Niedobrze. Będą problemy.

- Lepiej znasz się na zmarłych niż na żywych - rzuciła zniecierpliwiona Una. - Każdemu może się to zdarzyć. Przynies plaster.

Maria wykonała polecenie.

- Brawo! - krzyknęła nagle Una. - Oto on! Nasz ulubiony architekt!

W drzwiach stanął były mąż Susan. Jego czarna niegdyś broda całkiem posiwiała. Na głowie miał czapkę baseballową. Wyglądał, jakby przed kimś uciekał w dziwnym przebraniu; człowiek o pozornie milej twarzy, lecz o spłoszonym spojrzeniu, szukający policjanta pod każdym stołem i podskakujący na dźwięk telefonu ze strachu, że ściga go urząd skarbowy.

- Widzisz! - szepnęła Angelika. - Co ty byś beze mnie zrobiła? Teraz zamknij się i pozwól mi mówić.

- Humphrey - zwróciła się do przybysza Una - kompletnie zwariowałam. Przejęłam swoją rodzinną posiadłość. Jestem przerażona. Maria twierdzi, że w tym domu straszy, ale to do niej podobne. Chciałabym, żebyś go dla mnie odremontował, chyba że jesteś zapracowany.

- Nie - odparł Humphrey, przyglądając się opartej o ścianę blondynce, której Maria przyklejała na czole plaster. - Kiedy moja była żona rzuciła na mnie urok, musiałem poddać się terapii elektrowstrząsowej. Jaka to ma być przebudowa? Ma to być miejsce wypoczynku czy

pracy? Siedlisko grzechu okryte hańbą czy przytulny rodzinny domek? Broń Boże, nie prawie ci kazań! Jako człowiek przegrany biorę to, co mi dają. A to kto? Czy ja już jej kiedyś nie widziałem?

Una odparła, że wątpi, gdyż dziewczyna jest nowa, ale nigdy nie wiadomo, świat jest mały.

- Jak się nazywasz? - spytał Humphrey.

- Angela - odparła Angel. - Angela Maize. I była to prawda.

Una ze zdziwieniem podniosła brwi, ale wpisała nazwisko do komputera.

„Angela Maize; waga: ok. 60 kg; wzrost: 170 cm, blondynka, miła powierzchowność, rysy regularne, spokojny charakter, zła koordynacja ruchów, znaków szczególnych brak, podejrzenie rozdziwienia jaźni”.

- Czy myśmy się już kiedyś nie spotkali? - spytał Humphrey.

- Nie - zapewniła Angel.

- Szkoda - odparł Humphrey, biorąc ją za rękę, jakby chciał odrobić stracony czas. - Nie mogę podjąć się tej pracy - zwrócił się do Uny. - To niemożliwe, ponieważ jestem bankrutem. Nie mam biura ani sekretarek. Dobrze o tym wiesz. Naigrawasze się ze mnie. Kobiety, które mają władzę, zawsze bawią się kosztem bezbronnych facetów. Jak w kotka i myszkę.

- Bzdury - zachnęła się Una. - Płacę gotówką. Angela może zostać twoją sekretarką. Ma kwalifikacje. Widziałam, co potrafi. Odtrączę jej pensję z twojego honorarium. Możesz pracować przy Lodestar Avenue. Przynajmniej nie będziesz się obijał i doprowadzisz dom do stanu używalności.

Humphrey nie mógł odrzucić takiej oferty. Na jego ufnej, choć smutnej twarzy pojawił się grymas przypominający uśmiech.

- To mi odpowiada - zgodził się. - Normalni ludzie gardzą moim talentem, więc muszę zejść do podziemia jak Orfeusz.

Angela uśmiechnęła się i przytaknęła.

- Angel - odezwała się zdenerwowana Angelika - coś ty zrobiła? Co to za kobieta?

- Nie wiem - odparła Angel przesadnie dramatyzując. - Nie mam z tym nic wspólnego!

- Ani ja. Ona nas nawet nie słyszy. Na wszystko się zgadza. Jest jak trzcina na wietrze. Zrobi, co jej każą. To moja wina. Przeze mnie uderzyłaś się w głowę. Przepraszam.

- Nigdy przedtem nikogo nie przeproszałaś - zauważyła Angel. - Nie rozumiem, co tu jest grane. Chce mi się spać. Wszystko to jest takie skomplikowane.

- To prawda - podchwyciła Angelika. - Należy nam się odpoczynek. Ona nic złego nie robi. Poradzi sobie.

Po raz pierwszy doszły do porozumienia i razem odpłynęły w dal.

- Czy ktoś mnie wreszcie wysłucha? - odezwał się Ajax. - Nie możecie mi tego zrobić. Straciecie narratora, całej opowieści. Wszyscy znikniemy. Angel, liczyłem na ciebie. Jesteś moją odwieczną siłą i energią!

Nikt nie odpowiedział.

Połączenie

Angela i Humphrey stali przed bocznym wejściem do kamienicy, pod ociekającym wodą sklepieniem. Klucz zazgrzytał w zamku, ale drzwi się nie otworzyły, wszystko trzeszczało. Oboje pchnęli je z całej siły. Drewno wokół zamka pękło. Dolna część drzwi przesunęła się z trudem, zgarniając z kamiennej posadzki warstwę kurzu.

- O Boże! - szepnął Humphrey.

Miało się wrażenie, jakby w ostatnim czasie siła zniszczenia ogarnęła dosłownie wszystko. Mimo że Congo i Wendy gonili resztkami sił, potrafili wstrzymać całkowity rozpad. Teraz jednak, w panującej ciszy, moce zniszczenia przechwyciły władzę. Z sufitu opadały nie cienkie nitki, ale całe płachty pajęczyn, dziury w parkiecie zionęły pustką, belki podtrzymujące stropy rozsypały się w drzazgi, schody tak spróchniały, że zmieniły się w kupkę trocin. Z kątów dobiegało chrobotanie i pisk, szelest przesuwanych przedmiotów, jakby małe myszki polne przez noc zmieniły się w ogromne szczury, które mościły gniazda dla jeszcze bardziej obrzydliwego i opasłego potomstwa.

- To jeszcze nic takiego - zaczęła Angela, mając na myśli pałac Rice'ów, ale w połowie zdania zapomniała, co chciała powiedzieć.

Tego wieczora Angela położyła się bez słowa obok Humphreya na materacu Wendy, który zostawili komornicy, wynosząc wszystkie inne sprzęty, w tym łoże właścicielki. Humphrey poprosił Angelę, by opowiedziała coś o sobie.

Nie umiała mu nic powiedzieć. Miała wrażenie, jakby uderzenie w drzwi pozbawiło ją pamięci. Mimo to była zadowolona ze swej sytuacji. Przyjęła imię i nazwisko kobiety z komputera Uny. Osoby o cechach bliżej nie określonych, bez znaków szczególnych, poza nieprzyjemną dla niej samej utratą pamięci. Wyglądała dobrze. Miała świeżo umyte włosy i ogolone nogi. Była zadowolona

i obojętna jak żywa lalka.

Humphrey każdą rozmowę sprowadzał na własne tory. Westchnął, że też chciałby stracić pamięć i rozpocząć wszystko od nowa. Próbował jej pomóc odtworzyć przeszłość, ale jedyne, co przy sobie miała, to torebkę z kosmetykami i rachunek z hotelu Claremont. Powiedziała, że pamięta jedynie przyjazd do biura Uny. Przywiózł ją jakiś młody mężczyzna w volvo, ale zabrał jej walizkę. Trochę się tym zdenerwowała. Chyba powiedział, że umywa ręce i już nigdy więcej nie chce jej widzieć. Ale mężczyźni często mówią takie rzeczy, prawda? Szczególnie, gdy mają na myśli coś zupełnie innego. Nic więcej nie pamiętała. Prawdopodobnie wszystkie poszlaki prowadzące do rozwiązania zagadki zniknęły wraz z walizką. Nie chciała jednak, żeby Humphrey za kimś się uganiał i przeszukiwał miasto. Niepotrzebnie się martwiła, gdyż nie miał na to

najmniejszej ochoty. Niedawno odratowano go po nieudanej próbie samobójstwa, gdy przedawkował tabletki nasenne i po tym wydarzeniu przestała go interesować czyjakolwiek przeszłość.

- Pewnie jesteś jedną z bogatych rezydentek hotelu. Claremont słynie z nich - powiedział Humphrey. - Una powinna coś na ten temat wiedzieć, ale czy warto odgrzebywać stare dzieje? Leżeli razem, by się ogrzać i dodać sobie otuchy. Dom otaczał ich złowrogo, zamykając się jak wielki, mięsisty i złośliwy stwór. Zrobiło się tak zimno, że oboje nie zdjęli ubrań. Zresztą Humphrey uprzedził ją, że jest impotentem. Przyznał, że normalne reakcje są w stanie wzbudzić w nim tylko bezbronne idiotki, a Angela onieśmiała go swoją przedsiębiorczością. To prawda, choć straciła pamięć, nie zapomniała nabytych ufliejętności. Była stanowcza i pewna siebie. Po południu udało jej się włączyć telefon oraz znaleźć i naprawić korki, dzięki czemu mieli teraz światło. Dom powoli zaczął się nagrzewać. Angeli udało się nawet odetkać ubikację. Wysłała Humphreya do sklepu po wiadra, szczotki, detergenty, plastikowe torby i żarówki. Kazała mu też kupić sześć radioodbiorników. Podczas jego nieobecności zostawiła adres we wszystkich londyńskich przedsiębiorstwach budowlanych.

- Jesteś pewna, że na tym ma polegać moja praca? - protestował Humphrey.

- Nie mogę czekać, aż poczujesz się lepiej i zaczniesz działać - odparła. - Mam dużo pracy. Podobnie rozmawiała z nim Susan. Humphrey nie wyraził więc zdziwienia, gdy tej nocy wprawna ręka Angeli natknęła się pod kołdrą na jego zwiotczały

członek. Czego oczekiwała? Żona Humphreya też przez to przeszła. Energiczne żony mają ślamazarnych mężów.

Angela wybuchnęła śmiechem, po czym oboje zasnęli.

Angela śmiała się bardzo często, dzięki czemu pouciekały duchy i zamilkły szczury. Jednak od tamtej pory przestali się dotykać. Żadne nie wspomniało Unie o nieudanej nocy. Odkąd połowa duchów wyniosła się z domu, szefowa codziennie przychodziła do nich omawiać swe ambitne plany dotyczące przebudowy.

Sześć odbiorników tranzystorowych było włączonych dzień i noc, a każdy z nich znajdował się w innym pokoju, nadając muzykę rozrywkową z różnych stacji. Panował tu hałas nie do zniesienia, przynajmniej dla Humphreya. Chciał, żeby wszystkie działały na tej samej częstotliwości i nadawały muzykę klasyczną. Angela jednak zaprotestowała.

- Naszym problemem jest przeszłość - rzuciła od niechcienia. - Sekret szczęścia to zapomnieć o tym, co było. Budzić się co rano jak nowo narodzony. Trzeba traktować swoje życie jak cudze.

- Naiwna optymistka! - wyśmiał ją, nie chcąc wyzbyć się ponurych wspomnień. Jak przez mgłę przypomniawszy sobie, że kiedyś nazwał kogoś tak samo, jakąś naiwną, irytującą dziewczynę, która we wszystkim dopatrywała się dobra. Nie pamiętał jednak jej imienia. Wspomnienia żony, dziecka, które nie było jego dzieckiem, całe życie odpływało w niepamięć, ciepło Angeli pochłaniało je jak czarna dziura. Postanowił nawet zmienić nazwisko, ale nie mógł się zdecydować na jakie. Miał wrażenie, jakby goiły się jego rany, choć nie wiedział, po jakim wypadku. Angela wyznała, że czuje się podobnie. Jego ruchy stawały się coraz wolniejsze, jakby chodził w półśnie. Golił się

tylko dwa razy w tygodniu. Chwilami podejrzewał, że Angela pozbawia go męskości, a ściślej rzecz ujmując, tych cech, które wpływają na wzrost bujnego owłosienia. Był szczęśliwy. Za sprawą Angeli kamienica przybrała kształt zgodny z jego oczekiwaniami, mimo że sam nie ruszył palcem.

Na tyłach domu w kuchni Angela wstawiła komputer. Tam mieściło się ich biuro. Humphrey został chłopcem na posyłki, chodził na pocztę, do sklepu, rozmawiał z robotnikami. Mruczał niezadowolony pod nosem, ale przyjął narzuconą mu rolę. Ona zaś wzięła na siebie całą odpowiedzialność i winę za ewentualne niepowodzenia. Zwierzyła mu się, że żywi wobec niego uczucia starszej siostry i bardzo jej to odpowiada. Nie znosiła sprzeciwu, ale była serdeczna. Przypominała Unie o pieniądzach, a ta płaciła bez zmrużenia oka. Rolę pośrednika pełniła Maria, która przynosiła "wypłatę i zabierała rachunki. Większości operacji finansowych nie zapisywano w księgach rachunkowych. Wiele rzeczy odbywało się na zasadzie przysługi. Hydraulik zgodził się wymienić rury na całym piętrze w zamian za noc spędzoną z Angką. Angela gotowa była nawet się zgodzić, ale Humphrey stanowczo zaprotestował.

- Niech Una płaci - oburzył się. - Dlaczego miałabyś oszczędzać jej pieniądze?

Tak więc Angela odprawiła hydraulika z kwitkiem. Niestety, nie puścił tego płazem. Odmowa tak go uraziła, że powbił w rury gwoździe, toteż gdy odkręcono kran, woda trysnęła strumieniami. Na szczęście miało to miejsce w Pokoju Golfowym, gdzie leżał dywan imitujący trawę i piasek. Powstała więc miła dla miłośników tego

sportu błotnista nawierzchnia. Szkody okazały się niewielkie.

- Dlaczego on uważał, że powinnam się zgodzić? - pytała zdziwiona Angela. Niemal już zapomniała, w jakim charakterze została tu zatrudniona. - Uczciwe kobiety zazwyczaj odmawiają, prawda? Poza tym ktoś mi powiedział, nie pamiętam już kto, że na pierwszy rzut oka i tak trudno odróżnić uczciwą kobietę od puszczalskiej.

- Ale hydraulik doskonale wie, co będzie się tu mieścić - odparła grzecznie Una. - Zezłościł się i tyle.

Już dawno zauważyła, że im bardziej Angela oddalała się myślami od pracy, działając szybko, sprawnie i z wyczuciem, tym słodszy i bardziej uwodzicielski stawał się jej uśmiech, robiła się bardziej pociągająca, jak dojrzała śliwka, która zwisa nad głową, w zasięgu ręki. Doskonały, pokryty niewidocznym meshkiem owoc, a dookoła ani śladu osy.

Maria kręciła nosem, twierdząc, że Angela jest sztuczna, że wygląda jak lalka, że jest pozbawiona wad. Ona, Maria, nie potrafi z nią rozmawiać, bo czuje się tak, jakby mówiła do ściany. Woląла przebywać z duchami. Miała jednak nadzieję, że Angela się zmieni. Czasem bywa to chwilowe.

Poza tym na Angelę spływał deszcz pochwał. Nie słychać już było w jej głowie niezadowolonych, kłótliwych głosów. Incydent z hydraulikiem szybko poszedł w niepamięć. Wieczorami Angela i Humphrey obejmowali się czule i przy okazji ogrzewali zziębnięte ciała, by dodać sobie otuchy, jakby byli dla siebie ostatecznym ratunkiem.

Materac nadal leżał na podłodze, mimo że kupiono już łóżka. By zapobiec przedostawaniu się pyłu do sypialni, co wieczór pod drzwiami kładli wałki z materiału. Angela myślała o wszystkim, wreszcie nie musiała zaprzętać sobie głowy sprawami własnej egzystencji, nie musiała się martwić ani bać.

- Za trzy tygodnie urządzimy przyjęcie i otworzymy lokal - oznajmiła któregoś dnia Una.

- Kogo zaprosimy? - spytali równocześnie Humphrey i Angela.

- Wszystkich.

Angela usiadła z wrażenia i przyglądała się nie wypełnionym zaproszeniom, jakby nagle opuściły ją siły. W głowie czuła pustkę.

- Angel - szepnęła Angelika - pamiętasz, kogo my znamy?

- Mniej więcej - odezwała się Angel. - Nie zaprzętaj tym swojej pięknej główki. Sama się wszystkim się zajmę.

- Ja chyba nikogo nie zaproszę - powiedziała Angela.

- To po co piszesz? - spytał Humphrey, patrząc na stertę leżących obok zaadresowanych kopert.

- Dziwne. Nie przypominam sobie, żebym cokolwiek pisała. Czasem moja prawa ręka nie kontroluje lewej - przyznała.

- Nie martw się. Każdemu się to może zdarzyć. Angela przestała się martwić.

Dom otwarty

Tego dnia odbył się generalny przegląd wszystkich pokoi. Jedne szokowały, inne cieszyły oko, niektóre były tak duże, jakby ciągnęły się w nieskończoność, inne sprawiały wrażenie klitek. W jednych mieszkały anioły, w innych demony lub weseli chłopcy i dziewczęta Uny, gotowi spełniać każde życzenie. Część gości była przekonana, że Una dosypała do szampana i soku środków halucynogennych. Mieli wrażenie, jakby wkroczyli do innego świata, gdzie mogli być sobą, gdzie widziało się to, co chciało się widzieć, i nikt nikogo nie kontrolował. Nikt nie zasłaniał oczu, by wymazać z pamięci dowody prawdy, nikt nie gasił entuzjazmu ani nie drwił z przerażających wizji. Goście, którzy przychodzili w parach, rozdzielali się, inni, przychodzący w pojedynkę, szybko znajdowali towarzystwo. Jedynie garstce zaproszonych udało się spędzić cały wieczór w towarzystwie tej samej osoby.

W drzwiach witała gości Angela. Miała na sobie suknię z przezroczystego tiulu; istna Salome w różowej szacie udrapowanej na biuście i pośladkach, by ukryć intymne części ciała, choć sama najchętniej by je odsłoniła. W obecnych czasach nagość jest rzeczą powszechną, a ciało nieważnym dodatkiem do umysłu. Humphreyowi bardzo spodobała się suknia. Uważał, że Angela wygląda w niej

tajemniczo i nie jest tak dziecinnie niewinna i otwarta jak zwykle. Angela była zadowolona, że sprawiła mu przyjemność.

- Nie przypuszczałem, że to takie przyjęcie! - rzekł na jej widok jeden z gości, choć trudno było się domyślić, czego właściwie się spodziewał? Jakież inne przyjęcie mogła wydać Una w tym wielkim domu?

Jako pierwsi pojawili się Sir Edwin i Anthea. Przez pomyłkę przyjechali o pół godziny wcześniej. Stanęli na progu bezlitośnie realni, po czym wtoczyli się do środka. Zaledwie miesiąc wcześniej Anthea urodziła dziecko, chłopca, i jeszcze nie odzyskała dawnej figury. Edwin przytył, jakby dla towarzystwa.

Angela wzięła od nich okrycia.

- Ta dziewczyna się przeziębi - zauważyła Anthea.

- Jest ciepło - uspokoił ją Edwin.

Podziękowali za kieliszki szampana, które wręczyła im Una. Angela zaprowadziła ich do garderoby, gdzie mogli wybrać dla siebie przebranie. Edwin zdecydował się na suknię śpiewaczki operowej, wykonującej arię *Die Fledermaus*. Anthea wybrała wieczorową suknię z karminową aksamitną wstęgą w talii. Pasowali do siebie. Angela zaprowadziła ich na piętro do pokoju zwanego Stajnią. Kiedy szli po schodach, ściany drgały, jakby ktoś próbował się z nich wydostać - gipsowe ciała ozdobione sztukaterią i drewnem, które po chwili zniknęły, nie mogąc oderwać się od muru.

Ściany Stajni pokryto jasną skórą, która za sprawą naciśnięcia jednego guzika zaczynała falować i marszczyć się. Po jednej stronie znajdował się wielkich rozmiarów

hologram, przedstawiający czarnego ogiera kryjącego białą klacz. Na podłodze rozrzucono siano, leżały też na niej szpicruta, bat i sztuczny penis. Przyjemny choć ostry zapach końskiego łajna i moczu był rozprowadzany po pokoju za pomocą ukrytych wentylatorów. Był to ulubiony pokój Uny, najmniej ceniony przez Angelę i Humphreya, choć zaprojektowanie hologramu kosztowało ich wyjątkowo dużo pracy.

Angela zostawiła Edwina i Antheę, którzy natychmiast rzucili się na siano jak rozbrykane dzieci, tuż pod kopytami ogiera, któremu tym razem można było zaufać, gdyż nie stanowił zagrożenia dla życia. Ciekawa para - Edwin w wydekoltowanej czerwonej szacie operowej, Anthea szalejąca nago niczym ryba w wodzie, przepasana jedynie karminową wstęgą, gdyż suknię zrzuciła z siebie jeszcze przed wyjściem Angeli.

- Angeliko, jesteś tam? - spytała Angel.

- Chyba tak, ale mam wrażenie, jakbym się postarzała. Coś się chyba dzieje z czasem. Daj mi spokój, jestem śpiąca.

- Jak sobie życzysz - odparła Angel - sądziłam, że zechcesz popatrzeć, dlatego cię obudziłam.

- Przecież mówiłaś, że i ty idziesz spać. Oszukujesz - zauważyła Angelika, której nawet we śnie nie opuszczała podejrzliwość.

- Obudziłam się przed chwilą. Naprawdę. Ale numer. Przyszedł twój były mąż z Antheą.

- Nic mnie to nie obchodzi - odparła Angelika.

- Życzę im wszystkiego najlepszego. Jest mi to zupełnie obojętne.

- Skoro ciebie to nie obchodzi, to mnie też

- zapewniła ją Angel, po czym obie ponownie zapadły w sen.

- Nie pij za dużo - ostrzegł Angelę Humphrey. - Nie wiem, co Una tam wsypała, ale to na pewno mieszanka narkotyków, środki odurzające albo afrodyzjak.

Obsługa i goście wymieszali się, każdy zachowywał się zgodnie z własnym poczuciem przyzwoitości. Niektórzy po prostu stali w miejscu, nieruchomo wpatrując się w dal albo rozmawiali z sąsiadem, wymieniając spostrzeżenia. Inni znikali na piętrze z którymś z wesołych pracowników Uny lub z pierwszym napotkanym gościem. Prawie wszyscy nosili na sobie przebrania. Większość zdecydowała się na makijaż. Rzadko kto pozostał wierny swej płci, zostawiając swoje prawdziwe oblicze przed wejściem kamienicy przy Lodestar Avenue. Una była ożywiona. Oprowadzała Stephena White'a po jednym z pokoi, co chwila poklepując go jowialnie po cierpliwym ramieniu. Miała na śbicie długą, wydekoltowaną białą suknię z satyny, ukazującą jej chude uda, oraz diamentową tiarę.

- Angel - szepnęła Angelika.

- Spokojnie, niczym się nie przejmuj - powiedziała Angel. - Angela świetnie sobie radzi.

- Nieprawda - odezwał się Ajax. - Zachowuje się jak schizofreniczka. Burdele zwykle pojawiają się w chorej literaturze. Na miłość boską, pozwólcie mi wkroczyć do akcji!

Jednak one z dziecinną ufnością pogrążyły się we śnie. Ajax był bezsilny jak Odyseusz dryfujący między Scyllą a Charybdą, łudząc się wbrew faktom.

Lambert podążał do pokoju, gdzie obiecano go skępować i biczować. Miał na sobie różową jedwabną koszulę i niebieską spódniczkę mini. Żywo dyskutował z Uną na temat jej teorii, że płeć jest niedorzecznym wymysłem natury. Nie mógł się z tym zgodzić. Przecież gdyby mężczyźnie dano żeński hormon, wyrosłyby mu piersi i miałby piskliwy głos. Gdyby zaś kobiecie wstrzyknąć testosteron, wkrótce jej twarz zdobiłaby broda i stałaby się niebezpieczna dla otoczenia. Te zmiany potwierdzają jedynie słuszność podziału na płeć. Una oderwała się na chwilę od upiornych pleców Stephena i krzyknęła do Lamberta:

- A co jest złego w człowieku, który ma penisa i piersi jednocześnie albo pochwę i brodę? Nawet w takim ciele umysł może dobrze funkcjonować.

Odwróciła się do Stephena, ale ten zniknął.

Jako ostatni goście przyjechali Brian Moss z żoną.

- Elsie płakała i nie chciała nas puścić - tłumaczyła się Oriola. - Nalegała, byśmy ją ze sobą wzięli. Wie pani, jakie są dzieci - ale Una uniosła tylko brwi. Jeśli nawet wiedziała, wołała o tym zapomnieć. Oriola miała tłuste włosy, zboląły wyraz twarzy i spuchnięte od niewyspania oczy. Tego dnia włożyła szeroką kwiecistą spódnicę z gumką w pasie, bluzkę, która była tak jak ona spłowiała i przeszła liczne wyniszczające prania. Całości dopełniał sznur grubych niebieskich koralików, które miały podkreślić uroczysty charakter stroju.

Oriola rozejrzała się ciekawie po korytarzu, który miał niewiele wspólnego ze zwykłym domem, gdzie

miarą dobrobytu jest dobrze wyposażona kuchnia i odtwarzacz kompaktowy. Zdecydowanie wolą własne cztery ściany. Tutaj wszystko ociekało wulgarnym nadmiarem złota i czerwieni. Z sufitu zwisały wielkie żyrandole, na ścianach widniały podniszczone obrazy przedstawiające kobiety i mężczyzn, sylfidy i nimfy - większość w złym guście. Były też fauny na tle romantycznego pejzażu, rusalki i elfy. Wszystkie postacie splecione w gorącym uścisku. Pewnie przyniesiono je z piwnic lub ze strychu, by napędzić utworzyć kolekcję. Migają światła i kolorowe lampki, zalewając pomieszczenie pastelowymi barwami i tworząc przytulny nastrój. Mocne kolory nie sprzyjały erotycznym igraszkom, jeśli nie w życiu, to przynajmniej w sztuce. Oriola westchnęła. Przerwała studia na wydziale historii sztuki, żeby wyjść za mąż i wychować dzieci.

- Co to za przyjęcie? - spytała. Jej mąż zdążył już wypić połowę szklanki, ale Oriola podejrzliwie spojrzała na swój kieliszek. - Nie piję alkoholu - wymówiła się. Podziękowała również za sok.

- Ta dziewczyna jest całkiem naga - zauważyła Oriola, przyjrzawszy się przemykającej obok An-geli. Nikt jej jednak nie słuchał, gdyż Brian gdzieś zniknął, a poza nim Oriola nikogo tu nie знаła i nie miała zamiaru zawierać nowych znajomości. Przysiadła na sofie obitej żółtym aksamitem i czekała na powrót męża. Po chwili obok niej usiedli Wendy i Congo. Wyglądali na ludzi bez wieku. Wyciągając

kawałek spódnicy spod Conga, Oriola niechcący dotknęła jego nogi. Potem dotknęła ręką ciemnych, utapirowanych włosów Wendy. Były jak powietrze. Należało się tego spodziewać.

- Oto skutki biernego palenia - stwierdziła. - Nie wiadomo, co ci ludzie dookoła palą.

- Wszystko przemija - odezwała się Wendy.

- Za szybko - dodał Congo. - Ale cieszę się, że udało im się zrobić remont.

- A co ze mną? - spytała Oriola, ale nikt nie zwracał na nią uwagi. Spojrzała na zegarek. Stał.

- Same hologramy - zauważyła Oriola. - Wy też jesteście tylko hologramami. Wcale się was nie boję.

W sieni pojawiło się sześciu Beduinów w białych szatach. Zdjęli z siebie ubrania i złożyli je w kostkę na dywanie: pasy, suknie, bieliznę. Stali nadzy, jak zdeformowane szkielety. Tuzin dzieci zaczęło bić brawo. Sześć kobiet odkryło zawołowane twarze, zdjęło szaty, ukazując swe nagie, piękne ciała. Tulily się do siebie i chichotały, jak przed wejściem do łaźni publicznej.

Dzieci szalały z radości. Kobiety i mężczyźni spleli dłonie i wykonali taniec rytualny.

Podskakiwały obwisłe męskie członki i dorodne piersi. Pierścień zamknął się wokół dzieci, po czym wszyscy zniknęli.

- Ktoś tu ma specyficzne poczucie humoru - odezwała się Oriola do mężczyzny w dziwnym stroju, który usiadł obok niej. Congo i Wendy zniknęli. - A może to była część artystyczna?

Jej sąsiad był w przebraniu kata. W ręku trzymał topór z rzeźbioną rękojeścią. Oriola dotknęła ostrza

w przekonaniu, że to kolejny hologram, ale topór okazał się prawdziwy. Skaleczyła sobie rękę. Krew kapłała z rany małymi kroplami, które łączyły się w cienką strużkę. W mgnieniu oka znalazła się przy niej Maria z opatrunkiem.

- Czy widziała pani mojego męża? - spytała Oriola. - Powinnam zadzwonić do domu i dowiedzieć się, czy Elsie już zasnęła.

- Ach, te matki - westchnęła Maria. - Zawsze to samo. Widzę, że przyciągasz duchy. Mogłabyś nieźle zarobić jako medium.

- O nie, to Brian zarabia na życie. Nie wierzę w pracujące matki. Po co decydować się na dziecko, jeśli nie ma się zamiaru go wychowywać?

Maria wstała nagle urażona i odeszła bez pożegnania. Oriola zamyśliła się. Spojrzała na kata i skrzywiła się z niesmakiem. Jej sąsiad wyjął swój wielki członek, na którym wdzięcznie przysiadł Dzwoneczek, popiskując z radości. Stojący pod ścianą pirat z uśmiechem przyglądał się tej scenie. Nie miał butów, co dla niego było widocznie najmiłym sposobem obnażenia się. Palce u nóg wykrzywiały mu się wdzięcznie, odstając od podłogi.

- Ci ludzie nie mają za grosz przyzwoitości

- stwierdziła Oriola. Nagle z jej piersi trysnęło mleko. - Przecież ja już nie karmię! - zdziwiła się.

- Gdzie jest Brian? Powinien być przy mnie.

Po schodach sunął korowód upiornych postaci niosących prawdziwe meble. Na ścianie klatki schodowej zamajaczyły twarze Sary i Tully'ego, otoczone gipsowymi stiukami. Jakże się trudzili, próbując

wyciągnąć kamienne ramiona, by zapobiec wynoszeniu cennego dobytku, ale nie udało im się to. Oboje krzywili się i robili niezadowolone miny.

- Spójrz! - Humphrey zawołał do Angeli. Wybierała właśnie palcami ostatnią truskawkę z pucharu owocowego. Ręce były tak blade, że ginęły na tle szkła pucharu. Na ustach miała zaschnięty sok truskawkowy. - Nikt nie zatrzyma handlarzy, którzy zwęszyli pieniądze. Humphrey położył rękę na jej nagim udzie. Angela pocałowała go. Jej wszechobecny, rozplywający się w niebycie język poruszał się w jego na wpół istniejących ustach. Czowała twardość jego członka napierającego na jej brzuch, który nagle zaczął puchnąć, odpychając Humphrey'a. Stało się, była dzieckiem rosnącym we własnym ciele! Czowała się okropnie, ale nie mogła nic zrobić. Pomyślała, że jeszcze jako nie narodzone dziecko musiała być bardzo uparta. Próbowano się z niej wydostać naraz kilka osób.

- Angel - odezwała się Angelika. - Co się z nami dzieje? To zaczyna być niebezpieczne.

- Angela jest wszędzie - odparła Angel. - Boję się!

- Chce, żebyśmy ją urodziły - jęknęła Angelika.

- Bo straciła swojego narratora - dorzucił Ajax. - Angeliko, zrozum to wreszcie. Angel zna mnie lepiej niż ty. Pozwól mi działać. Nie ma czasu.

- Kimkolwiek jesteś, zrób coś! - krzyknęła przerażona Angelika.

Humphrey poprowadził Angelę na górę. Jej stopy ledwo dotykały ziemi. Po drodze skamieniałe ramiona Sary

objęły ją w pól, Tully zdołał uszczyplić ją zimnymi palcami w pośladek. Angela krzyknęła, zaczęła krzyczeć coraz głośniejsze, jakby chciała przez to szybciej uwolnić się od prześladowającej ją niby-materii. Humphreya tak podnieciła perspektywa znalezienia się sam na sam z Angellą, że całkowicie oprzytomniał. Stał się takim, jakim zapamiętała go Lady Rice. Miał na sobie szary garnitur, w którym wyglądał sztywno i nienaturalnie.

Humphrey otwierał po kolei wszystkie pokoje, szukając wolnego. Angela ostrożnie zerknęła mu przez ramię. Ona również powoli wracała do rzeczywistości. Gdyby ją teraz ktoś sfotografował, nie miałby wątpliwości, że istnieje.

W Kwiecistym Pokoju Angela zobaczyła Susan dyszącą w ekstazie na różanych płatkach z na wpół rozebraną Rozamundą. Natomiast w Salonie Harcerskim Brian Moss baraszkował z dwoma chłopcami ubranymi w damskie i męskie stroje. W następnym pokoju dostrzegła zwróconą w swoją stronę olśniewająco piękną twarz umalowanego Clive'a. Wyciągnął do niej ramiona, ale Humphrey szybko zatrzasnął drzwi. W Pokoju Komputerowym zastali Geralda Catterwalla czule obejmującego podnieconą Unę. Angela z niecierpliwością czekała, aż znajdą pusty pokój, i być może to jej pragnienie pomogło im znaleźć wolne pomieszczenie, a może przestał działać narkotyk. Kiedy Humphrey otworzył kolejne drzwi, znaleźli się w schludnym pokoju jakiegoś taniego hotelu. Znajdowało się w nim wąskie łóżko zasłane białą pościelą i szarym kocem. Po obu stronach łóżka stały ciemne polakierowane szafki, a na jednej z nich słoik rozpuszczalnej kawy, pudełko z ciastkami i filiżanka. Było tu też specjalne żelazko do prasowania spodni. Hotel

ten był przeciwieństwem hotelu Claremont. To straszne, że większość ludzi musi mieszkać w takich warunkach.

- To nam chyba wystarczy - powiedział Humphrey. - Jeśli inni mogą, my też jakoś sobie poradzimy.

Angela stała niezdecydowana w progu.

- Wejdz! - zachęcali ją jednocześnie Angel, Angelika i Ajax. - No już!

Angelika wprowadziła ją do środka i położyła na łóżku obok Humphreya.

Oriola siedziała na wielkiej żółtej sofie w salonie i płakała.

- Brian nie powinien był mnie tu przyprowadzać. Tak rzadko razem wychodzimy. Naprawdę chciałam się dobrze zabawić. A kiedy przyszliśmy, zostawił mnie samą. Nie mam nawet pieniędzy na taksówkę. Źle się czuję. Muszę wrócić do domu i wziąć aspirynę. To paskudne miejsce jest tak zadymione, że nic nie widzę.

Po schodach schodziła akurat przyzwoicie wyglądająca, uśmiechnięta para. Mężczyzna w szarym garniturze i kobieta przypominająca nagą dziewczynę, na którą Oriola natknęła się już wcześniej. Mimo to sprawiała wrażenie milej i skromnej. Miała na sobie podkoszulek i džinsy.

- To ty jesteś żoną Briana Mossa? - zapytała młoda kobieta. - Czy mogę ci w czymś pomóc?

Kiedyś dla niego pracowałam. Jestem ci winna przysługę.

- W takim razie pożycz mi pieniądze na taksówkę

- odparła Oriola Moss.

- Odwieźmy ją do domu - zaproponował Humphrey.

- Trzeba ją stąd zabrać.

Wyszli we troje, nie zauważeni przez resztę towarzystwa. Przy wyjściu musieli przecisnąć się obok pary w średnim wieku, która stała na schodach z młodą, szesnastoletnią dziewczyną. Sprawiała wrażenie, że przed chwilą płakała, ale głos miała znów opanowany, grzeczny i stanowczy.

- Mama na pewno jest już w domu - zapewniała. - Niemi nie jest. Dziękuję za podwiezienie, pani Ruck.

Potem wszyscy zniknęli. Z dala dobiegał ich jeszcze cichy głos dziewczyny:

- To straszne, jeśli tak wyglądają wszystkie przyjęcia! A może był to głos Orioli, trudno powiedzieć.

Humphrey i Angela zatrzymali się na noc w hotelu Claremont. Było to jedyne miejsce, dokąd mogli pójść.

- Milo panią znów zobaczyć, Lady Rice - powitał ją recepcjonista, ale Angela zdawała się go nie słyszeć. Humphrey nic nie odpowiedział.

W windzie Angela poprosiła go, żeby nazywał ją Angeliką.

- Angela brzmi prostacko. Nigdy nie lubiłam tego imienia.

Kiedy Angelika leżała w wannie z obfitą pianą, Humphrey powiedział:

- Już wiem! Jesteś żoną Edwina, to znaczy jego byłą żoną. Słyszałem, że ożenił się po raz drugi.

- Tak. Jestem byłą żoną Edwina i nareszcie jestem sobą.

Tej nocy, jak kochankowie spędzający wspólnie pierwszą noc, opowiedzieli sobie historie życia. Kiedy Angelika obudziła się rano, zaczęła nasłuchiwać głosów w głowie.

Nie mogła jednak odróżnić żadnego dźwięku, nie rozpoznawała poszczególnych wcieleń. Słyszała jedynie miły szum własnej świadomości ułożonej warstwami jak tort, przekładanej nadziejami na przyszłość. Poczula się jak nowo narodzona.

Wyjrzała przez okno i zobaczyła Rama siedzącego w swoim volvo, z zadartą głową i wpatrującego się w jej okno.

- Patrz - odezwała się do Humphreya. - Wrócił człowiek z moją walizką.

Ale Humphrey spał. Podeszła do łóżka i przyjrzała mu się z bliska. Był dla niej za stary.

Wróciła do okna i pomachała Ramowi. Wskazał palcem na samochód. Kiwnęła mu głową, ubrała się i zeszła na dół.